

**Anna Kańtoch**

# **CZWARTA NAD RANEM**



Anna Kańtoch

Czwarta Nad Ranem

Zbiór Opowiadań

2

## **Spis treści**

Angevina

Czwarta nad ranem

Dobry człowiek w piekle

Harfa pustyni

Pająk

3

## **Angevina**

Martwy mężczyzna był bardzo młody, prawdę mówiąc musiał być niewiele starszy ode mnie. Leżał na plecach w płytkim jeziorze, a woda zamarła nad jego ciałem. Ponad oszronioną powierzchnię wystawały tylko palce prawej dłoni, białe i podkurczone, kolano, kawałek uda, a także czubek głowy - jasne włosy zlepione były w cienkie sople i oprószone śniegiem. Jarguel przetarł lodową taflę, tak iż mogłem dojrzeć znajdującą się pod nią twarz młodzieńca. Jego skóra była bardzo blada, czy to z natury, czy to za przyczyną śmierci - tego nie mogę powiedzieć, a szeroko otwarte

oczy miały niebieski kolor.

Stałem nad nim dygocząc z zimna w moim cienkim płaszczu. Padał śnieg, pierwszy tej zimy. Mróz przyszedł niespodziewanie nad ranem i ściał lodem pełne błota, jesienne drogi i pola. Na ziemi leżała teraz warstwa białego puchu, wciąż jeszcze cienka, z wystającymi spod niej martwymi liśćmi. Obute stopy zostawiały w śniegu płytkie, błotniste ślady. Niebo miało kolor ołowiu i wciąż sypał śnieg, mokry i gesty.

Jarguel obcasem buta rozbił skorupę lodu i krzyknął, bym pomógł mu przenieść trupa na wóz. Posłuchałem. Martwe ciało było ciężkie, sztywne i bardzo zimne. Nie miałem rękawiczek więc szybko poczułem, jak grabieją mi palce. – Zdziczałe psy albo wilki – powiedział Jarguel, wskazując ranę na szyi młodzieńca, a potem na ciemną ścianę lasu, przy której leżało jeziorko. Naciągnąłem rękawy płaszcza, by ogrzać dłonie i udałem, że nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Od strony miasteczka dobiegły zbliżające się głosy. Nie odwróciłem się. Słyszałem wyraźnie kobiecy szloch i pomyślałem, że musi to być matka, siostra bądź narzeczona zmarłego. Płacz nic jej nie pomoże. Młodzieniec nie należał już do niej. Należał do mnie i do Jarguela.

\*\*\*

W mojej pamięci twarz Jarguela jest zatarta, przypominam sobie tylko, że był niewysokim, kościstym mężczyzną, z takich którzy do późnego wieku zachowują siłę

i zdrowie. Znacznie lepiej pamiętam jego charakter. Ludzie unikali nas i gardzili

4

nami. Jarguel udawał pogodzonego z losem, skromnego człowieka, dziś jednak, z perspektywy czasu, widzę, że wiele w nim było gniewu i goryczy. Nauczył się nawet gardzić tymi, którzy gardzili nim. To zdarza się czasem. Człowiek upokorzony broni się wyobrażając sobie, że tak naprawdę jest szlachetniejszy i więcej wart niż ci, którzy go upokarzają i że za znoszoną cierpliwie pogardę spotka go nagroda w Niebie.

Czasem to przekonanie jest tak silne, że człowiek taki, w chwili gdy pojawia się nadzieja na odmianę losu, odrzuca ją, bo boi się, że straci w ten sposób swoją wyjątkowość. Na tej zasadzie Jarguel wierzył, iż jego powołaniem jest wyprawianie w ostatnią drogę umarłych i nie przyjąłby innej pracy, nawet gdyby miał ku temu okazję.

Jego żonę, Fermine, pamiętam gorzej. Była pulchna, milcząca i z tą samą dokładną troskliwością zajmowała się domem jak i martwymi ciałami, gdyż do jej obowiązków należało mycie i ubieranie zmarłych. Wzbudzało to we mnie niechęć. Pamiętam jej palce trzymające wilgotną gąbkę i łagodnymi, głaszczącymi ruchami przesuwające się po zimnej skórze, a później te same palce prasujące bieliznę czy rozkładające na stole obrus.

Były jeszcze dzieci. Starsze, dziewczynka, miało na imię Camille, imienia chłopca nie pamiętam. Do moich obowiązków należało także zajmowanie się nimi.

Nie sądzę, bym wywiązywał się z tego dobrze.

Martwy młodzieniec nazywał się Simon Meury i był synem miejscowego bankiera. W południe jego matka przyniosła ubranie, w którym miał być pochowany i

wybrała trumnę - ładną, zgrabną trumnę z sosnowego drewna. Miała przy tym miejsce nieprzyjemna scena. Zostałem oskarżony o kradzież krzyżyka na złotym łańcuszku, który Simon nosił na szyi od dnia Pierwszej Komunii Świętej. Płonąc ze wstydu i oburzenia nie mogłem wykrztusić ani słowa, lecz na szczęście Jarguel wziął mnie w obronę, argumentując, że pochodzę z uczciwej rodziny, a on zna się na ludziach i przenigdy nie przyjąłby na naukę złodzieja. Kobieta w końcu dała się przekonać, że łańcuszek zerwał się podczas szamotaniny z wilkiem i upadł w śnieg. Po jej wyjściu zasiedliśmy do posiłku. Nie mogłem jeść. Nie mdlałem już ani nie wymiotowałem na widok głębokich ran czy z powodu woni rozkładu jak na początku mej nauki, ale nadal w kilka godzin po znalezieniu pokiereszowanych zwłok nie potrafiłem nic przełknąć. Fermine naląła mi kieliszek anyżówki, bym uspokoił żołądek. Potem poprosiła mnie o pomoc przy obmywaniu ciała.

Trup odtajał już nieco i wokół stołu, na którym leżał utworzyła się kałuża wody. Jednak jego mięśnie nadal były sztywne i by zdjąć z niego ubranie najpierw

5

musieliśmy rozciąć je ostrym nożem. Rzeczy zmarłego pali się zwyczajowo, gdyż nikt nie chciałby nosić czegoś takiego. Czasem jednak w kieszeniach znajduje się różne drobne przedmioty i te należy oddać rodzinie. Zgodnie z naukami Jarguela sprawdziłem więc kieszeń należącego do Simona płaszcza. Była tam tylko mokra kartka papieru. Położyłem ją przy piecu, a gdy wyschła przekonałem się, że jest to list, napisany ołówkiem, a więc czytelniejszy niż gdyby autor użył szybko rozmazującego się pod wpływem wody atramentu.

Bez trudu udało mi się odczytać imię adresatki: Angevina. Simon prosił ją o spotkanie przy jeziorze na skraju lasu. Pisał, że bardzo się o nią niepokoi w związku z

mężczyzną, który niedawno przybył do miasta i rozpytywał o nią i o jej opiekuna.

Zrozumiałem z tego, iż Simon uważał owego mężczyznę za kogoś złego, kto z jakiegoś powodu ściga dziewczynę i to podnieciło moją młodzieńczą ciekawość.

Pojąłem też, że Simon Meury był zakochany w dziewczynie imieniem Angevina i w mojej głowie pojawił się obraz młodej panny, pięknej i tragicznej, która właśnie straciła swego ukochanego. Chciałem ją poznać, chciałem poznać Angevinę, a pretekstem miało być oddanie adresowanego do niej listu. Nie myślałem o tym, że być może ona nawet nie wie jeszcze o śmierci Simona, a ja będę pierwszym, który przyniesie jej tę nowinę. Nie myślałem o jej bólu, ani o tym, by ją pocieszyć. Miałem szesnaście lat i często działałem pod wpływem impulsu, zaś podglądanie cudzego życia - potajemnego romansu, niebezpieczeństwa i tragedii - wywoływało we mnie dreszcz wstydliwego podniecenia.

Dlatego też jeszcze tego samego dnia zacząłem rozpytywać o dziewczynę imieniem Angevina. Było to niezwykle, stare imię i nie sądziłem, by wiele dziewcząt w naszym miasteczku je nosiło.

W istocie dowiedziałem się tylko o jednej. Była przybraną córką pewnego mężczyzny (z pewnością byłego żołnierza, bo nosi się jak wojskowy, powiedziano mi), który przed kilkoma miesiącami przybył do miasta i wynajął tu dom.

Mężczyzna był treserem psów.

W miasteczku naszym jest mnóstwo psów. Psy tresuje się, by szukały w lesie trufli, do polowań i do stróżowania. Żaden dom nie obejdzie się bez dużego, złego kundla, uwiązanego przy budzie lub biegającego po ogrodzie. Żaden dom prócz naszego, gdyż psy bardzo źle reagują na obecność umarłych. Dlatego też byłem jedyną chyba osobą, która nie wiedziała, że miasteczko ma nowego tresera. Zamiast

dziadka Luciena, którego znałem gdy byłem jeszcze dzieckiem i mieszkałem z

6

rodzicami, nastał ten obcy mężczyzna, Bauseli Morlay.

Powiedziano mi, że mieszka on na obrzeżach miasta, za dębowym zagajnikiem. Trafiłem bez trudu, bo był to jedyny dom w tej okolicy.

Dom zbudowany został z szarych, masywnych kamieni. Okiennice na piętrze były zamknięte, okna na parterze przesłaniał drewniany płot. Patrząc ponad sztachetami widziałem zdumiewająco prostą budowlę, bez żadnych przybudówek, ganku ani werandy, kwadratową i ciężką, oplecioną martwymi gałęziami bluszczu. Tylko w rogu ogrodu stało coś, co pewno wziąłbym za niewielką szopę, lecz wiedząc już, że Morlay jest szczęśliwym posiadaczem jednego z pięciu samochodów w naszym miasteczku, domyśliłem się, że to garaż. Brama była zamknięta na kłódkę, ale znajdująca się nieco dalej furtka wyglądała na otwartą.

Odetchnąłem głęboko zimnym powietrzem i zastanowiłem się czy mój nos nie jest aby czerwony od mrozu. Potem położyłem dłoń na furtce. Przyszło mi do głowy to, o czym powinienem był pomyśleć już wcześniej: że za chwilę będę musiał spojrzeć w oczy dziewczynie oplakującej swego ukochanego. Omal nie stchórzyłem, lecz było mi wstyd się wycofać.

W tym momencie usłyszałem dochodzący z ogrodu dźwięk, który rozpoznałem od razu, mimo iż dzieciństwo miałem już za sobą.

Świst bicia przecinającego powietrze, a potem uderzającego o ciało.

Czekałem na krzyk bitego dziecka, nie usłyszałem jednak nic. Po chwili świst

powtórzył się, potem jeszcze jeden i następny. Nadal jednak nie słychać było krzyków ani przekleństw. Dźwięk rozlegał się samotnie w mroźnej ciszy. Zupełnie jakby bicz nie trzymała ludzka ręka. Zupełnie jakby pracował sam, w milczeniu katując milczące ciało.

Nim zdążył ogarnąć mnie lęk pchnąłem furtkę i wszedłem do ogrodu.

Na prawo, tuż przy rogu domu, stał mężczyzna, odwrócony do mnie tyłem.

Był wysoki, szeroki w barach i trzymał się bardzo prosto, faktycznie jak były żołnierz. Mimo mrozu nie miał na sobie kubraka, a rękawy koszuli podwinął, odsłaniając umięśnione ramiona.

Gdy znalazłem się w ogrodzie podnosił właśnie rękę, by zadać kolejne uderzenie. Obserwowałem go przez chwilę. Nie wydawał się zmęczony ani rozwścieczony. Bił z mechaniczną dokładnością, sumiennie wykonując swą pracę.

Od furtki do głównego wejścia domu prowadziła wąska, wydeptana w śniegu ścieżka. Idąc nią podszedłem bliżej i ujrzałem, że Morlay - bo musiał to być właśnie

7

on - bije uwięzianego do palika psa. Skręciłem w prawo i przeszedłem jeszcze kilkanaście kroków.

Palik i postronek wydawały się niepotrzebne. Zwierzę leżało bez ruchu na zbryzganym krwią śniegu. W jasnobrązowej sierści bicz wyciął purpurowe, podłużne rany, bardzo głębokie, odsłaniające mięso, a gdzieniegdzie i biel kości. Oczy psa zachodziły mgłą. Konał.

Morlay wreszcie mnie zauważył. Opuścił bicz i odwrócił się. Jego twarz była



raczej okrągła, ale kanciasty podbródek i zdecydowany wyraz oczu sprawiały, że wyglądał bardzo męsko. Włosy miał ciemne i krótko ścięte na żołnierską modłę. Mógł mieć jakieś czterdzieści do czterdziestu pięciu lat, a więc zgodnie z moim ówczesnym wyobrażeniem był niemal starcem, lecz - dobrze to pamiętam - byłem wtedy pod wrażeniem siły promieniującej z jego barczystej postaci.

– Czego chcesz? – spytał chłodno, lecz bez złości. Ja jednak mając wciąż przed oczami skatowanego psa wystraszyłem się i jak dziecko spuściłem wzrok. Patrzyłem teraz na ziemię pod moimi stopami. Leżało na niej coś, co w pierwszej chwili wziąłem za martwe gąsienice, brązowe i włochate z jednej strony, różowe zaś z drugiej. Ale oczywiście nie były to gąsienice, lecz strzępki psiej skóry i gdy to zrozumiałem, nagle poczułem uderzającą mi do głowy falę gorąca, a moje kolana stały się miękkie jak masło. Rankiem nie zdążyłem zjeść śniadania, a później nie brałem do ust niczego prócz wody i kieliszka anyżówki, tak więc - choć wówczas bardzo się tego wstydziłem - myślę, że będę usprawiedliwiony jeśli powiem, że w tamtej chwili po prostu zemdlałem.

\*\*\*

Wracałem do przytomności czując na czole przyjemnie chłodny dotyk wilgotnej szmatki. Otworzyłem oczy. Pochylała się nade mną dziewczyna, bardzo piękna dziewczyna o bladej, wąskiej twarzy rusałki i wielkich, błękitnych oczach. Z bielą skóry kontrastowała czerń rozpuszczonych włosów, które wydawały się zbyt

ciężkie i długie, by nosiła je tak delikatna główka.

Angevina.

Chciałem coś powiedzieć, lecz zabrakło mi słów. Przede wszystkim wstydzilem się mojej słabości i w młodzieńczej naiwności sądziłem, że piękna dziewczyna nigdy nie zechce przychylnie spojrzeć na kogoś, kto mdleje na widok

8

bitego psa.

Pragnąłem z całych sił na powrót stracić przytomność, lecz oczywiście było to niemożliwe. Mamrotałem coś niewyraźnie, gdy przerwał mi odgłos otwieranych drzwi. Do pokoju wszedł Bauseli Morlay, a ja, prócz upokarzającego wstydu, poczułem jak na widok tego człowieka ogarnia mnie znajomy już strach. Lecz on nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Podeszedł do Angeviny - wciąż siedziała przy moim łóżku, plecami do drzwi, a więc i do Morlaya - i wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej gęstych, spływających na plecy włosów. Zrezygnował. Jego dłoń wisiała przez chwilę w powietrzu. To była duża, silna dłoń z kwadratowo zakończonymi palcami. Pod paznokciami widać było ciemne półksiężycy. Mógł to być brud, ale mogła to też być - i jestem pewien, że była - po prostu krew.

– Już czas – powiedział cicho. – Chodź.

Skinęła głową. Morlay rzucił mi krótkie: "Zaczekaj tu", a ja nie powiedziałem ani słowa.

Gdy wychodzili jego duża dłoń spoczęła na chwilę na plecach dziewczyny.

Zostałem sam. Odetchnąłem, starając się uspokoić i w tym momencie jak

obuchem uderzyła mnie pewna myśl i znów poczułem słabość w kolanach, a moje serce na krótką chwilę przestało bić. Byłem głupcem, byłem podwójnym i potrójnym głupcem, bo nie skojarzyłem dwóch podstawowych faktów. Simon Meury prosił o spotkanie przy jezioru na skraju. List spoczywał w jego kieszeni, a więc nigdy nie został wysłany a jednocześnie Simon stawiał się przeciw na spotkanie. Stawił się i umarł tam. A więc list ten musiał być tylko brudnopisem - dlatego napisano go ołówkiem, a Angevina otrzymała inny, przepisany na czysto egzemplarz. Nie miałem więc już żadnego pretekstu, by przebywać w tym domu. Bo i po co? Po to, by wręczyć dziewczynie brudnopis listu od jej zmarłego ukochanego? Na sama myśl o tym poczułem jak moje policzki płoną wstydem.

Dom był cichy, nie słyszałem głosów Morlaya ani Angeviny. Wyjrzałem ostrożnie na korytarz. Był pusty. Skradając się na palcach pomknąłem w stronę wyjścia. Gdy wyglądałem przez uchylone drzwi Morlay i Angevina pochylali się właśnie nad leżącym w śniegu psem. Za wszelką cenę chciałem wydostać się z tego domu. Odetchnąłem, zbierając się na odwagę i zanosząc modły, by żadne z nich nie odwróciło się w nieodpowiednim momencie. Chwilę później mknąłem już ścieżką w stronę furty tak szybko, jakby ścigał mnie sam diabeł.

9

\*\*\*

List podarłem, ale nie potrafiłem zapomnieć jego treści, a nade wszystko nie potrafiłem wyrzucić z pamięci obrazu twarzy Angeviny. Wspomnienie tamtego popołudnia - omdlenia, a potem pośpiesznej ucieczki bez słowa, dręczyło mnie.

Postąpiłem jak głupiec i spędzałem teraz godziny, wyobrażając sobie, że mógłbym zachować się zupełnie inaczej. Mógłbym przecież przyjść do domu Angeviny nie z tym nieszczęsnym listem, lecz po prostu po to, by wyrazić jej swoje współczucie i pocieszyć ją. Zawarłbym z nią w ten sposób znajomość, a później... cóż, młodzieńcza wyobraźnia podsuwała mi obrazy, w których występowałem w roli bohatera, chroniąc dziewczynę przed owym tajemniczym mężczyzną z listu i stopniowo zajmowałem w jej sercu miejsce zmarłego Simona.

Nie miałem jednak odwagi wrócić do jej domu i naprawić tego, co zepsułem.

Raz ujrzałem Angevinę na ulicy, spacerującą pod ramię z przybranym ojcem - ona tuliła się do niego z ufnością, on obejmował ją ostrożnie, jakby była ze szkła - ale nawet wtedy nie zdobyłem się na to, by podejść i wytłumaczyć się. Zaczerwieniłem się tylko i pośpiesznie przeszedłem na drugą stronę, a później znów przeklinałem swoją głupotę.

Tak minął tydzień. Simon Meury spoczął na cmentarzu. Wykopany w zmarzniętej ziemi grób był płytki, zaś ceremonia pogrzebowa - odprawiona podczas wznmagającej się zamieci śnieżnej, gdy płomienie lamp gasły za szkłem, a wiatr porywał słowa księdza - bardzo krótka.

W niedzielę w kościele znów ujrzałem Angevinę. Pamiętam, że usiadłem tak, by móc obserwować ją samemu nie będąc widzianym. Była w towarzystwie Morlaya i Ryżego Jacoba, którego znałem od dzieciństwa. Dwa lata starszy ode mnie pracował w sklepie swego ojca, lecz nie radził sobie dobrze z handlem, tak jak z niczym innym zresztą. Ryży Jacob był brzydki i niezgrabny, to zbyt milkliwy, to znów, najczęściej w dużym towarzystwie, gdzie koniecznie chciał być zauważonym, skłonny do wybuchów irytującego śmiechu z byle głupiego żartu. Dziwiłem się, jakim cudem

udało mu się zdobyć serce tak pięknej dziewczyny jak Angevina. Bo to, że zdobył jej serce nie ulegało wątpliwości. W naszym miasteczku istniał zwyczaj - być może zresztą istnieje do dziś, nie wiem, bo wyjechałem stamtąd dawno temu - że jeśli dziewczyna pojawia się z chłopcem w kościele, to wkrótce należy się spodziewać zapowiedzi, a potem ślubu.

10

Rzecz jasno nie było to jedyne pytanie jakie mnie dręczyło. Zastanawiałem się, jak Angevina mogła tak szybko zapomnieć o Simonie i - przepełniony goryczą i gniewem na tę piękną dziewczynę - koniecznie chciałem jakoś ją usprawiedliwić. Wyobraziłem więc sobie, że Angevina potajemnie kochała Simona i spotykała się z nim w sekrecie, a gdy zginął, z rozpaczyny zgodziła się wyjść za Ryżego Jacoba, którego wybrał jej opiekun.

Byłem na tyle rozsądny, by spostrzec, że teoria ta niewiele ma sensu. Simon Meury pochodził z rodziny o wiele bogatszej i bardziej szanowanej niż Ryży Jacob i gdyby Morlay faktycznie pragnął dla swej przybranej córki męża to Simon byłby o niebo lepszym kandydatem. Zauważyłem też, że Angevina wcale nie jest niechętna zalotom Ryżego Jacoba. On puszył się przy niej jak paw, a jego brzydka twarz, na której zazwyczaj malował się nieśmiały, głupi uśmiezek, była pełna buty. Obejmował Angevinę, każdym gestem, każdym spojrzeniem dając do zrozumienia, że należy teraz do niego, a ona nie broniła się. Co prawda, uświadomiłem sobie, nie wydawała się szczęśliwa. Zadowolona może tak, ale nie było w niej owego promieniejącego szczęścia, którego spodziewamy się po młodej narzeczonej. Wydawała się

zdumiewająco bierna, a jej gładka, piękna twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu.

Nie umiałem z niej nic wyczytać i - nie potrafiąc znaleźć innego wytłumaczenia - z ulgą wróciłem do poprzedniej teorii, uznając, że dziewczyna jest zubożniała, bo cierpi po śmierci Simona.

Dwa lub trzy dni później przechodziłem ulicą, mijając szereg domków (w naszym mieście niewiele jest kamienic, choć i to oczywiście mogło zmienić się od czasu mojego wyjazdu), gdy niespodziewanie w jednym z ogrodów rozszczękał się pies. Nie zwróciłem na niego uwagi - wszak to naturalne, że pies szczeka na przechodnia - gdyby nie autentyczna wściekłość brzmiąca w głosie zwierzęcia. Ujadał i warczał tak, jakbym uczynił krzywdę jemu, albo jego panu. Zdumiało mnie to, bo przecież nawet nie wszedłem na teren psa, a tylko spokojnie spacerowałem ulicą. On jednak koniecznie chciał mnie dopaść. Wciąż ujadając wściekle, rzucał się całym ciężarem ciała na sztachety płotu i bałem się, że lada moment je wyłamie.

Stałem w bezpiecznej odległości i przyjrzałem się psu. To było to samo zwierzę, które widziałem zdychające przy domu Morlaya. Poznałem je po jasnobrażowej sierści i małej, czarnej łatce na pysku. Czy jednak było to możliwe? Nie znam się na tym, ale mógłbym przysiąc, że tamten pies konał i nic nie zdołałoby go uratować.

11

Podszedłem bliżej, spojrzałem na grzbiet zwierzęcia. Podłużne, szerokie blizny odcinające się od jasnej sierści przekonały mnie ostatecznie, że miałem racje. To było zwierzę, które Bauseli Morlay katował na moich oczach. Tym dziwniejsze

było to, jakim cudem psu udało się nie tylko przeżyć, ale i tak szybko wrócić do zdrowia.

Przeniosłem wzrok z grzbietu zwierzęcia na jego oczy. To, co w nich ujrzałem sprawiło, że cofnąłem się kilka kroków.

W oczach psa była nienawiść. Pojąłem, że tak można nienawidzić tylko tego, kto wyrządził ci najgorszą z możliwych krzywdę. Znow przed oczami stanął mi obraz bicza, unoszącego się raz za razem i zwierzę, konające w ubrudzonym krwią śniegu.

Drzwi domu otworzyły się, kobiecy głos zawołał psa. I oto ujrzałem rzecz przedziwną, to wściekłe, przepelnione żądzą mordy stworzenie podkuliło ogon i skomląc pobiegło do swej pani. Pies łasił się do nóg kobiety, a gdy uniosła rękę, grożąc mu, rozpląszczył się przed nią jak przerażony niewolnik błagający o łaskę. Pokręciłem w zdumieniu głowa.

Za plecami usłyszałem stłumiony kaszel, a potem śmiech. Odwróciłem się. Po drugiej stronie ulicy stał dziadek Lucien. Wychudł i postarzał się od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni i zrozumiałem, że suchoty, na które cierpiał już wtedy, gdy ja byłem dzieckiem, wkrótce zabiorą go do grobu.

Skinął, zapraszając, bym do niego dołączył. Przywitałem go jak nakazuje szacunek dla starszych, on zaś objął mnie serdecznie. Pamiętam, że poczułem się zakłopotany, ale jednocześnie było mi przyjemnie, gdyż odkąd rozpocząłem naukę u Jarguela ludzie niechętnie się do mnie zbliżali.

– Ten pies... – zacząłem, gdy wypuścił mnie z objęć i urwałem, nie wiedząc jak sformułować niejasne myśli tłukące się w mojej głowie.

– Właśnie, pies – zachichotał i znow zaniósł się kaszlem. Tym razem trwało to długo. Wyjął z kieszeni chustkę i przyłożył do ust. Gdy chował ją z powrotem

dostrzegłem, że biel płótna splamiona jest krwią. Znów pomyślałem, że wkrótce będę zajmował się jego martwym ciałem. Zrobiło mi się smutno i przez chwilę nie pamiętałem o psie.

– Bauseli Morlay jest treserem – powiedział. – Doskonałym treserem. Dajesz mu psa, zwykłego niewychowanego kundla, który psoci, nie słucha i sika na podłogę w salonie, a on po kilku dniach zwraca ci zwierzę idealne, dokładnie takie, jakiego chciałeś. Ta kobieta na przykład boi się mieszkać sama, więc zażyczyła sobie psa,

12

który będzie atakował każdego obcego, zaś wobec niej będzie łagodny i uległy.

– Przecież to niemożliwe.

– Co znaczy możliwe? Co znaczy niemożliwe? – zaśmiał się dziadek Lucien, ale w jego oczach nie było wesołości. – Posłuchałbyś kiedyś ludzi, rzeczy, które plotą siedząc w gospodzie. Ten spotkał w lesie rusałkę, inny znów wilkołaka. Jeden wierzy w czary, inny zaś w to, że odwiedza go duch zmarłego ojca. Cóż, może nie wszystko to są wyssane z palca bzdury?

– Myśli pan...

– Ja nic nie myślę – uciął. – Ale powiem ci jedno, chłopcze. Byłem treserem psów na długo przedtem, nim ty się urodziłeś. Uczyłem psy cierpliwością i miłością, a one w zamian darzyły mnie sympatią. Lecz to, co robi ten człowiek... On łamie im dusze, pojmujesz, chłopcze? Łamie im dusze na drobniutkie kawałeczki, a potem składa z powrotem. Na tym polega jego nauka.



\*\*\*

Słowa dziadka Luciena skierowały moje myśli na nowy tor. Dotąd sądziłem, że Angevinie ewentualnie grozi niebezpieczeństwo ze strony nieznanego mężczyzny, o którym Simon Meury wspominał w liście, lecz Morlay - choć z pewnością ekscentryczny i pod pewnymi względami okrutny - zawsze może ją obronić. Teraz przyszło mi do głowy, że być może prawdziwym zagrożeniem dla Angeviny jest właśnie Morlay. Człowiek, który potrafi złamać duszę psa i złożyć ją na powrót.

Chciałem porozmawiać z owym mężczyzną wymienionym w liście Simona.

Być może wiedział coś o praktykach Morlaya i dlatego właśnie o niego wypytywał?

Trudność polegała na tym, że nie znałem nawet nazwiska tego człowieka.

Wiedziałem tylko, że interesował się Morlayem i jego przybraną córką. Zacząłem więc obchodzić miejscowe gospody, lecz nie wiedząc o co pytać ani jak, byłem niezręczny i gospodarze przepędzali mnie, każąc wracać do domu i zająć się swoimi sprawami. Zniechęciłem się szybko, ale nie zapomniałem o Angevinie.

Następnego dnia wróciłem pod jej dom. Stałem po drugiej stronie ulicy, w szybko gęstniejącym zimowym zmroku, z głową wciągniętą w ramiona i postawionym kołnierzem płaszcza, który wcale nie chronił mnie przed podmuchami wiatru. Dygotałem tyleż z zimna, co z powodu trawiącej moje ciało gorączki.

Wiedziałem, że to, co robię pozbawione jest sensu, a jednak nie potrafiłem się powstrzymać. Każdego dnia, gdy tylko zapadł zmrok, zaczynałem krążyć wokół domu Angeviny, coraz bliżej i bliżej, jak ośmielone zwierzę. Nie spotkałem żadnego z poddawanych tresurze psów i szybko doszedłem do wniosku, że Morlay wieczorami zamyka je w domu. Miałem więc wolną drogę i mogłem zrobić to, czego pragnąłem: wejść do ogrodu i zajrzeć przez okna, szukając wzrokiem Angeviny.

Jednak tego wieczoru, gdy zebrałem się na odwagę i przeskoczyłem płot, zdarzyło się coś, co nielicho mnie wystraszyło i jednocześnie podważyło moją teorię o psach zamykanych na noc w domu.

Księżyc wisiał nisko niebie, napęczniały i srebrzystoróżowy jak naznaczona plamami krwi moneta. Tego dnia temperatura spadła o kilka stopni, ale nie czuło się tego, bo ucichł wreszcie wiatr i zniknęła wisząca w powietrzu wilgoć. Tę mroźną, suchą noc z cienką warstwą złodowaciałego śniegu trzeszczącą pod stopami uważałem za pogodną.

Przeskoczyłem płot i ruszyłem w stronę oświetlonego okna. Szedłem przygarbiony, skradając się ostrożnie, co oczywiście niewiele miało sensu. Śnieg chrzęścił pod butami, a moja sylwetka w ciemnym płaszczu odcinała się wyraźnie od srebrzystej, zalanej księżycowym światłem powierzchni ogrodu. Gdyby ktoś podszedł teraz do szyby, zauważyłby mnie z pewnością.

Byłem już w połowie drogi, gdy coś zwróciło moją uwagę. Nie był to odgłos otwieranego okna, nie był to także chrzęst śniegu pod innymi niż moje stopami. To było po prostu... nie wiem, jak to określić, uczucie, że nie jestem już w ogrodzie sam.

Zamarłem w bezruchu, zatrzymując oddech. Potem wolno, wolniutko

rozejrzałem się wokół.

Przy furtce stał pies, szary, wyrosnięty wilczur. Właściwie nie widziałem go wyraźnie - dostrzegłem tylko dwoje sterczących uszu i zarys pyska, a później, gdy zwierzę poruszyło się, smukłą, pełną wdzięku sylwetkę. Trwało to ledwo chwilę i pies zniknął jakby był tylko snem. Nie pobiegł w głąb ogrodu - zimowe krzewy i drzewa były nagie i nie zdołałby się za nimi skryć. Jediną rozsądną, choć dość niepokojącą myślą było to, że pies wybiegł na ulicę, przez otwartą furtkę lub też przeskakując nad płotem.

Ale o tym wszystkim pomyślałem dopiero później. Teraz wycofywałem się powoli, idąc tyłem po własnych śladach, bo nawet przez myśl mi nie przeszło, by podejść do furtki i - zakładając, że naprawdę została ona otwarta dla owego

14

zagadkowego psa - przez nią wydostać się na ulicę.

Wydarzenia następnych dni pamiętam niejasno, miesza mi się też ich kolejność, częściowo z powodu upływu lat, a częściowo dlatego, że byłem wówczas na wpół przytomny, niewyspany i rozgorączkowany.

Myślę jednak, że najpierw, nim wreszcie udało mi się podejrzeć przez okno

Angevinę wraz z Morlayem, odbyłem rozmowę z Marią Grieu.

Maria Grieu była największą plotkarką w naszym miasteczku. Jeśli ona czegoś nie wiedziała, to nie wiedział tego nikt. Dlatego też właśnie do niej przyszedłem, by wypytać o Angevinę. Staruszka bała się mnie po trosze - a raczej zawodu, którego się uczyłem - i tłumiała ten strach niewybrednymi żartami. Nie lubiłem do niej chodzić,

ale tego dnia gotów byłem znieść wszystko - nawet dowcipy mówiące o tym, że przedsiębiorcę pogrzebowego można rozpoznać po unoszącej się wokół niego woni trupa.

Silenie się na wybiegi i sztuczki nie miało sensu - Maria Grieu była bystrą, ciętą w języku starowinką i przejrzałąby mnie w jednej chwili. Dlatego też po prostu zapukałem do drzwi, a gdy otworzyła zapytałem o Angevinę i jej przybranego ojca. Chwilę później siedziałem naprzeciwko niej przy kominku, pijąc czarną kawę i jedząc ciasto. Ciasto było twarde i wyjątkowo niesmaczne, a Maria Grieu spoglądała na mnie tak, jakby wiedziała, że nie przypadnie mi do gustu i z góry się na to cieszyła. Paliła fajkę jak mężczyzna, wydmuchując dym w moją stronę, ja zaś z całych sił starałem się nie krzywić.

Gdy zjadłem już tyle ciasta, że odłożenie talerzyka nie wyglądało na nieuprzejmość wobec gospodyni, przypomniałem jej o Angevinie.

– Ach – powiedziała. – Niewiele o niej wiadomo. Ani o nim, rzecz jasna.

Tajemnicze postaci, ta panna Angevina i pan Bauseli Morlay.

Zdanie to znaczyło nie tyle, że Angevina i Morlay to tajemnicze postaci, ile że są nimi dla reszty ludzi, lecz nie dla Marii Grieu, która wie wszystko na ich temat.

Nie zadałem pytania, a tylko spojrzałem na starowinkę wyczekująco, mając nadzieję, że w ten sposób najszybciej skłonię ją do zwierzeń. Czułem mdłości - może z powodu tego nieszczęsnego ciasta i dymu z fajki, a może z powodu gorączki, jaką miałem od kilku dni. A może też ze strachu, co powie mi Maria Grieu.

Staruszka chichotała przez chwilę, kręcąc się na fotelu, najwyraźniej ubawiona bladością mojej twarzy i głodem a zarazem lękiem wyzierającymi mi z oczu. Potem raz jeszcze pyknęła z fajeczki.

– Ona jest dzikim dzieckiem, wiesz o tym?

Spodziewałem się wszystkiego, nawet, a może najbardziej informacji, że Angevina nie jest przybraną córką Morlaya, lecz jego kochanką. Ale nie tego. Zdumienie moje było tak wielkie, że w pierwszej chwili nie zrozumiałem, co staruszka powiedziała.

– Dzikim dzieckiem? – powtórzyłem bezmyślnie.

– Dzieckiem wychowanym w lesie – powtórzyła zirytowana moją tępotą. –

Przez dzikie zwierzęta. Morlay znalazł ją, gdy miała pięć czy sześć lat, zabrał do siebie i wychował jak córkę. Przyznaję, że nieźle mu to wyszło. Dziewczyna wygląda na prawdziwą damę. Oczywiście jest strasznie... – udawała, że szuka właściwego słowa, wpatrując się we mnie z lubością – łatwa, lecz przecież to nie jej wina...

Cios trafił w próżnię. Wciąż gapiłem się na Marię Grieu bezmyślnymi oczyma.

– Biedactwo potrzebuje miłości – powiedziała, już bardziej z gniewem niż złośliwie. – A nie sądzę, by Morlay był zbyt czułym ojcem, choć – wyraz jej twarzy zmienił się i zachichotała – z drugiej strony może i jest nazbyt czuły. A przynajmniej chciałby być. Nieważne. Sieroty zawsze potrzebują miłości. Nigdy nie jest im dość. Tak jakby była w nich taka wielka, głodna dziura bez dna, w którą wrzucasz miłość i wrzucasz, lecz nigdy nie zdołasz jej zapełnić. Pojmujesz? Dlatego właśnie gotowa jest pójść z każdym, kto okaże jej choć cień sympatii. Nawet jeśli wygląda jak Ryży Jacob. Skoro tak zależy ci na tej dziewczynie dlaczego i ty nie spróbujesz szczęścia?

Nie sądzę, by ci odmówiła. Oczywiście musiałbyś podzielić się z innymi konkurentami, lecz...

Dopiero teraz jej słowa dotarły do mnie w pełni. Zerwałem się na nogi, krzyząc głośno. Próbowałem bronić Angeviny i oskarżać staruszkę. O bezduszną i złośliwą. O to, że nie ma pojęcia jaka naprawdę jest Angevina.

Maria Grieu śmiała się zadowolona.

\*\*\*

Mniej więcej w tym samym czasie - nie jestem pewien czy było to w noc następującą po owej rozmowie z Marią Grieu czy może nieco później - podkradłem się wreszcie pod okna domu Angeviny i zajrzałem do środka.

Byli tam we dwoje: ona i on. Poruszali się w takt muzyki, niesłyszalnej dla

16

mnie, stojącego w ciemnościach z czołem przyciśniętym do zimnej jak lód szyby. Potem Morlay zmienił płytę w gramofonie i znów zaczęli tańczyć. Nie potrafiłem rozpoznać tańca, teraz jednak, bogatszy o doświadczenie tych wszystkich lat i wciąż mając tę scenę przed oczami wiem, że to był walc.

Twarzy Angeviny skrytej za ramieniem mężczyzny nie widziałem. Patrzyłem na niego, na Morlaya. Miał na wpół przymknięte oczy i jedynie temu zawdzięczam

fakt, że nie zostałem odkryty.

Chciałem odejść, a przynajmniej odwrócić głowę, lecz nie mogłem.

Zażenowanie, jakie odczuwałem wdarłszy się w najbardziej intymne sekrety obcego człowieka walczyło we mnie z wstrętem i rozgoryczeniem. Próbowałem dopasować wyraz twarzy Morlaya do owej skomplikowanej układanki, której głównymi postaciami byli on, Angevina i martwy Simon. Nie potrafiłem, choć wiedziałem, że to, co widzę właśnie w twarzy mężczyzny jest ważne, może nawet najważniejsze.

Dopiero gdy skończyła się płyta i Morlay wypuścił Angevinę z objęć, byłem w stanie odejść od okna. Pobiegłem przez ogród, nie dbając o to, czy ktoś mnie usłyszy. Przeskoczyłem płot i zatrzymałem się na skraju dębowego zagajnika, w miejscu, z którego obserwowałem dom pierwszej nocy.

Całkiem niespodziewanie dla siebie samego rozplakałem się. Łkałem jak dziecko, uderzając pięściami w pień drzewa, a jednocześnie, jakąś trzeźwą cząstką umysłu tłumacząc sobie, że nie ma o co płakać, że to nie ma przecież żadnego znaczenia i naprawdę, ale to naprawdę, nie ma powodów do płaczu...

\*\*\*

Następnego dnia udałem się do domu Angeviny w dzień, jak każdy inny człowiek, a to tylko dlatego, że Maria Grieu ubzdurała sobie, że wyświadczy mi przysługę.

Choć, znając jej charakter, być może wcale nie była to przysługa. Może Maria

Grieu od początku wiedziała, co z tego wyniknie i cieszyła się na swój paskudny, złośliwy sposób.

Tak czy inaczej staruszka kupiła sobie psa, małego, nerwowego kundelka, którego piskliwy jazgot doprowadzał do szału. Tłumacząc się reumatyzmem, który nie pozwala jej zimą wychodzić z domu, poprosiła, bym zaprowadził zwierzę do Morlaya. Morlay miał zrobić z niego, jak określiła to Maria Grieu, słodkiego,

17

kanapowego pieska, w sam raz dla samotnej kobiety.

Wpakowała mi w ramiona ujadający, ciepły kłębek i, nim zdążyłem zaprotestować, z chichotem zamknęła drzwi.

Nie pozostało mi nic innego jak powędrować do domu Morlaya.

Ku mojej wielkiej uldze Bauseli Morlay zachował się tak, jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkali. Podałem mu psa - był tak maleńki, że niosłem go przez całą drogę - starając się przy tym nie patrzeć mężczyźnie w oczy. Miałem wrażenie, że jeśli to zrobię bez trudu odgadnie, iż widziałem go tamtej nocy.

Morlay złapał psa, niezbyt delikatnie, ale też bez zadawania mu bólu i wyniósł z pokoju. Tak więc znów zostałem sam i to dokładnie w tym samym saloniku, w którym tamtego dnia leżałem zemdlony na kanapie.

Z początku miałem wielką ochotę, by znów uciec bez słowa, wiedziałem jednak, że po raz drugi tego nie zrobię. Poza tym odejście Morlaya ośmieliło mnie i sprawiło, że znów zbudziła się we mnie ciekawość. Pan tego domu był z pewnością kimś niezwykłym, lecz kim? Czy rację miał dziadek Lucien mówiąc, że coś, co



powszechnie uważa się za wyssaną z palca bujdę może naraz okazać się prawdą?

Podszedłem do stojącego w rogu biurka i zacząłem przetrząsać szuflady, starając się robić to cicho i ostrożnie. Nie znalazłem jednak nic ciekawego. Prócz przyborów do pisania i rachunków było tam mnóstwo drobiazgów, w których nawet tak nieotrząskany ze światem chłopak, jakim wtedy byłem, bez trudu rozpoznał pamiątki z różnych regionów kraju. Były tam muszelki i kamienie, zasuszone kwiaty, pocztówki, rzeźbione pudełka, obrazek skaczącego przez fale delfina i drugi, przedstawiający górala, mały statek w buteleczce, a także cała masa innych - patrząc z perspektywy mego dzisiejszego doświadczenia - dość tandetnych przedmiotów. Były też zdjęcia, pasujące do owych przedmiotów - nienaturalnie upozowane, czarno - białe postacie na tle różnych krajobrazów.

Wniosek nasuwał się sam - Morlay i Angevina byli wędrownymi ptakami i nigdzie długo nie zagrzewali miejsca. Czy i z naszego miasteczka zamierzali wkrótce wyjechać? Mężczyzna wziął psa i nic nie wspominał o wyjeździe, ale pamiętałem, że przechodząc korytarzem dostrzegłem w jednym z pokoi stojące na podłodze walizki. Morlay i jego przybrana córka nie mieli wiele rzeczy - żadnych książek, obrazów ani ciężkich bibelotów, a meble w domu nie należały do nich. Bez trudu mogliby się spakować w kilka chwil.

Odsunąłem od siebie tę myśl.

18

Zainteresowało mnie szczególnie jedno pudełko, a właściwie mała szkatułka z czarnego drewna, zamknięta na zamek. Potrząsnąłem nią. Coś zagrzechotało w

środku. Rozejrzałem się w poszukiwaniu kluczyka.

Wtem drgnąłem i nadstawiłem uszu. Ktoś szedł korytarzem. Pośpiesznie zacząłem upychać szkatułkę z powrotem w szufladzie. Jednak wcześniej leżała ona pod stosem owych drobiazgów i teraz, gdy drobiazgi znalazły się na dnie, za nic nie chciała zmieścić się w szufladzie. Próbowałem jedną ręką zgarnąć pamiątki i podnieść je, a drugą wepchnąć pod spód szkatułkę, nie zdążyłem jednak – drzwi otworzyły się i Morlay zastał mnie stojącego przy otwartej szufladzie biurka, z zamkniętą na klucz szkatułką w dłoni.

Podszedł bliżej. Angevina, która wsunęła się do pokoju za nim została przy drzwiach.

Morlay wyjął mi szkatułkę z ręki i położył na biurku. Nie zrobiłem nic. Po prostu stałem tak, trzęsąc się i mając kompletną pustkę w głowie.

– Co miałeś zamiar tu znaleźć?

Dopiero po dłuższej chwili udało mi się wykrztusić kilka słów.

– Ja tylko... Chciałem się dowiedzieć... Te psy. Jak i dlaczego?

– Jak, nie powiem ci, bo to moja tajemnica. A dlaczego? Bo są słabe. Utraciły swoją wolność, swoją dzikość i siłę. Tak czy inaczej stały się już niewolnikami ludzi, więc to, co ja im robię, nie jest dla nich żadną różnicą.

– Nie rozumiem – wymamrotałem.

– Nie. Oczywiście, że nie rozumiesz. Tacy jak ty nigdy nie rozumieją.

A potem ni stąd ni zowąd zmienił temat.

– Tak się składa – powiedział spokojnie, jakby nie było wcale incydentu z czarną szkatułką – że ja i Angevina idziemy akurat w stronę rynku. Odprowadzimy cię.

\*\*\*

Szedłem wraz z Morlayem i Angeviną przez dębowy zagajnik. Mężczyzna został z tyłu, ja zaś dotrzymywałem towarzystwa dziewczynie. Powietrze wciąż było mroźne i suche, a słońce świeciło zimnym, grudniowym blaskiem. Zagajnik pokrywała warstwa śniegu, niezbyt gruba – u nas zimy bywają raczej dżdżyste niż mroźne – ale wystarczająca, by sprawić, że krajobraz wyglądał jak z pocztówki.

19

Pomyślałem, że będziemy mieć tego roku bardzo piękne święta.

Angevina szła lekkim, długim krokiem, tak blisko mnie, że czułem ciepło jej ciała. Prowadziliśmy jakąś pozbawioną znaczenia konwersację. Ja niezdarne, jękając się i potykając na najbardziej banalnych zdaniach, Angevina zaś swobodnie, z wprawą dobrze wychowanej pani. W pewnym momencie zapadło milczenie. Dziewczynie zdawało się to nie przeszkadzać, mnie jednak cisza szybko zaczęła ciążyć i, nie mogąc wymyślić tematu dalszej rozmowy, desperacko zapytałem o Ryżego Jacoba. Pamiętam, iż wspomniałem o przygotowaniach do wyjazdu, jakie widziałem w domu Angeviny i zasugerowałem, że Morlay zabiera córkę z naszego miasteczka, po to, by nie spotykała się więcej z Jacobem.

Roześmiała się i, ku mojemu przerażeniu, gestem dłoni przywołała Morlaya.

Powtórzyła mu moje słowa.

Spojrzał na mnie w zamyśleniu, a ja skuliłem się pod jego wzrokiem.

– Nie mam nic przeciwko temu, by Angevina spotykała się ze swoimi rówieśnikami – powiedział. – Wręcz przeciwnie. Chętnie witam w moim domu młodych ludzi. Przyjdź do nas, a przekonasz się, że mówię prawdę.

Zebrałem się na odwagę i podniosłem głowę. Twarz Morlaya miała ów szczególny, beznamiętny wyraz, który równie dobrze mógł oznaczać obojętność jak i silne, tłumione emocje. Angevina uśmiechała się, ale jej uśmiech nie sięgał oczu. W oczach miała nie wesołość, lecz głód, o którym mówiła Maria Grieu.

Oto los sam wkładał mi w ręce to, czego tak bardzo pragnąłem. A jednak nie przyjąłem zaproszenia. Bałem się Morlaya, który nie mógł być przecież szczery w swej uprzejmości, bo nie dałem mu żadnych powodów, by mnie polubił. Bałem się tego, co widziałem w oczach Angeviny i bałem się samej Angeviny, uśmiechniętej, wesołej Angeviny, nad którą wisiał cień Simona Meury leżącego z rozdartym gardłem pod cienką warstwą lodu.

Wykręciłem się jakąś niemądrą wymówką i pożegnałem się. Odszedłem, nie spoglądając za siebie.

\*\*\*

– Czy zastałem... – omal nie powiedziałem „Ryżego Jacoba” – Jacoba?

– Poszedł spotkać się z panienką Angeviną. – Służąca zamknęła mi drzwi

przed nosem. Podniosłem palec, by raz jeszcze wcisnąć przycisk dzwonka i zapytać o

20

której chłopak wróci, lecz w tym momencie ktoś szarpnął mnie za ramię,

– Jesteś przyjacielem Jacoba?

Pytanie zadał chudy, dość krzepko wyglądający staruszek. Jego jasnobłękitne patrzyły na mnie z nadzieją, a blada, okolona kosmykami przetłuszczonych siwych włosów twarz była napięta jak struna skrzypiec.

Skinąłem głową, choć w rzeczywistości nie byłem przyjacielem, a tylko znajomym Jacoba. Ryzy Jacob nie miał przyjaciół.

– Chodź. – Staruszek ciągnął mnie w stronę znajdującego się po drugiej stronie ulicy małego skwerku. Ławki pokryte były warstwą zlodowaciałego śniegu i nie można było na nich usiąść, ale przynajmniej nie groziło nam tu stratowanie przez przechodniów, śpieszących ulicą w gorączce przedświątecznych zakupów.

– Kim pan jest?

– Pierre Cazeaux – przedstawił się, mnie jednak nazwisko to nic nie mówiło.

Widząc moje zdumione spojrzenie mężczyzna pośpieszył z wyjaśnieniami.

– Przyjechałem z daleka, szukając Bauseli Morlaya i jego przybranej córki. Od dawna ich tropię. Jestem chyba jedyną osobą, która wie, kim on naprawdę jest. Ale nikt – nikt! – nie chce mi wierzyć! Uważają mnie za wariata, szaleńca...

W kąciku jego ust pojawiła się odrobina piany. Wyciągnął ręce, by chwycić mnie i jak, sędzę, potrząsnąć mną. Odsunąłem się przezornie. Starzec w istocie wyglądał na szaleńca.

W tym uprzytomniłem sobie, że musi to być człowiek, o którym Simon Meury wspominał w liście. Człowiek, którego sam bezskutecznie szukałem.

– Śmieją się ze mnie – ciągnął – a policja nawet nie chce spisać moich zeznań.

Mówią, że opowiadam bajki. Czy ty wierzysz w bajki, chłopcze?

Jak zahipnotyzowany skinąłem głową, wciąż jeszcze stojąc w bezpiecznej odległości od starca, ale już gotów – po tym wszystkim, co ostatnio widziałem – mu uwierzyć.

Pierre Cazeaux odetchnął.

– Trzeba ostrzec Jacoba. Morlay go zabije. W wilczej, nie w ludzkiej postaci.

Nigdy nie pozwoli jej odejść.

Znów przed oczami stanął mi znajomy obraz.

Martwy Simon Meury, leżący na wozie i Jarguel, wskazujący ranę na jego szyi, a później niedaleką ścianę lasu.

– Zdziczałe psy albo wilki – mówi.

21

Teraz wiedziałem już, że nie były to wilki, a tylko jeden wilk, na co dzień noszący ludzką skórę.

\*\*\*

Jacob poszedł spotkać się z panienką Angeviną.

Biegłem, zostawiając Pierre'a Cazeaux daleko z tyłu. Oczy zalewał mi pot, w płucach płonął ogień. W dębowym zagajniku przystanąłem na chwilę i zgiąłem się w pół, rozpaczliwie łapiąc oddech.

Wtem kątem oka dostrzegłem pomiędzy ośnieżonymi drzewami coś, co bluźnierczo plamiło ten pogodny, świąteczny krajobraz.

Odwrociłem się. Pod koroną wielkiego dębu leżało zakrwawione ciało. Ciało Jacoba – bez trudu mogłem dostrzec rudą czuprynę odcinającą się od śnieżnej bieli równie mocno, jak czerwień rozwierającej się w jego gardle rany.

Podszedłem do niego wolno. Pochyliłem się i dotknąłem dłoni chłopaka. Była jeszcze ciepła. Wyprostowałem się i rozejrzałem wokół.

Stali na skraju zagajnika: Morlay i Angevina. Ona naga i brudna, ze skołtunionymi włosami, pozwalała się właśnie otulać płaszczem. Potem on wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę domu.

Zacisnąłem powieki i podniosłem je na powrót. Przez moment myślałem, że oślepiły mnie łzy, ale to był tylko pot, wciąż spływający z czoła i szybko stygnący w mroźnym powietrzu. Wigotne ubranie lepiło mi się do ciała. Dygotałem, czując jak zimno przenika mnie aż do kości.

Gdy miałem zamknięte oczy pod powieki wsunął się obraz, który widziałem chwilę temu. Naga Angevina, stojąca na śniegu. Biel jej skóry, naznaczonej smugami brudu. Czarne, rozczochrane włosy spływające na piersi. Jej piękno i wdzięk.

Niebezpieczny wdzięk dzikiego, leśnego stworzenia. Więc to nie on, lecz ona, dotarła do mnie myśl. To Angevina nosi wilczą skórę, nie Morlay.

Ale nadal nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi na pytanie: Dlaczego?

Wrzasnąłem i pobiegłem za nimi. Biegając wciąż krzyczałem, wymachując ramionami jak szaleniec. Morlay obejrzał się, ale nawet nie przyśpieszył kroku. Prowadził Angevinę, podtrzymując ją, jakby była chora. Dogoniłem ich, gdy byli już przy domu. Tym razem brama była otwarta i stał w niej samochód. Klapa bagażnika była podniesiona, w środku leżały walizki.

22

Uczepiłem się ramienia Morlaya, bełkocząc coś bez sensu. Odepchnął mnie bez wysiłku, jak natrętnie dziecko. Upadłem w śnieg. Chwilę trwało nim, ślizgając się niezdarnie na oblodzonej ścieżce, zdołałem wstać.

Morlay i Angevina wchodzili już do domu. Pobiegłem za nimi. Za późno.

Drzwi zamknęły się, usłyszałem zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Uderzyłem pięścią w drzwi, raz, a potem drugi, coraz mocniej i mocniej aż na kostkach palców pojawiły się krwawe ślady.

Na próżno. Odwróciłem się, spojrzałem w słońce. Zachodziło już powoli, chowając się za dębowym zagajnikiem, lecz w momencie, gdy na nie patrzyłem, jeden krótki, ostry błysk prześliznął się ponad drzewami i dotarł aż do mego mózgu. Krzyknąłem, osłaniając oczy ramieniem. Wzrok wrócił po chwili, ból w oczach zelżał. Poszedłem w stronę samochodu, wyciągnąłem z bagażnika jedną z walizek i kamieniem rozbiłem zamek.

Morlay i Angevina wyszli z domu, gdy przetrząsałem właśnie zawartość drugiej walizki.

Dziewczyna ubrana była już w suknię i zimowe palto, na nogach miała ciepłe



buty, a jej dłonie chroniły skórzane rękawiczki. Wciąż wyglądała na otepiałą, jak człowiek, który obudził się po długiej chorobie, ale szła bez pomocy Morlaya.

Wyobraziłem sobie – nie wiem, czy było to prawdą, ale czułem, że tak – mężczyznę w skupieniu, powolnymi ruchami zmywającego brud z jej jasnej skóry, a później wciągającego na zgrabne ciało poszczególne sztuki wcześniej przygotowanego ubrania: bieliznę, pończochy i suknię...

Dziewczyna wsiadła do samochodu, nawet na mnie nie patrząc. Oparła czoło o szybę, przymknęła oczy. Na jej ustach igrał osobliwy, senny i zadowolony uśmiech.

Tym samym kamieniem rozbiłem zamek szkatułki z czarnego drewna.

Zanurzyłem dłonie w chłodnej gęstwinie łańcuszków, medalików, spinek do krawatów i sygnetów. Męskich, niewiele wartych drobiazgów. Wyciągnąłem do Morlaya rękę, pomiędzy moimi palcami wisiał złoty łańcuszek z krzyżykiem, który Simon Meury nosił na szyi od dnia Pierwszej Komunii Świętej.

– To dlatego? – zapytałem. – Dlatego ona zabija? Dla tych drobiazgów?

– To tylko pamiątki. – Morlay obojętnie wzruszył ramionami. Jego twarz jak zawsze była pozbawiona wszelkiego wyrazu. A potem wypowiedział imię „Angevina” i w jego oczach pojawił się ból.

– Angevina... – powtórzył. – Gdy mężczyzna przebywa sam na sam z

Angevina musi być świadom istnienia granicy, której nie wolno mu przekroczyć. Za wszelką cenę nie wolno mu przekroczyć tej granicy. Bo ona zabija tych, którzy zbliżą się do niej za bardzo. Pojmujesz?

Nie pojmowałem, ale zdawało mi się, że znalazłem wyjaśnienie.

– Wytresowałeś ją! Wytresowałeś ją jak psa, by zabijała! – wrzasnąłem.

– Dlaczego miałbym to robić? – powiedział cicho i spokojnie. – Zawsze taka była. Moja idealna Angevina. Nie niszczy się czegoś, co jest doskonałe.

Nadal nie rozumiałem. Z uporem wróciłem do tego, o czym myślałem wcześniej.

– Mordercy! – krzyknąłem, znów wyciągając drżące dłonie w stronę Morlaya.

W jednej ręce trzymałem łańcuszek, w drugiej szkatułkę z czarnego drewna. –

Złodzieje! Zabijacie, a później okradacie zwłoki!

Jego twarz skrzywiła się konwulsyjnie w grymasie gniewu. Cofnąłem się, a on postąpił naprzód, wyrwał mi z rąk szkatułkę i łańcuszek i cisnął wszystko w śnieg.

– Tyle znaczą dla mnie te rzeczy – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Nie więcej.

Potem wepchnął walizki do bagażnika nie troszcząc się o to, by je z powrotem spakować i zamknąć. Nie obejrzał się już, po prostu siadł za kierownicą i uruchomił silnik. Samochód ruszył, a ja zastałem sam, ze wspomnieniem gniewu Morlaya i kocim uśmiechem Angeviny pod powiekami.

U moich stóp leżały drobiazgi, które wypadły z czarnej skrzynki. W śniegu wesoło skrzyło się złoto i srebro.

Nie rozplakałem się, choć chciałem to zrobić. Miałem wrażenie, że płacz, dziecinny płacz przywróciłby równowagę otaczającemu mnie światu i znów mógłbym spoglądać na niego niewinnymi oczami.

Ale nie potrafiłem już płakać.

Podniosłem złote i srebrne drobiazgi, otrzepałem je ze śniegu i włożyłem do kieszeni płaszcza. Szkatułkę zostawiłem tam, gdzie leżała, nie zabrałem też psa Marii

Grieu, którego żałosne szczekanie słyszałem z głębi domu.

\*\*\*

Już wtedy, patrząc na odjeżdżający samochód, wiedziałem w głębi duszy, że nie zrobię nic. Nikomu o tym nie opowiem, nikomu nie pokażę tych małych pamiątek, które zbierali Morlay i Angevina.

24

W momencie gdy mężczyzna cisnął mi pod nogi szkatułkę, przerzucił na mnie część swojej winy, a ja, wkładając ozdoby do kieszeni, obciążyłem się winą jeszcze większą. Nie potrafiłbym wytłumaczyć, dlaczego Morlay porzucił szkatułkę, a także dlaczego jej zawartość znalazła się w mojej kieszeni. Nikt by tego nie zrozumiał. Ja tego nie rozumiałem.

Tej nocy nie zmrużyłem oka. Bałem się, że odnajdzie mnie Pierre Cazeaux i zapyta, co wydarzyło się w dębowym zagajniku i pod domem Morlaya. Bałem się, że ktoś trafi przypadkiem na spoczywające w mej kieszeni łańcuszki, medaliki, sygnety... Leżąc w ciemnościach miałem wrażenie, że ozdoby płoną i lada moment przepalą materiał płaszcza.

Nic takiego się nie wydarzyło.

Ryży Jacob został uznany za jeszcze jedną ofiarę zdziczałych psów bądź

głodnych wilków. Pierre Cazeaux, który, jak uprzytomniłem to sobie znacznie później, nawet nie znał mojego nazwiska, po prostu wyjechał z miasteczka.

Zawartość czarnej szkatułki zakopałem w lesie. Być może spoczywa tam do dzisiaj. Nie wiem. Nie chcę wiedzieć.

O Morlayu i Angevinie usłyszałem przypadkiem jeden, jedyny raz, gdy mieszkałem już w innym, większym mieście, daleko od miejsca, w którym się urodziłem.

Zapytałem o nich.

Powiedziano mi, że mężczyzna i kobieta nazywający się tak i tak przejeżdżali przez to miasto niedawno. Zwrócili na siebie uwagę, bo ona była bardzo piękna, a on nosił się z godnością jak prawdziwy pan.

Śmiali się i wyglądali razem na bardzo szczęśliwych. Ktoś wspomniał nawet, że sprawiali wrażenie ludzi, którzy odnaleźli w życiu radość i spokój.

Lecz ja wiedziałem, że nie jest to najbardziej prawdopodobne zakończenie tej historii...

25

## **Czwarta nad ranem**

Gdy wyszła z wody na suchy, chłodny piasek plaży, faun właśnie wciskał włochate stopy w jej sandałki.

Podeszła do niego, drżąc z zimna. Morze za jej plecami miało kolor ołowianych kul, a różowa łuna na wschodzie przypominała rumieniec powracający niespodziewanie na policzki trupa. Świtało. Godzina czwarta nad ranem. Doskonała

pora na zawał serca albo na samobójstwo.

Niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. Palce przebiły wierzchnią warstwę suchego piasku i dotknęły dolnej, wilgotnej i jeszcze zimniejszej. Wzdrygnęła się, potarła bosą stopą o łydkę. Potem uciekła spojrzeniem w bok, gdzie spoczywały wyciągnięte na plażę rowery wodne, łodzie i smukłe kajaki.

– To moje sandały – powiedziała niepewnie.

Faun obdarzył ją miłym uśmiechem.

– Wiem, kotku. To zdecydowanie nie mój rozmiar. Poza tym nigdy nie byłem aż tak ekstrawagancki, by nosić obcasy.

– Czy w takim razie mogłabym je odzyskać?

Podał jej buty. Włożyła je, wcześniej niezbyt dokładnie otrzepawszy mokre stopy z piasku. Czy kąpała się w morzu? Chyba nie, bo przecież miała na sobie sukienkę, a rozsądne dziewczęta nie kąpią się w ubraniu. Fakt, że sukienka była wilgotna, złożyła na karb słonych bryzgów, które wzbijały się w powietrze, gdy fale uderzały o skały.

Faun spoglądał na nią z ciekawością, a wiatr bawił się kosmykami na jego szpiczastych uszach. Wyglądał całkiem sympatycznie, taki zarośnięty. Aż się miało ochotę wziąć szczotkę i go wyczesać.

– Jak ci na imię? – zapytał.

Poczuła zawrót głowy i ściskanie w dole brzucha, zupełnie jakby zajrzała w głąb bardzo głębokiej i bardzo ciemnej studni. Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Gardło miała suche jak papier ścierny.

– Ja... Paola. – Odetchnęła z ulgą. – Oczywiście, mam na imię Paola.

– Oczywiście – przyświadczył faun, a coś w jego głosie sprawiło, że poczuła

niepokój. Cofnęła się znad brzegu studni, ale ona wciąż tam była. Tak głęboka, że

26

gdyby wrzucić do niej pieniędzy, spadałby aż po kres czasu.

– Ja jestem Cornelius. Teraz, gdy prezentację mamy za sobą, chodź ze mną.

Widzę, że przydałoby ci się coś suchego do ubrania i kubek gorącej kawy.

\*\*\*

Zaprowadził ją do salonu gier. Było to ostatnie miejsce, o którym w tej chwili by pomyślała, ale w końcu czego można się spodziewać po faunie?

Automaty mrugały czerwonymi i niebieskimi światłami, a ich kolory w szarówce świtu były bardzo blade, jakby cierpiały na poważną anemię. W sali siedziały dwie driady, bose, długonogie i bujnowłose. Czupryna jednej była czarna, a drugiej kasztanowa. Miały na sobie płócienne sukienki i lekkie swetry, jakie nosi się nad morzem w letnie wieczory. Rozmawiały przyciszonymi głosami, popijając coś z plastikowych kubków. Na widok wchodzących podniosły głowy i obrzuciły Paolę ciekawymi spojrzeniami.

– To Amalea, a to Mona – przedstawił je faun. – A to Paola. Znalazłem ją nad morzem. Dokładnie na brzegu – dodał, jakby to miało znaczenie. – Pokażcie jej prysznic, dziewczęta, i znajdźcie coś ciepłego do ubrania.

Amalea, ta kasztanowłosa, uśmiechnęła się szeroko i zaprowadziła Paolę do pomieszczenia z napisem: „Tylko dla personelu”. Była tam toaleta i prysznic, a odrapaną ścianę w kolorze owsianki zdobił nieaktualny kalendarz ze zdjęciem półnagiej pary, która całowała się na tle zachodzącego słońca. Podpis pod zdjęciem głosił: *Dajerna – miłość nigdzie nie znalazła piękniejszej przystani.*

Dajerna, pomyślała Paola, przypominając sobie hasła reklamowe, które słyszała o tym miejscu. Raj dla zakochanych, romantyczne ruiny i intymne zatoczki nad morzem, w śródmieściu puby i dyskoteki, gdzie przedstawiciele jednej płci mogli poznać przedstawicieli drugiej, a ponadto także zabytkowa fontanna i barokowy kościółek, słynny z obrazu, który przedstawiał świętego Franciszka wśród leśnego ludu. Maleńkie miasteczko, położone na równie maleńkiej wyspie, historią sięgało starożytności, lecz teraz zostało zamienione w modny kurort. Specyficzny kurort, bo Dajerna nigdy nie była szeroko reklamowana i dzięki temu uniknęła najazdu tłumów wczasowiczów, zachowując wiele staroświeckiego uroku. A w pewnych kręgach miała opinię miejsca, do którego należy się wybrać, jeśli ktoś szuka romantycznej letniej przygody.

27

Paola pamiętała tylko, że przyплыnęła tu promem, nic więcej. Miała jednak pewność, że nie szukała letniej przygody. Była na to przecież zbyt młoda.

Odkręciła prysznic, chcąc zagłuszyć kotłujące jej się w głowie myśli. Potem zdjęła wilgotną sukienkę i bieliznę. Sandałki zostawiła. W powietrzu unosiła się woń detergentów, wilgoci i niechybnej grzybicy stóp.

Wyszorowała się dokładnie kawałkiem szarego mydła i umyła włosy, ciężkie od morskiej soli. Gdy skończyła, weszła Amalea, niosąc sukienkę, ręcznik, a nawet grzebień.

Paola wytarła się i ubrała pospiesznie. Sukienka była zbyt duża, ale miła w dotyku, z jakiegoś naturalnego materiału. Potem dziewczyna sięgnęła po grzebień. W łazience brakowało lustra, więc rozczesła tylko włosy, licząc, że po wyschnięciu ułożą się same.

\*\*\*

– Trzymaj. – Amalea podała jej monetę. – Kup sobie coś z automatu. Dzieci uwielbiają wrzucać pieniądze do automatu.

– Nie jestem dzieckiem – obruszyła się Paola, ale podeszła do stojącej w rogu kolorowej skrzyni i wybrała przycisk z napisem „cappuccino”.

Kawa była paskudna, ale Paoli wydawała się dobra. Miała smak przygody.

Pijąc ją o czwartej nad ranem, dziewczyna czuła się niczym policjant z telewizyjnego serialu, wyrwany ze snu o świcie po to, by jechać na miejsce zbrodni. Usiadła na pustym stole bilardowym, machała nogami w powietrzu i patrzyła, jak Cornelius bawi się jednym z automatów. Prowadził wyścigówkę, a Mona i Amalea kibicowały mu, piszcząc głośno, gdy na ekranie auto rozbijało się o przeszkody.

Paola pociągnęła łyk kawy, rozkoszując się jej słodyczą. Byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby do kompletu mogła dostać jeszcze pączka. Policjanci w



amerykańskich filmach zawsze jedli pączki.

Policjanci przywieźli jej na myśl ofiary wypadków, a to z kolei sprawiło, że nagle pobladła, a ostatni łyk kawy zmienił się w jej ustach w płynne błoto.

– Corneliusie? – zapytała z drżeniem w głosie. O tak, jej głos naprawdę drżał, choć nie przeszkadzało jej to przy okazji rozkoszować się dramatyzmem tej chwili.

Ostatecznie, rzadko ma się okazję zadać takie pytanie.

– Słucham cię, kotku. – Faun przerwał grę, a mały samochodzik na ekranie

28

uderzył w barierkę, efektownym łukiem wyleciał w powietrze i wybuchł.

– Czy ja... hmm... czy ja umarłam?

Miało to zabrzmieć dramatycznie, a zabrzmiało głupio. Zaczerwieniona aż po białka oczu Paola pomyślała, że jedną z najbardziej przykrych wad dorastania jest fakt, że wszystkie mądre w zamierzeniu słowa natychmiast po wypowiedzeniu wydają się kompletnie idiotyczne.

Zanotowała sobie w myśli, by powtórzyć komuś to spostrzeżenie przy najbliższej okazji.

– A czujesz się martwa?

– No cóż... – zawahała się. – Nie, zdecydowanie nie.

– Moim zdaniem wyglądasz na jak najbardziej żywą – zapewnił ją Cornelius.

– A więc wszystko jest w porządku.

Paola nie była tego pewna. Pamiętała już, że przyjechała do Dajerny ze starszą siostrą. Elettra lubiła to miejsce, jeździła tu co roku i zawsze wracała zadowolona, a

przez następnych kilka miesięcy telefon urywał się od westchnień jej odrzuconych wielbicieli. Tego lata zabrała Paolę ze sobą, bo dziewczyna stanowczo odmówiła wyjazdu na kolejny obóz. Elettra ostrzegła przy tym siostrę, że niewiele tu będzie młodości w jej wieku. Dajerna nie była miejscem dla niemal-już-piętnastoletnich dziewcząt, tylko dla dorosłych, najlepiej zakochanych dorosłych. Albo dla tych, którzy chcieli się zakochać.

Przez głowę Paoli przelatywały wspomnienia z wakacji, tak wyraziste, a jednocześnie obojętne, jakby oglądała je na pocztówkach. Oto ona: siedzi samotnie na plaży i stara się ignorować czułe szepty pary, która tuli się do siebie za jej plecami. Boi się zasnąć i czyta w pokoju hotelowym książkę, podczas gdy Elettra bawi się na dyskotecie. Pije colę w towarzystwie przyszczatego chłopaka, zerkając przy tym dyskretnie na zegarek, bo przecież o dwudziestej musi już być z powrotem w hotelu. Wypożycza kajak i wypływa nim z dala od ludzi, sam na sam z morzem, które wcale nie ma koloru ołowianych kul, lecz jest zielonkawoblękitne i przejrzyste jak szyba. Paola przypomniawszy sobie wszystko aż do wczorajszego wieczora, który poprzedzał dzień jej piętnastych urodzin. Nie pamiętała, co wydarzyło się zeszłej nocy. Dlaczego znalazła się nad morzem. Nie chciała o tym myśleć.

– Będzie dobrze – szepnęła do siebie, celując plastikowym kubkiem w kosz na śmieci. Trafiła. O szyby zabębnił deszcz. Podniosła głowę i ujrzała w nich pazury i kły, lisie ucho i wilczą kitę. A może to było tylko światło rozmazane w kroplach

– Nic ci nie jest, kotku?

– Nnnie... – odparła niepewnie. – Co ze mną będzie?

– Jak to co? – Faun uśmiechnął się szeroko. Bardzo szeroko, niczym klaun. –

Pójdiesz z nami na bal.

\*\*\*

– Tu zawsze jest czwarta nad ranem, prawda? – zapytała, gdy szli wilgotną po deszczu ulicą. Wiatr to cichł, to znów wzrastał się, szarpiąc ich ubrania.

Mijali pozamykane sklepy, restauracje i stragany z pamiątkami. Z nielicznych czynnych barów dolatywały ciche śmiechy i dźwięki muzyki. Jakaś para tańczyła na chodniku przy dźwiękach *Wonderful World* Louisa Armstronga, nieco dalej dwie nimfy obejmowały się i chichotały jak pensjonarki, a przez pusty rynek kłusował centaur, niosąc na swym grzbiecie zielonego jak trawa sylena.

– Oczywiście – przyznał Cornelius.

Jako dziecko Paola lubiła wstawać o czwartej. Taka pobudka niosła w sobie zapowiedź jakiejś przygody, najczęściej dalekiej podróży. Lubiła oglądać niemal puste ulice, po których wiatr przeganiał śmieci, objuczonych srebrnymi bańkami mleczarzy, sennych dozorców i pijaczków, którzy wracali do domów po całonocnych libacjach. Nie widywała ich o późniejszej porze i pewnie dlatego godzina czwarta nad ranem miała dla niej posmak zaglądania za kulisy świata. Zupełnie jakby w teatrze weszła za scenę i zobaczyła poprawiające fryzury aktorki, rusztowanie, tył dekoracji z

dykty i faceta, którzy przy pomocy liny ciągnie kurtynę do góry.

A teraz już naprawdę jestem za kulisami świata, pomyślała Paola. Podobało jej się to określenie: kulisy świata. Uwielbiała słowa, choć one ją nie bardzo, bo inaczej nie brzmiałyby tak głupio, gdy tylko wypowiedziała je na głos.

Czwarta nad ranem miała swój kolor, zapach i smak, a nawet ciężar. Była szara, pachniała świeżością i wilgotnym kurzem, miała smak kawy z automatu pitej w plastikowym kubku i była ciężka jak głowa, do której Piaskowy Dziadek nasypał pół kilograma piasku.

Zatrzymali się przy stacji benzynowej, gdzie Paola kupiła sobie colę i snickersa. Sprzedawcą był posiwiały faun, a za zakupy zapłaciła Amalea. Na pytanie, skąd ma pieniądze, odparła beztrąsko, że z fontanny, do której wczasowicze na

30

pamiątkę wrzucają drobne monety.

Dziewczyna odpakowała snickersa i ugryzła, uznając, że to całkiem niezły ekwiwalent amerykańskiego pączka. Poza tym rano należało jeść słodczyce, by podnieść poziom cukru we krwi. Nie ma to jak cukier na depresję, a o czwartej nad ranem człowiek ma do niej szczególne skłonności. Wtedy zdarza się najwięcej samobójstw, a w szpitalach często umierają pacjenci. Paola czytała o tym w gazecie. Wyszła na zewnątrz. Zostawiła otwarte drzwi i gdy jadła batonika, popijając go colą, dobiegała ją rozmowa Mony i Corneliusa, którzy zatrzymali się przy stoisku z prasą.

– Myślisz, że On tam będzie? – Ten śpiewny, łagodny głos to oczywiście

czarnowłosa Mona. Nacisk na słowie „on” sprawił, że Paola od razu wyobraziła sobie Jego jako kogoś pisanego wielką literą.

– Chyba tak. – To Cornelius, najpewniej wzruszający teraz ramionami. – On przekracza granicę, kiedy chce. Po co tu przychodzi? Niech się bawi z kobietami, niech tańczy i uwodzi. Ale takie łązenie w tę i z powrotem sprawia tylko, że mylimy się w rachunkach.

Nagły podmuch przywiał zmiętą gazetę, która u stóp Paoli wpadła w kałużę.

Dziewczyna przydepnęła ją, zaczęła, aż ucichnie wiatr, a częściowo suchy jeszcze papier przestanie się szarpać. Potem odsunęła stopę i nachyliła się.

Spojrzała wprost w czarno-białą twarz Maurizia, jednego z wielbicieli Elettry, porzuconego przed kilkoma dniami dla bardziej atrakcyjnego kandydata.

Zamieszczony obok zdjęcia artykuł mówił, że mężczyzna zmarł wczorajszego ranka w szpitalu. Powodem śmierci były liczne obrażenia, jakich doznał, gdy jego samochód uderzył w barierkę i stoczył się do morza. Policja wstrzymała się na razie z wyjaśnieniem, jak doszło do wypadku. Sugerowano tylko, że przyczyną mogła być zła widoczność, bo poranki w Dajernie bywały mgliste.

Autor artykułu nie podał godziny, o której zdarzył się wypadek, lecz Paola mogłaby się założyć, że była wtedy czwarta nad ranem.

Kucnęła, by przeczytać ostatnie zdania. „*Maurizio Rizzardi twierdził, że stracił panowanie nad kierownicą, ponieważ nagle w lusterku wstecznym ujrzał...*”. W tym miejscu tekst przesłaniał ciemnobrązowy odcisk jej podeszwy. Błoto układało się w fantazyjne linie, tworząc zarysy zwierzęcych uszu, pysków i zębów. Zawiał wiatr, powierzchnia kałuży zafalowała, a uszy, pyski i zęby zakotłowały się, najpierw w rytm podmuchów, a potem coraz szybciej, zyskując barwy i wyrazistość lustrzanego

odbicia.

– Paola?

Pisnęła i odskoczyła. Ale to tylko Cornelius podawał jej kurtkę przeciwdeszczową.

– Włóż to. Za chwilę znów może padać.

Jaki on miły, pomyślała Paola i z przyjemnością zanurkowała w ocieplany, pachnący gumą materiał.

– Kim jest ten On? – zapytała po chwili, walcząc z obszernym kapturem, który opadał jej na oczy. – Ten, który ma być na balu?

– Nikt ważny – zlekceważył jej pytanie faun. – Nie jest jednym z nas. Ma wiele imion albo nie ma żadnego, to zależy, jak na to patrzeć. Poznasz go od razu, ale najlepiej nie odzywaj się do niego ani nie zwracaj na niego uwagi.

Paola pokiwała głową, choć odpowiedź niewiele jej mówiła. Myślała o balu, prawdziwym balu, na który została zaproszona, a także o biednym martwym

Maurizio, który niegdyś chodził z jej siostrą, a potem został sam, bez pary, porzucony niczym niepotrzebny dodatek.

\*\*\*

W holu czterogwiazdkowego hotelu „Giberti” kręciło się mnóstwo dziwnych postaci w jeszcze dziwniejszych strojach. Były tu nimfy w wyszywanych perłami sukniach, driady w skórzanych kurtkach i wściekle kolorowych wełnianych pończochach, faunowie w aksamitno-koronkowych kubrakach i sylenowie, ubrani w futurystyczne srebrne kombinezony. Paola bez trudu domyśliła się, skąd pochodzą te stroje, bo kiedyś z nudów wybrała się na popołudniowe przedstawienie do miejscowego teatru. Czy bal już się rozpoczął? Sądząc po przebraniach i dobiegającej z głębi hotelu muzyce, chyba tak.

Przy recepcji siedział zielony i brodaty sylen. Jako jedyny w tym towarzystwie nosił po prostu dżinsy i koszulkę z napisem: *I'm one of those bad things that happen to good people*. Pochylony, stukał pracowicie w klawiaturę komputera.

– Co on robi? – szepnęła Paola, a Mona w odpowiedzi zbliżyła usta do jej ucha.

– To Renato, najważniejszy z nas wszystkich. On liczy.

– Co liczy? – Dziewczynie przypomniały się znajdowane w fontannie

32

pieniążki. Może Renato był tu kimś w rodzaju księgowego?

– Ludzi – odparła czarnowłosa driada. – Tych, którzy przyjechali tu na wakacje. Oczywiście tylko dorosłych, nie dzieci. Pilnujemy, żeby wszystko było w porządku. Takie jest nasze zadanie. Jaki wynik, Renato? – zapytała głośno.

Sylen podniósł głowę. Jego oczy lśniły różowo, jakby nosił kolorowe szkła kontaktowe.

– Dwa tysiące czterysta czterdzieści dwa. Cudowna liczba. – Wyszczerył do

Paoli ostre zęby, a ona wzdrygnęła się lekko. – Parzysta. Bóg uwielbia parzyste

liczby. To znaczy, że przynajmniej na razie nikt nie musi się niczego obawiać.

Stojąca obok Amalea roześmiała się perliście, a Mona z roztargnieniem

poklepała Paolę po ramieniu.

– Zaczekaj tu, a my poszukamy dla ciebie jakiegoś stroju.

Nim dziewczyna zdążyła zaprotestować, odeszła wraz z Amaleą i

Corneliusem. Renato wrócił do swojej pracy. Pomrukując pod nosem, stukał w

klawiaturę, a komputer w zamian wypluwał rzędy cyfr. Paola zauważyła, że na ścianie

recepcji wisi zegar wskazujący godzinę dziesiątą, pamiętała też okrągły czasomierz,

który widziała na stacji benzynowej. Oba niewątpliwie działały.

Po co zegary w świecie, w którym zawsze jest czwarta nad ranem?

Sięgnęła do okrągłego stojaka, na którym pocztówki pyszniły się wszystkimi

barwami tęczy. Oglądała pary przytulone do siebie na tle malowniczych zachodów

słońca, śmiejące się pod plażowymi parasolami i spacerujące bulwarem z dłońmi

splecionymi i wyrazem rozmarzenia na twarzach. Tylko dwie pocztówki

przedstawały coś innego niż zakochanych i to one właśnie przyciągnęły jej uwagę.

Na jednej z nich mężczyzna w tradycyjnym stroju wypoczywał pod drzewem

pomarańczowym, a na drugiej uśmiechnięty stary rybak, stojąc w łódce, podnosił do

góry sieci. Takie zdjęcia rodowitych mieszkańców można było znaleźć w każdej

wczasowej miejscowości, ale te z Dajerny wyglądały na pozowane, a widoczni na

nich mężczyźni byli odrobinę zbyt włochaci i szpiczastousi jak na zwyczajnych ludzi.

Możliwe, pomyślała Paola, że w Dajernie wcale nie ma już rodowitych

mieszkańców, a tylko wczasowicze i właściciele hoteli czy sklepów, którzy zjeżdżają



tu na lato. Oni pracują, ale tak naprawdę wszyscy przybywają do Dajerny po to, by posmakować romantycznej przygody.

A także by być policzonymi przez sylena Renata.

Sięgnęła po leżący na ladzie recepcji folder. *Dajerna nie straciła nic ze swego*

33

*staroświeckiego uroku. To oaza spokoju, w której przed gwarem cywilizacji schronili się dawni mieszkańcy tych ziem: sylenowie, driady czy faunowie...*

Odłożyła folder i spojrzała na Renata, który wciąż pochylał się nad klawiaturą komputera. Wyglądało na to, że ten akurat przedstawiciel dawnych mieszkańców z cywilizacją radzi sobie świetnie.

\*\*\*

W łazience skorzystała z toalety i umyła ręce. Chciała poprawić włosy, ale nigdzie nie było lustra. Zirykowało ją to. Do licha, pomyślała, czy czterogwiazdkowego hotelu, choćby i tak małego jak „Giberti”, nie stać na lustro w każdej łazience?

Mieszkała w tym hotelu i mogłaby po prostu pójść do swojego pokoju, tyle że nie pamiętała jego numeru. Sto sześć? Szesnaście? Potrząsnęła głową. Nie chciała o tym myśleć i bała się, co zastanie w środku. A raczej kogo nie zastanie, bo rozsądek

podpowiadał, że w rzeczywistości, gdzie zawsze jest czwarta nad ranem, nie ma miejsca dla jej siostry.

Kręciła się przez chwilę po holu, zbyt nieśmiała, by do kogoś zagadać.

Osamotnienie nie było wcale przykre. Zbyt duża sukienka miękko układała się na jej szczupłym ciele, sprawiając, że czuła się jednocześnie dziecinnie i dorośle, jak dziewczynka zmuszona, aby wcześniej dojrzeć. Dziewczynka z książki albo filmu, bo przecież sukienka była pożyczona i dzięki niej Paola stała się kimś innym, a jej życie nabrało tempa i dramaturgii prawdziwej opowieści.

Przypomniała sobie, że w kącie hotelowego holu jest coś w rodzaju biblioteczki, nic specjalnego, ot, zamykana na zamek szafka, z której za zgodą recepcjonisty można było wziąć do pokoju paperbackowe wydanie jakiejś rozrywkowej powieści. Paola kilkakrotnie wypożyczała w ten sposób książki i wiedziała, gdzie znaleźć kluczyk.

Wisiał w recepcji, niedaleko kluczy do pokoi.

Korzystając z nieuwagi Renata, zdjęła go z haczyka. Teraz, bezpiecznie ukryta za rosnącą w doniczce palmą, mogła otworzyć szafkę. Przejrzała znajdujące się wewnątrz książki. Romanse, tanie powieści sensacyjne, parę kryminałów Agathy Christie – same starocie, z których większość już czytała, a pozostałe miały wyjątkowo zniechęcające tytuły. Rozczarowana właśnie zamykała szklane drzwiczki,

gdy dostrzegła małą książeczkę wciśniętą w głąb szafki. Sięgnęła po nią.

*„Na skraju rzeczywistości. Mity i legendy.”*

Strony były pożółkłe, a na kolana Paoli sypał się kurz, gdy przewracała kartki.

Dostrzegła podkreślone długopisem zdania i dopiski na marginesach – ktoś z uwagą studiował tę książkę, choć biorąc pod uwagę jej stan, musiało to być dawno temu.

*Brzegi rzek, jezior, dróg i ścieżek tworzą naturalną granicę pomiędzy naszym a ich światem. Łatwo w nim było zabłądzić, stając na takiej granicy w godzinie zmierzchu bądź świtu, gdy dzień zmienia się w noc lub odwrotnie.*

Brzeg morza także jest granicą, prawda? – pomyślała Paola, patrząc na dwukrotnie podkreślone zdanie. W ustach jej zaschło, zadrżała. Najchętniej odłożyłaby książeczkę na półkę i zapomniała o tym, co przeczytała, ale nieodparty impuls – może desperackiej odwagi, a może po prostu ciekawości – kazał jej przewrócić stronę i poszukać wzrokiem kolejnych śladów po długopisie.

*Wierzono też, że szczególnie narażeni na zabłądzenie w owym świecie są ludzie stojący na granicy dwóch etapów swego życia: przechodzący inicjację chłopcy czy kobiety w dzień zamążpójścia – już nie panny, lecz jeszcze nie mężatki. Zabłąkani*

*śmiertelnicy rzadko wracali do swych domów...*

Zamknęła książkę. Była wystraszona, ale jednocześnie w przyjemny sposób podniecona. Czuła się jak postać z powieści czy filmu. Postać, której grozi niebezpieczeństwo, lecz która jednocześnie wie, że wydostanie się cało z opałów, bo przecież jest główną bohaterką.

Wepchnęła Mity i legendy z powrotem w głąb szafki. Nie w to samo miejsce, z którego je wyjęła, lecz w inne, w zakurzony, ciemny kąt. Pusty, a przynajmniej prawie pusty.

Warknięcie, błysk małych ślepek. Paola odruchowo puściła książkę, cofając jednocześnie dłoń, a coś, co przypominało okrągły kłębek kurzu, skoczyło i ugryzło ją w palec. Krzyknęła, strzepnęła owo coś niczym zębatą piłkę tenisową, po czym zatrzasnęła szklane drzwiczki szafki.

Coś pozostało po drugiej stronie szyby, szczerząc do niej kielki wielkości piniowych igieł.

Dziewczyna zaczerpnęła powietrza. Palec pulsował bólem, ale ranka nie była głęboka, a krew sączyła się wolno. Miała ochotę zawołać kogoś i zapytać, co to u diabła jest. Nie zrobiła tego, bo prawdziwym bohaterom groziły prawdziwe niebezpieczeństwa, a nie warczące i gryzące kłębki kurzu. Czułaby się jak idiotka,

35

skarżąc się na coś takiego.

Właściwie to już czuła się jak idiotka. Policzki wciąż płonęły jej wstydem, gdy przemywała ranę w łazience, a potem osuszała papierowym ręcznikiem. Krwi

było bardzo mało, ledwo kilka kropel. Nic poważnego się nie stało.

Paola podskoczyła na dźwięk otwieranych drzwi.

– Mam dla ciebie suknię – oznajmiła Amalea radośnie.

Suknia była niewątpliwie balowa i równie niewątpliwie piękna: z bufiastymi rękawami, złoto-czerwona i obszyta czarną koronką, bez krynoliny, a więc wygodna.

Kasztanowłosa driada na widok Paoli w nowej kreacji klasnęła w ręce.

– Ślicznie wyglądasz.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Chciałabyś jeszcze coś? – zapytała Amalea. – Może kolorowy balonik do zabawy? Albo kauczukową piłeczkę czy maskotkę z automatu?

Urażona Paola potrząsnęła głową. W skaleczonym palcu znów odezwał się ból, który niczym odłamek lustra w oku sprawił, że Amalea nagle wydała jej się pusta i głupia. Uśmiech driady był bezmyślny, a jej troskliwość bardzo powierzchowna.

Przypominała jedną z tych kobiet, które w miejskim parku zagadywały matki z dziećmi, a potem, świergocząc radośnie, pochylały się nad wózkami, czochrały brzdącom włosy, a nawet próbowały całować, lecz gdy tylko malec zaczynał ryczeć, odchodziły pospiesznie.

– Nie chcę nic – powiedziała Paola, zaciskając usta i wbijając wzrok w podłogę.

Driada nie przejęła się ani trochę złym humorem dziewczyny.

– W takim razie zaprowadzę cię do reszty towarzystwa. Chodź.

\*\*\*

Najpierw tańczyła z faunem ubranym w strój żołnierza z czasów Garibaldi, a muzyka grała *Waltzing Mathilda*, potem z sylenem w tabaczkowym surducie i z monoklem, podczas gdy Cher śpiewała *I Got You Babe*. Później byli jeszcze inni, mniej lub bardziej włochaci bądź zieloni, ubrani w koronki i aksamity, hippisowskie koszule, berety z kolorowymi piórami, szkockie spódniczki czy czarne płaszcze f la Nosferatu. *I love rock and roll*. Muzyka zmieniała się z przytulankowo-nastrojowej na skoczno-dziką i odwrotnie, atmosfera w sali balowej zgęstniała od potu, śmiechów i

36

błyszczących pożądaniem spojrzeń.

Paola tańczyła.

Było jej gorąco i była zmęczona, ale odzyskała już dobry humor. Jej partnerzy uśmiechali się do niej, szczerząc rzędy ostrych białych zębów. Obok wysmukłe jak topole driady i dziecięco drobne nimfy wystukiwały obcasami rytm *Heavy metal hamsters*.

Wtedy właśnie zobaczyła Jego. Tańczył pośrodku sali, tak inny od wszystkich pozostałych, że to właśnie o nim musiał mówić wtedy Cornelius. Twarz przesłonił czarną maską, a w jego stroju czerwień krwi wgrzyzała się ostrymi rombami w soczystą żółć. Był niezwykle zwinny, szybki i precyzyjny w najdrobniejszych ruchach, jak linoskoczek w cyrku albo mim na scenie.

Arlekin, wiecznie zakochany błazen.

Paola rozpoznała go mimo maski. Przysiadł się kiedyś do ich stolika, przedstawił jako Fabio jakiś tam i zaczął podrywać Elettę, na młodszą siostrę w ogóle nie zwracając uwagi. Elettra była nim zauroczona, ale on odszedł po chwili, rzuciwszy na pożegnanie jakieś niezobowiązujące słowa. Paola widziała go później kilka razy. Flirtował, bezczelnie zaglądał kobietom w dekolty i zadzierał im spódnice, a raz nawet dostrzegła kątem oka jak wyrzucił w powietrze plik szkiców ulicznego rysownika. Śmiał się, gdy kartki spadały, unoszone łagodnym wiatrem, a jego koszula wydawała się wtedy bardziej żółta niż lipcowe słońce.

Nikt nie zwrócił mu uwagi. Czasami Paola myślała, że jako jedyna zauważyła go podczas tego incydentu.

Zatrzymała się, pozwalając, by spocony i rozdokazywany tłum popychał ją przez chwilę.

Była głodna, żołądek podpowiadał jej, że najwyższa pora na obiad. Albo śniadanie-obiad, zważywszy na to, która była godzina. Mniejsza z tym. Trzeba coś zjeść, i to najlepiej zaraz, zanim Arlekin zauważy ją i rozpozna.

Przemknęła do ustawionych pod ścianami stołów i jęknęła rozczarowana.

Do wyboru miała batoniki z automatów, chipsy, cukierki i trójkątne kanapki, jakie można kupić na stacji benzynowej.

– Czego się spodziewałaś? – Wysoki sylen poklepał ją współczująco po ramieniu. – Jest przecież czwarta nad ranem.

Liczyłam na gorącą pizzę albo moje ulubione spaghetti z owocami morza, pomyślała Paola, ale nie odezwała się. Wypiła ice-tea z puszki i zjadła kanapkę.

Przeżuwała powoli, czując, jak w jej odsłonięty kark wwierca się czyjeś spojrzenie.

W zranionym palcu znów odezwał się ból, a ona żałowała, że jest już zbyt dorosła, by schować się pod stół.

– Znam cię, prawda?

– Uhm – mruknęła niewyraźnie i odwróciła się, zakładając splecione dłonie za plecy. Dopiero po chwili znalazła w sobie dość odwagi, by unieść wzrok.

Arlekin pod wąską maską miał twarz młodzieńca, ale jego oczy były bardzo stare, jakby oglądał początek świata i miał zobaczyć jego koniec. I jakby te wszystkie minione lata w ogóle go nie zmieniły.

– Zatańczyłbym z tobą – powiedział swobodnie – ale po pierwsze, jesteś chyba na to zbyt młoda, a po drugie, masz ręce czerwone od krwi.

Podniosła dłonie do oczu. Ranka na palcu znów krwawiła, i to o wiele mocniej niż dotychczas.

– Muszę iść... – powiedziała niepewnie. – Ja...

– Zaczekaj. – Zatrzymał ją. – Nie lubię, kiedy ładne dziewczęta odchodzą bez choćby drobnego upominku.

Zastanowiła się, co jej ofiaruje. Jakąś zabawkę albo paczkę cukierków? Miała tego dość. A może kwiaty? To byłoby lepsze. Nie mówiąc już o gorącej pizzy.

– Dostaniesz ode mnie dobrą radę. Nie patrz w szyby, a gdy znów przyjdzie deszcz, uważaj na kałuże.

Roześmiał się i zniknął w tłumie, pozostawiając ją samotną, obolałą i nieszczęśliwą.



\*\*\*

– Ugryzł cię lemur. – powiedziała Mona. – Rana będzie goić się długo, a co gorsza, skoro jeden z *lemures* poznał smak twojej krwi, inne będą cię atakować.

Paola z trudem odnalazła driadę w tłumie, licząc, że ta łagodna istota okaże jej zrozumienie i troskę. Mona nie zawiodła przynajmniej pod tym względem, że odprowadziła dziewczynę do pokoju sto szesnaście – jej własnego pokoju, pustego teraz i pachnącego świeżo wykrochmaloną pościelą – a potem opatrzyła ranę kawałkiem płótna oddartego z prześcieradła. Ale na tym skończyła się jej opieka.

– Co mam zrobić?

Czarnowłosa driada wzruszyła ramionami.

38

– Nie chodź tam, gdzie są lemury.

– Czyli gdzie?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. One mogą być wszędzie, mniejsze bądź większe. Czasem dorastają nawet do rozmiarów kul do kręgli, a zęby mają długie na pół palca i ostre jak igły. Ale nie martw się, będzie dobrze – dodała niefrasobliwie.

– Przepraszam na chwilę – szepnęła Paola.

W łazience zimną wodą opłukała twarz, czekając aż przejdą jej zawroty głowy. Podejrzewała, że jest bardzo blada. Tylko podejrzewała, bo nie mogła tego

sprawdzić. W łazience nie było lustra. Pozostały po nim cztery dziurki w ścianie, w miejscach, gdzie niegdyś tkwiły śrubki.

*Nie patrz w szyby, a gdy znów przyjdzie deszcz, uważaj na kałuże.*

Daj na razie spokój szybom, kałużom i lustrom, nakazała sobie. Myśl.

Przecież w szkole jesteś dobra z logiki. Po co tu potrzebne są zegary? Cornelius mówił, że Arlekin przekracza granicę, kiedy zechce. Gdyby inni w ogóle nie byli do tego zdolni, powiedzieliby po prostu, że Arlekin umie przekraczać granicę. I tyle. Ale skoro Cornelius dodał „kiedy zechce”, to znaczy, że faunowie, sylenowie, driady i nimfy też to potrafią, ale są przy tym w jakiś sposób ograniczeni.

Na przykład przekraczają granicę tylko wtedy, gdy po obu stronach jest czwarta nad ranem. A zegary pokazują czas biegnący w tamtym świecie. Moim świecie.

Jeśli to prawda, dochodziłaby tam teraz szósta wieczorem, do czwartej rano jeszcze sporo czasu. Paola nie chciała czekać. Chciała wracać do domu. Teraz, natychmiast. Pragnęła tego tak bardzo, że poczuła, jak gardło ściska jej płacz, a w oczach zbierają się łzy.

– Jesteś tam? – Mona zapukała w drzwi.

– Tak! – odkrzyknęła dziewczyna.

Po czym otworzyła okno i wyskoczyła wprost na mokry od porannego deszczu trawnik.

\*\*\*

– Gdzie jest Arlekin? Widział go ktoś?

– Ja na pewno nie – odparł faun ubrany w bufiaste spodnie do kolan i kusą kamizelkę. – Pilnuję własnych spraw.

39

– Przed chwilą z nim tańczyłam – pisnęła nimfa o rozmarzonym wyrazie twarzy. – Ach, jak on pięknie tańczy.

– Zdaje się, że musiał wyjść... – W głosie złotowłosej i błękitnookiej driady brzmiał smutek.

– Na szczęście – warknął sylen w cylindrze.

Paola wybiegła przed hotel. Arlekin właśnie zniknął w jednej z uliczek.

Krzyknęła, ale nawet się nie odwrócił.

Pędziła za nim, ignorując zmęczenie, które szarpało jej oddech i zaczynało już kłuć w boku, pędziła ile sił w nogach. Arlekin nie biegł, po prostu szedł, ale jakimś cudem wciąż ją wyprzedzał. Jego żółto-czerwony strój odcinał się od szarości świtu, a on sam chwilami zdawał się płynąć w powietrzu. Skręcał raz w jedną wąską uliczkę, raz w drugą, klucząc w labiryncie siedemnastowiecznego miasteczka, a Paola ścigała go.

Na rynku zatrzymała się, zdyszana, i oparła o jedną z kamieniczek. Zgubiła

Arlekina. Znikł, jakby zapadł się pod ziemię. A może – dziewczyna uniosła z nadzieją głowę – po prostu wszedł do kościoła: barokowego, biało-złotego, z fasadą pełną splątanych krzywizn i czarnych gargulców.

Ostrożnie przekroczyła próg świątyni. W środku panował półmrok, tylko gdzieś tam płonęły mdłe elektryczne lampy udające świece. Zapach kurzu zawiercił Paolę w nosie. Kichnęła. Rozejrzała się, ale kościół był pusty, cichy i chłodny.

Pomodliła się przed ołtarzem, prosząc Boga, by pozwolił jej odnaleźć Arlekina i wrócić do domu. Tylko tyle, mówiła, to nie jest przecież zbyt dużo?

Bóg na krzyżu milczał. Wstała z kolan i przeszła do prawej nawy, gdzie wisiało malowidło przedstawiające świętego Franciszka, który nauczał leśne istoty: faunów, sylenów, driady i nimfy. Lubiła ten obraz, święty był na nim tak łagodnie ojcowski, a leśne plemię uroczo rozmarzone i zasluchane w jego mądre słowa.

Ale nie o czwartej nad ranem. O tej godzinie usta Franciszka z trudem układały się w nieporadny uśmiech, będący właściwie grymasem lęku. Święty jeszcze rozkładał ręce w geście błogosławieństwa, ale prawą nogę już cofnął, gotów w każdej chwili obrócić się na pięcie i uciec. A leśne istoty otaczały go kołem i uśmiechały się szeroko, ukazując ostre zęby.

– Boże... – szepnęła Paola, ale Bóg na krzyżu wciąż nie odpowiadał.

Wybiegła z kościoła.

40

Na progu potknęła się i przewróciła, omal nie odgryzając sobie języka.

Zaniepokojone gwałtownym ruchem gargulce poderwały się i zaczęły krążyć nad rynkiem. Skrzeczały przy tym tak obrzydliwie, że Paola przycisnęła dłonie do uszu.

Podniosła się niezgrabnie, czując pieczenie zdartej z kolan i łokci skóry.

Wciąż zasłaniając uszy, spojrzała w górę. Gargulce kołowały niczym sępy, ciemne i brzydkie. Miały błoniaste skrzydła, a także długie szpony. To harpie, pomyślała z przerażeniem. Tak naprawdę to są po prostu harpie.

Jedna z nich zniżyła lot i pęd powietrza wywołany łopotem skrzydeł uderzył dziewczynę w twarz. Pisnęła i schowała się za ciężkimi wrotami kościoła. Dopiero po chwili odważyła się wyrzeć. Część harpii siedziała już na gzymsach kamieniczek, inne wciąż krążyły nad rynkiem.

Czego ja się boję? Przecież chyba nie zaatakują bez powodu? – pomyślała Paola.

A dlaczego nie? – odpowiedział jej rozsądek.

Na rynek wjechał autobus. Skulona przebiegła kilka metrów, które dzieliły ją od przystanku, i wskoczyła do środka. Chciała jak najszybciej wydostać się z tego miejsca.

– A kto zapłaci za bilet, he? – warknął kierowca-sylen, po czym podniósł do ust dłoń, w której trzymał papierosa. Zaciągnął się łapczywie niczym skazaniec przed egzekucją.

– Nie mam pieniędzy – wyszeptała Paola, purpurowa ze wstydu. – Ale może wystarczy to. – Zdjęła z palca złoty pierścionek i podała go kierowcy.

Skinął głową i rzucił jej pomarańczowy kartonik.

– Możesz jeździć, jak długo sobie życzysz – powiedział łaskawie. – Trasa: kościół, stary port rybacki, aquapark, supermarket, znowu kościół i tak w kółko.

Mijając rzędy pustych siedzeń i zasłonięte okna, Paola przeszła na tył autobusu, na swoje ulubione miejsce. I natychmiast zawróciła, bo na ostatnich siedzeniach leżał, pochrapując, cuchnący przetrawionym alkoholem i wymiocinami

faun.

Usiadła z przodu, za plecami kierowcy. Prowadził jedną ręką, pogwizdując pod nosem, a popiół z papierosa strzepywał wprost na podłogę. Paoli nie zdziwiło wcale, że w autobusie nie ma wstecznego lusterka, nie odważyła się też odsunąć zasłon przy oknach. Zerkała tylko przez szparę, wypatrując Arlekina.

O szyby zaczęły bębnić krople deszczu, które wkrótce zamieniły się w

41

miotane wiatrem strugi. Światła latarni, które mijali, rozpląwały się na mokrej szybie w bladożółte plamy, czasem na ich tle wykwitał tętniący chorowitą czerwienią znak stopu.

Faun ignorował sygnalizację świetlną. Po prostu przyciskał pedał gazu, zatrzymując się tylko na przystankach, a Paola była zbyt wyczerpana, by zaprotestować.

Skuliła się na siedzeniu w swej balowej sukni, oparła czoło o szybę. Czasem ktoś wsiadał do autobusu, pochylał się nad nią i użalał, głaszcząc czy proponując słodycze. Paola raz jeszcze tylko dała się nabrać, gdy zagadnęła ją driada o macierzyńskim wyglądzie. Dziewczyna rozplakała się i opowiedziała jej wszystko. O tym, jak przez całą noc czekała na siostrę, bo chciała dostać prezent na piętnaste urodziny, i o tym, jak Elettra przyszła wreszcie nad ranem, pijana i zła.

– Nie myśl sobie, że jestem chciwa – chlupała Paola. – Ale urodziny liczą się dopiero wtedy, kiedy dostanie się prezent, choćby najdrobniejszy. A ja tak bardzo chciałam mieć już piętnaście lat. I poprosiłam Elettrę, żeby dała mi prezent. Czy to

coś złego? Ale ona wściekła się na mnie i zaczęła wrzeszczeć, żebym dała jej spać, a ja też krzyczałam i pokłóciłyśmy się jak nigdy dotąd i trzasnęłam drzwiami. A potem pobiegłam nad morze.

Driada tuliła ją, głaskała.

– Chcę do domu – Paola wyszłochała jej w sukienkę. – Gdy po tamtej stronie znów będzie czwarta nad ranem, pójdę nad brzeg morza i wrócę.

– To nie wystarczy – potrząsnęła głową driada. – Żadnemu człowiekowi nie udało się w ten sposób wrócić.

– Więc co mam zrobić?

– Nie wiem. Zresztą, czy ci tu źle? Baw się, skarbie. – Driada odgarnęła dziewczynie kosmyk z czoła. – Chodź na bale, pływaj żaglówką, gdy nie będzie deszczu, jedz czekoladę i wybierz się na przejażdżkę na grzbiecie centaura. Po prostu się baw, a wszystko będzie dobrze.

Nieprawda, nie będzie. Paola czuła, jak narasta w niej wrzask. Nikt tu nie potrafił jej naprawdę pomóc. Nikt, z wyjątkiem może Arlekina.

Musiała go odnaleźć. Myśl, że zostanie po tej stronie granicy, budziła w niej przerażenie.

\*\*\*

Autobus opustoszał, a Paola usnęła, ukołysana monotonnym ruchem pojazdu i bębnieniem deszczu o szyby.

Gdy się obudziła, niebo było czyste, a słońce świeciło mocniej niż dotychczas.

– Która godzina? – zapytała, podrywając się z przestachem.

– Oczywiście czwarta nad ranem – odparł kierowca. – Spójrz, jaką mamy ładną pogodę.

Spojrzała, wrzasnęła i zasłoniła oczy dłońmi.

– Ccco to? – wykrzusiła.

Sylen wzdrygnął się, ale nie stracił panowania nad kierownicą.

– Kurwa, jak ja ich nie znoszę... – wymamrotał. – O, już znikły. Możesz patrzeć. To Furie – dodał wyjaśniająco. – Często się pojawiają w lustrach, szybach czy wodzie. Wyglądają paskudnie, ale nic ci nie zrobią.

„*Maurizio Rizzardi twierdził, że stracił panowanie nad kierownicą, ponieważ nagle w lusterku wstecznym ujrzał...*” i dalej zamazany tekst, esy-floresy z błota układające się w zarysy pysków i uszu.

– Czasem można je także zobaczyć po drugiej stronie granicy, prawda? O czwartej nad ranem. A może – zawahała się – może w Dajernie Furie potrafią wyjść z lustra czy tam z wody i otoczyć kogoś kołem, a potem śmieją się i szczerzą do niego zęby, duże, ostre zęby, i nikt się nie dziwi, kiedy taki ktoś umiera na zawał albo przerażony skacze przez okno, bo przecież o czwartej zawsze jest dużo zawałów i samobójstw... – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Kierowca-sylen milczał. Palił kolejnego papierosa, a autobus gładko sunął pustą ulicą.

– Mam rację?



Sylen nucił coś do siebie w przerwach pomiędzy kolejnymi haustami dymu, a

Paola miała wrażenie, że ta mruczanka interesuje go znacznie bardziej niż kierownica, nie wspominając nawet o stojącej za jego plecami dziewczynie.

– Pytasz niewłaściwą osobę – powiedział, gdy straciła już nadzieję, że zwróci na nią uwagę. – Ja niewiele wiem.

– A kto wie?

– Renato, na przykład – rzucił niedbale, a Paola skrzywiła się. Nie chciała wracać do hotelu „Giberti”. – I Siostry, oczywiście.

43

\*\*\*

Sylen powiedział jej, gdzie wysiąść i którądy iść. Wedle jego słów miała szukać całodobowej kafejki internetowej, bo tam właśnie Siostry spędzały większość czasu.

Po drodze dwa razy zeszła z chodnika i ukryła się w bramie pierwszej z brzegu kamienicy. Raz, gdy zauważyła na końcu uliczki trzy postaci bardzo przypominające Corneliusa, Monę i Amaleę, które na szczęście skrzyły wkrótce w jedną z przecznic, a drugi, gdy mijała ją grupa pijanych centaurów, przeklinając i łomocząc kopytami o płyty chodnikowe.

W bramie, gdzie schowała się za drugim razem, coś szeleściło i drapało. Paola z początku sądziła, że to koty albo szczury żerujące pośród śmieci. Ale to coś było znacznie większe niż szczur. I o wiele bardziej kuliste niż kot.

Centaury klęły i łomotały, a okrągły lemur zbliżał się do niej, drapiąc o

kamienie małymi pazurkami.

Wytrzymała jeszcze chwilę, skulona pod ścianą i dygocząca, potem wyskoczyła z piskiem na ulicę. Jeden z centaurów odwrócił się, wrzasnął coś, na co jego towarzysze roześmiali się, a dziewczyna poczuła, jak na jej policzki wypełza rumieniec.

Później zakręciła się na pięcie i pobiegła, ciągnąc za sobą urwany skraj balowej sukni.

\*\*\*

W kafejce internetowej siedziały trzy Parki. Jedna z nich układała właśnie komputerowego pasjansa, druga gawędziła z kimś przez sieć, a trzecia parzyła w ekspresie kawę.

– Ile życzycie sobie cukru, kochane? – zapytała ta, która stała przy ekspresie.

Miała siwe włosy upięte w ciasny kok i okulary w kwadratowych oprawkach.

Przypominała dobrotliwą nauczycielkę ze staroświeckich powieści dla panien.

– Ja dwie kostki – odparła ta, która układała pasjansa. Ona z kolei wyglądała na prowincjonalną wróżkę: była pulchna, ubrana w liczne warstwy powiewnej odzieży i obwieszona tanimi koralikami.

– Zawsze o to pytasz – mruknęła ta, która toczyła internetową rozmowę. – Po pięciuset latach mogłabyś wreszcie zapamiętać, że piję kawę bez cukru. Tylko z mlekiem.

Trzecia Parka miała na sobie prosty garnitur z szarej wełny, a jej jedyną ozdobą był męski sygnet. Przypominała typ groźnej bizneswoman.

– Oczywiście, kochana, już dolewam ci mleka – powiedziała gorliwie nauczycielka.

– Nudzimy się tu – westchnęła prowincjonalna wróżka. Tęskniła za dawnymi dobrymi czasami, gdy zamiast komputerów miały kładziel, a zamiast klawisza z napisem „Enter” porządne metalowe nożyce. A poza tym nie lubiła układać elektronicznego pasjansa. Nie można było wtedy oszukiwać. – Oczywiście – zastrzegła pośpiesznie – wcale nie chcę, aby zmieniła się liczba. Dwa tysiące czterysta czterdzieści dwa to znakomity wynik. Parzysty.

Zamilkła i upiła łyk kawy, którą podała jej nauczycielka.

– Po tamtej stronie jest trzecia w nocy – powiedziała bizneswoman. – O tej godzinie nikt nowy nie przybędzie na wyspę. Prom kursuje tylko dwa razy dziennie, a ludzie są co prawda dziwaczni, ale nie do tego stopnia, by nocą wypływać jachtem w morze. Mamy więc trochę spokoju.

– To dobrze. – Nauczycielka w dłoniach ścisnęła filiżankę z kawą, a jej usta drgały nerwowo. – Pamiętacie tę niemiecką grupę? Kiedy przyплыnęli na wyspę, liczba skoczyła z dwóch tysięcy pięciuset trzydziestu sześciu do dwóch tysięcy pięciuset czterdziestu dziewięciu, a my wypuściliśmy Furie na tego łysego nieparzystego, takiego z brzuszkiem, który grał na rynku na flecie i czasem próbował podrywać młode Polki...

– Pamiętamy go – wtrąciła chłodno Siostra w szarym garniturze. – Nie każdy ma taką kurzą pamięć jak ty.

– Och, jak on się długo bronił... – Nauczycielka z wysiłkiem przełknęła łyk kawy. – To było straszne. Po wszystkim musiałam zażyć aż dwie porcje melisy. Moje nerwy...

– Tak, wiemy – bizneswoman znów jej przerwała, jeszcze bardziej zjadliwym tonem. – Nerwy dokuczają ci od paru tysięcy lat.

– Mam bardzo obciążającą psychicznie pracę – broniła się nauczycielka.

– Ja tam swoją pracę lubię – powiedziała kapryśnie prowincjonalna wróżka.

Właśnie wyszedł jej pasjans, a ona nigdy nie była zbyt konsekwentna. – Właściwie

45

nawet... Och!

– Zdaje się, że mamy gościa. – Siostra w szarym garniturze podniosła się z krzesła. – Jak długo stoisz w drzwiach, panienko? I jak wiele usłyszałaś?

– Ja... – Błada jak papierowa chusteczka Paola przestąpiła próg. – Ja...

– Mniejsza zresztą z tym – bizneswoman nie dała jej dokończyć. – Z pewnością przyszedł tu, by o coś zapytać. Masz do tego prawo, ale pamiętaj: tylko trzy pytania, po jednym do każdej z nas. Taka jest zasada.

– Którą wymyśliłaś właśnie przed chwilą – wymamrotała nauczycielka i umilkła, zgromiona wzrokiem Siostry.

– Ddlaczego... – Paola zająknęła się. – Dlaczego to robicie?

– Bo Bóg lubi parzyste liczby. To proste. – Bizneswoman na powrót usiadła

przy komputerze.

Paola odwróciła się w stronę Parki, która wyglądała jak prowincjonalna wróżka.

– Och proszę, powiedz mi, jak przedostać się przez granicę! – krzyknęła, wyciągając do niej błagalnie ręce, ale pulchna Siostra tylko roześmiała się i wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, kotku. Najmniejszego. Słowo honoru.

Dziewczyna spojrzała na ostatnią Parkę, tę w typie nauczycielki. Drżała tak bardzo, że musiała oprzeć się o futrynę. Miała wrażenie, że lada moment zemdleje albo wybuchnie histerycznym płaczem. Albo po prostu nie wykrztusi już ani słowa i tak czy inaczej straci swoją szansę.

Ostatnia z Sióstr uśmiechnęła się do niej zachęcająco.

– Powiedz mi, proszę – głos Paoli z początku był cichy i drżący, ale stopniowo nabrał siły, a ona uniosła podbródek i wyprostowała się – gdzie znajdę Arlekina?

\*\*\*

Wczesnoporanne słońce oświetlało barokową fasadę kościoła. Złotoszare cienie ułożyły się w załomach murów, miękkie i ciepłe, jakby już nasycone letnim dniem, który nigdy nie miał nadejść. W rześkim powietrzu rozlegał się śpiew ptaków, śmigających na tle rozjaśnionego od wschodu nieba.

Czerwono-żółty strój i czarna maska Arlekina odbijały się w wodzie, on sam

tańczył na powierzchni jeziora. Bo to, co rozlewało się na rynku, z pewnością nie

46

zasługiwało na miano kałuży. To było prawdziwe płytkie jezioro, a Arlekin poruszał się w rytm muzyki, którą tylko on słyszał, lecz która była złota, szara i różowa jak budzący się dzień.

Ku niemu szła Paola, wciąż w balowej sukni. Stąpała z gracją po trójgłowych lisach i wilkach, którym gigantyczne kły wyrastały wprost z piersi, po kotach o dziewięciu ogonach i oczach wielkich jak kurze jajka, po stworach, które z jednej strony były hieną, a z drugiej szakalem, a także po kłębowiskach pazurzastych łap, zębów i czerwonych języków, nie wiadomo do kogo lub czego należących. Nie patrzyła pod nogi. Patrzyła na Arlekina, a Arlekin patrzył na nią.

Stała przed nim i spojrzała w oczy widoczne w wycięciu czarnej maski.

– Czego sobie życzysz? – zapytał grzecznie.

– Dziś są moje urodziny – powiedziała. – A jeszcze nie dostałam prezentu.

– I tego właśnie pragniesz?

Z powagą skinęła głową.

– Chciałabym dostać swój urodzinowy prezent. Nie słodczyce i nie zabawki. I

nie dobrą radę – uśmiechnęła się lekko – lecz prawdziwy prezent.

\*\*\*

Arlekin zaprowadził ją na plażę. Morze nie miało już barwy ołowianych kul, lecz było ciemnoniebieskie, z pasmami czerwonego złota i białymi pióropuszcami piany.

Paola stanęła tyłem do wody. Wiatr wydymał balową suknię, a spojrzenie uśmiechniętego Arlekina paliło jej twarz.

Zamknęła oczy, gdy objął ją i pocałował. Miała wrażenie, że jego wargi na jej wargach wciąż układają się w lekki uśmiech. Pocałunek był początkiem i końcem jednocześnie, słodki jak piosenki o pożegnaniu kochanków, których słuchała w ciepłe noce.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. – Arlekin ujął ją za ramiona i odwrócił. Wciąż czuła smak jego pocałunku na wargach i na języku, gdzie topniał jak dziecięca landrynka, napełniając jej żyły cierpką słodyczą.

Miała ochotę tańczyć.

– A teraz idź. – Arlekin pchnął ją w stronę morza. – Teraz już wszystko będzie dobrze.

47

Tym razem Paola uwierzyła.

\*\*\*

– Oż... – Renato z najwyższym wysiłkiem powstrzymał się, by nie zakląć.

Zawsze był dumny ze swego opanowania.

– Livio! – krzyknął. – Chodź szybko! Coś ci pokażę.

Przybiegł drobny faun, w ręce ściskający otwartą puszkę sprite'a. Z automatu, oczywiście, bo przecież była czwarta nad ranem. Ponaglony gestem Renata postawił ją na stoliku i pochylił się nad ekranem.

Zdumiony, wciągnął głośno powietrze.

Ładna, miła Bogu liczba 2442 znikła, a komputer raz jeszcze liczył wszystkich dorosłych mieszkańców Dajerny. Cyfry zmieniały się tak szybko, że oko z trudem za nimi nadążało.

1567... 1890... 2147... 2442...

2443.

48

## **Dobry człowiek w piekle**

*Czterdziesty siódmy dzień w piekle. Boże, pozwól mi wreszcie umrzeć.*

Jeszcze wczoraj na odrapanej ścianie kamienicy nie było tego napisu. Pojawił się w nocy, a może nad ranem, wymalowany czerwonym jak krew sprayem. Mikołaj S. jadł śniadanie przy oknie, raz po raz odczytując te dwa zdania. Zastanawiał się, jak bardzo musiał cierpieć człowiek, który je napisał i gdzie podziewa się teraz.

Odpowiedź na to ostatnie pytanie nie była zbyt trudna.

Oczywiście autor napisu nadal przebywał w piekle.



Mikołaj S. wypił ostatni łyk aromatyzowanej herbaty, zagryzł słodką bułką.

Męczył go kac po wczorajszej popijawie, ale on nawet na kacu zawsze miał dobry apetyt.

Przypominał sobie sen, który dręczył go dzisiejszej nocy. Uginające się pod ciężarem potraw stoły, a wokół ludzie, jedzący bez umiaru i bez zahamowań. Ludzie, którzy bekali i oblizywali ociekające tłuszczem palce, a potem znów żarli, pochłaniając olbrzymie kęsy, a ich umorusane czekoladą i zawiesistymi sosami usta otwierały się i zamykały w rytm ruchów szczęk. Scena jak z koszmarnych obrazów Boscha budziła w Mikołaju S. odrazę, a mimo to nie potrafił zapomnieć o potrawach, które wyśnił. Truskawki z bitą śmietaną, wielkie jak koła ratunkowe torty, pieczone mięsa, misy parującego spaghetti, krewetki natarte czosnkiem, usmażone na oliwie i podane z majonezowym sosem... Boże, jak on dawno nie kosztował krewetek. Ostatni raz u babki, ponad dziesięć lat temu. Ale zawsze musiał jeść wstrzemięźliwie, bo wszak obżarstwo to jeden z grzechów głównych.

Szybko wyrzucił z pamięci ów osobliwy sen. Dzisiejszego dnia potrafił myśleć tylko o wyniku konkursu. To już za dziewięć godzin, pomyślał. Dokładnie o osiemnastej rozstrzygnie się jego los.

Jeszcze przedwczoraj, ba, nawet wczoraj, zanim zaczął pić w Narrenturmie, łudził się, że zdąży. Nie wydawało się to takie trudne. Wszak mimo wszystko był dobrym człowiekiem, prawda? Pomagał mieszkającej po sąsiedzku staruszce robić zakupy, czasem też opiekował się dzieckiem koleżanki z pracy i nigdy nie wziął za to ani grosza. Nie plotkował, rzadko kiedy podnosił głos, nie mówiąc już o obrażeniu kogoś. Krótko mówiąc, był jednym z tych może nie najlepszych, ale w każdym bądź

razie uprzejmych ludzi, którzy w większości zaludniają ten świat.

I coś mu się, do kurwy nędzy, za to należało.

Otworzył okno, wciągnął w płuca chłodne, pachnące wiosną powietrze. Ból głowy odrobinę zelżał i Mikołaj S. nabrał optymizmu. Postanowił wyjść na miasto i zobaczyć, co da się zrobić.

W łazience ochlapał twarz zimną wodą, potem podniósł głowę i spojrzał w lustro. Miał ziemistą cerę, przedwcześnie posiwiałe włosy i głęboko osadzone czarne oczy, w których czasem zapalał się niebezpieczny błysk. Typowy wygląd szalonego poety, na który, jeszcze za studenckich czasów, zdarzało mu się podrywać dziewczyny. Lubił, gdy bogate i miłe kobiety zapraszały go do siebie, nie dlatego bynajmniej, że chciał zaciągnąć je do łóżka, ale dlatego, że w ich domach mógł spróbować różnych frykasów. Z doczesnych przyjemności Mikołaj S. znacznie bardziej cenił jedzenie niż seks.

Założył lekki wiosenny płaszcz, już na klatce schodowej zapiął go niedbale, a dłonie wcisnął w kieszenie.

Ulice prowincjonalnej miejsciny P. były czyste i ozdobione maleńkimi klombami, na których kwitły pierwsze bratki. Podmuchy wiatru ziębiły skórę, ale nawet w ich chłodzie wyczuwało się przyjemną wiosenną świeżość. Uśmiechnięci ludzie przystawali na chodniku by pogawędzić ze znajomymi, a na pożegnanie wszyscy obejmowali się serdecznie.

Mikołaj S. szedł nasłonecznioną stroną ulicy, starannie omijając miejsca, gdzie kamienice rzucały głęboki i zimny cień.

\*\*\*

„Nie sądzimy, że pańskie dzieło znajdzie czytelników”.

Z taką adnotacją wracało od wydawców „Jesienne światło”, jego pierwsza powieść. Odmówili wszyscy, jeden po drugim. Wtedy właśnie bliski załamania Mikołaj S. dowiedział się o konkursie, organizowanym przez stołeczny Klub Literatów. Główną nagrodą było dwadzieścia tysięcy w gotówce, sprzedaż praw do ekranizacji i oczywiście wydanie książki. Z tym wiązały się rzecz jasna wywiady w prasie, sława i pieniądze, a nawet podpisywane z góry umowy na kolejne powieści. Mikołaj S. pomyślał wówczas, że jeśli nie docenią go uznani pisarze ze stolicy, to nie zrobi tego już nikt.

50

Szczeniwy traf chciał, że w Klubie pracował jego dawny kolega, jeszcze z czasów liceum. Był tylko szatniarzem, ale wiedział o wszystkim, co tam się dzieje. To on właśnie tydzień temu zdradził Mikołajowi S. w zaufaniu, że szansę na nagrodę mają tylko dwie powieści: „Jesienne światło” właśnie oraz „Ojciec marnotrawny”, dzieło niejakiego Roberta P.

Mikołaja S. to nie martwiło. Szczerze wierzył, że jego inteligentna i nowatorska książka po prostu jest lepsza. Przeraził się nie na żarty dopiero gdy w

jednej z gazet przeczytał krótką notkę informującą, że Robert P., autor kilku opowiadań, przypadkiem znalazł się na miejscu samochodowej kraksy i ryzykując własnym życiem wyciągnął z wraku matkę, dziecko oraz psa.

Matkę, dziecko oraz psa, powtarzał w myślach Mikołaj S. idąc ulicą coraz szybciej i szybciej.

Nawet psa sobie nie odpuścił, sukinsyn jeden.

\*\*\*

Przed kościołem siedział żebrak. Rozpiął ciepłą koszulę, tak iż widać było jego tułów, blady i naznaczony czerwonymi śladami cięć. Spod chirurgicznych nici sączyła się krew i ropa, szwy puściły już gdzieś i w tych miejscach brzegi ran rozchyliły się, niczym szkarłatne dziobki głodnych ptaszków.

Oczy żebraka przysłaniały ciemne narciarskie gogle. Cuchnął stęchłym potem i moczem, a wypełniona drobniakami puszka drżała w jego dłoni.

Mikołaj S. nerwowo sięgnął do kieszeni. Nim jednak zdążył wyjąć portfel, przed żebrakiem zatrzymała się jakaś kobieta. Jedną ręką prowadziła dziewczynkę, na oko siedmioletnią, drugą nieco młodszego chłopczyka. Dzieci w wolnych rączkach ścisnęły wielkie kolorowe lizaki. Na widok żebraka malec przytulił się do matki, a jego siostra podniosła głowę i spojrzała pytająco.

– No dalej – zachęcała kobieta – dajcie temu panu lizaki. Na pewno ma ochotę na coś słodkiego.

Chłopiec wykrzywił usta w podkówkę, dziewczynka zmarszczyła brwi.

– On jest zły – pisnęła cienko – Jest zły i dlatego Bóg go ukarał. Niech więc sobie tu leży głodny, skoro nie potrafi być dobry.

Żebrak poruszył się lekko, ciemne gogle, niczym oczy ogromnego żuka, skierowały się w stronę małego chłopca. Dzieciak zadygotał. Matka przytuliła go

51

mocniej, ale wciąż patrzyła na córkę. Dwie kobiety: duża i malutka, mierzyły się spojrzeniami. Obie miały identycznie zmarszczone brwi, a na ich twarzach malował się upór.

– Niekoniecznie – powiedziała matka. – Może to sprawka Złego, któremu Bóg pozwala czasem doświadczać dobrych ludzi. A nawet jeśli człowiek ten jest grzesznikiem, to i tak należy mu pomagać, bo tak nakazuje Bóg.

Mała popatrzyła na żebraka i cofnęła się ze wstrętem.

Mikołaj S. doskonale ją rozumiał. Babka, która go wychowała, była dobrą kobietą. Bardzo, bardzo dobrą. Tam, gdzie mieszkała, rosły najpiękniejsze kwiaty, autobusy nigdy się nie spóźniały, kromki upadały masłem do góry, a staruszkowie konali we własnych łózkach, bez bólu i pogodzeni ze śmiercią. Babka mogłaby tam spędzić resztę swoich dni, bo dość harowała w młodości, zajmując się umierającymi w hospicjum. A mimo to od czasu do czasu decydowała się opuścić ten rajski świat. Szła w stronę Śródmieścia, gdzie gromadzili się potępieni. Dla każdego miała słowo otuchy, uśmierzające ból środki, chleb i ciepłe koce. Nalegała, by wnuk towarzyszył jej w tych wyprawach, a chłopiec starał się być dzielny, choć od smrodu i widoku ran

robiło mu się niedobrze.

Żebrak obrócił żuczą głowę w stronę dziewczynki i uklęknął. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał wstać. To wystarczyło.

Mała krzyknęła, puściła patyczek i kolorowy lizak rozbił się pod jej stopami.

Chłopiec zawtórował siostrze wrzaskiem. Matka podniosła go, a dziewczynkę pociągnęła za rękę. Odeszła wraz z dziećmi, mrużąc coś pod nosem.

Mikołaj S. zbliżył się, by wrzucić do puszki monetę. W tym momencie żebrak zdarł z głowy gogle, odsłaniając krwawą pustkę oczodołów.

– Alleluja! – wrzasnął, wyrzucając ręce w górę, a drobniaki z puszki rozsypały się wokół. – Oto głos z dna piekła! Byłem sługą Szatana, całowałem jego śmierdzący tyłek i robiłem wszystko, co mi kazał! Lecz on porzucił mnie, a Bóg skazał na potępienie. Alleluja! Chwałę Pana, choć moje rany nie chcą się goić! Alleluja! Chwałę Pana, choć rzygam wszystkim, poza chlebem i czystą wodą! Alleluja! Chwałę Pana, choć od spania pod dachem robią mi się wrzody na całym ciele! Alleluja! Sprawiedliwość Pańska jest wielka!

Ludzie spoglądali na ślepcę z mieszaniną odrazy, fascynacji i litości. Ktoś cisnął mu własny płaszcz, ktoś inny położył obok zwitek banknotów. Mikołaj S. zawahał się. Jaki sens miało dawanie pieniędzy komuś, kto nie mógł spać pod dachem

52

i kogo żołądek przyjmował tylko najprostsze potrawy?

Schował portfel do kieszeni.

Gdy odchodził, wciąż ścigał go głos szalonego żebraka.

– Diabeł jest wśród nas! Pamiętaj o tym!! Możesz mu służyć, lecz on nigdy nie da ci nagrody! Za każdy dzień służby splunie ci dwa razy w twarz!!

\*\*\*

W szpitalu powiedziano Mikołajowi S., że aby zostać dawcą szpiku kostnego bądź nerki, trzeba najpierw zapisać się w kolejce do szeregu badań. Dzisiejszego dnia nie zdążyłby nawet wykonać pierwszego z nich.

W hospicjum zażądano, by przedstawił listy polecające od co najmniej dwóch osób. Nie miał takich, a nawet gdyby zdołał szybko kogoś namówić, to i tak pracę mógłby zacząć najwcześniej za kilka miesięcy, bo chętnych było znacznie więcej niż wolnych miejsc.

Na Dworcu Centralnym kupił zupę pewnej zabiedzonej staruszce. Starowinka okazała się wredną jędzą, zjadła zupę i na pożegnanie sklęła dobroczyńcę. Mimo to Mikołaj S. poczuł odrobinę ulgi. Udało mu się spełnić dobry uczynek.

Ale to wciąż było mało, rozpaczliwie mało, w porównaniu z tym, czego potrzebował. Przez dłuższą chwilę stał w dworcowej hali, tuż przy szybie, patrząc jak niebo na zewnątrz ciemnieje i zaczyna siąpić drobny wiosenny deszcz.

Znów przypomniała mu się babka. Kłopot w tym, że nie pasował do jej świata.

Za dużo i zbyt łapczywie jadł, bywał leniwy i niedbały, a widząc nieszczęście, wolał odwrócić wzrok niż spieszyć z pomocą. Po ukończeniu piętnastego roku życia zaczęły spotykać go dziwne wypadki – to zaciął się nożem przy krojeniu chleba, to znów

potknął na zupełnie prostej drodze. Wciąż gubił najpotrzebniejsze rzeczy, a jego jedzenie dziwnym trafem bywało zepsute, choć inni jedli to samo i nigdy nie chorowali. Zdał sobie wówczas sprawę, że musi odejść. Zamieszkał w internacie, zaś dobre rady babki, które otrzymał w prezencie pożegnalnym, stopniowo blakły w jego pamięci.

Skończył szkołę średnią, potem studia. Już pod koniec ostatniego roku zaczął pracować jako dziennikarz. Żył ubogo, spokojnie, a jego codzienność wypełniały drobne radości i drobne smutki.

Dopiero gdy napisał „Jesienne światło”, zbudził się w nim apetyt na więcej. To

53

była naprawdę cholernie dobra powieść. Zasługiwała na zwycięstwo w konkursie.

Problem w tym, że Mikołaj S. musiał zdobyć pierwsze miejsce. Dalszych nagród nie przyznawano, więc nie mógł nawet liczyć, że któryś z wydawców, tych samych, którzy powieść już raz odrzucili, zdecyduje się jednak ją wydać, usłyszawszy, że „Jesienne światło” omal nie wygrało prestiżowego konkursu. O tym, jak bliski jest zwycięstwa wiedział przecież nieoficjalnie i w razie porażki nie mógłby niczego udowodnić.

Mikołaj S. przyciskał czoło do chłodnej szyby, upstrzonej kropelkami deszczu.

Modlił się z całej duszy tak, jak nie zdarzyło mu się od czasów dzieciństwa.

Gdy skończył modlitwę, podeszła do niego kilkunastoletnia dziewczyna,

ubrana w kusy różowy sweterek, spódniczkę mini i siatkowe rajstopy. Uznał ją za

początkującą prostytutkę. Świadczył o tym jej strój, niepewność, z jaką się do niego



zbliżała, a także desperacja w oczach.

Zatrzymała się tuż przed nim, oblizwała pokryte różową pomadką usta. Spojrzał na nią, a ona uciekła oczami w bok.

– Pan wygląda na nieszczęśliwego – wymruczała. – Może potrzebuje pan towarzystwa?

Odwrócił się demonstracyjnie. Nie miał ochoty na tanią dworcową dziwkę.

– Proszę! – Dziewczyna chwyciła go za rękę. – Chcę tylko pomóc. Mogę posiedzieć z panem, pogadać. Jeśli pan tego potrzebuje, pójdę z panem do łóżka!

Mikołaj S. pojął wreszcie, z kim ma do czynienia.

– Daj spokój, mała – powiedział, delikatnie uwalniając dłoń z jej uścisku. –

Mam identyczny problem. Też szukam kogoś, komu mógłbym pomóc.

Na twarzy dziewczyny odmalowało się rozczarowanie, ale także odrobina ulgi.

– Chce pan spełnić dobry uczynek?

Skinął głową. Na zewnątrz rozpadało się na dobre. Wielkie krople deszczu tłukły o szybę, w rytmie przypominającym niecierpliwe bębnienie palcami.

– Ja także. To naprawdę nie moja wina, że muszę zdawać jeszcze raz ten egzamin! Myślę, że uwziął się na mnie Szatan. Uczył o tym ksiądz na religii. Bóg za dobre uczynki wynagradza, a za złe karze, lecz czasem wtrąca się Szatan i sprawia, że złych ludzi spotyka szczęście, a dobrych cierpienie. Tak bywa, prawda?

Znów przytaknął.

– Jak pan myśli, dlaczego on to robi?

– Szatan? – spytał z lekkim uśmiechem. Bawiły go dylematy teologiczne tej pani.

– Tak.

– Nie mam pojęcia.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, ale najwyraźniej też nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

– A co się stało panu?

Wzruszył ramionami. Nie miał ochoty tłumaczyć jej, że autor kilku przeciętnych opowiadań zgarnie mu sprzed nosa nagrodę i to wyłącznie dlatego, że uratował życie matce i dziecku, a nawet pieprzonemu psu.

\*\*\*

O czwartej po południu Mikołaj S. znalazł się w Narrenturmie. Wbrew nazwie była to spokojna knajpka, gdzie szacowni ojcowie rodzin wpadali po pracy wypić piwo i zagrać w brydża. Klimat lokalu tworzyły zawieszane na ścianach reprodukcje dzieł Boscha. Fascynację i wstręt zarazem budził zwłaszcza Ogród Rozkoszy Ziemijskich. Mikołaj S. wiedział, że nękające go ostatnio sny o wielkim obzarstwie sporo mają wspólnego z przesiadywaniem naprzeciw tego właśnie obrazu. Zamówił wódkę, potem następną. Z szafy grającej sączyła się tęskna muzyka. Mikołaj S. przymknął oczy, pozwalając, by słowa zapadały się powoli w pustkę w

jego sercu.

W ciepłe jego mokre włosy parowały, czasem jakaś kropla spłynęła na czoło lub policzek i sunęła wolno po skórze, łaskocząc leciutko.

Wraz z ostatnim łykiem wódki skończyła się piosenka, a Mikołaj S. zaczął płakać. Czoło wsparł na zwiniętych w pięści dłoniach i smakował słone łzy, które zmieszane z deszczową wodą spływały mu na wargi.

Ktoś podszedł do niego i chrząknął. Mikołaj S. podniósł głowę, blask lampy poraził nagle otwarte oczy.

– To od tamtego pana w rogu – powiedział kelner. Położył na stoliku papierową chusteczkę i odszedł, zde gustowany widokiem płaczącego pijaka.

Mikołaj S. spojrział we wskazany róg i zobaczył mężczyznę, zmierzającego w stronę jego stolika. Nie zwrócił uwagi na elegancki strój nieznajomego, na delikatną owalną twarz ani na ciemne, starannie uczesane włosy.

55

Ważne było tylko jedno. Z każdym krokiem tego człowieka w jego serce wlewała się nadzieja, zupełnie jakby ktoś przechylił nad pustym naczyniem dzban pełen wody.

Gdy nieznajomy usiadł przy stoliku, Mikołaj S. uświadomił sobie, że skórę ma pokrytą warstewką potu, a jego ręce drżą.

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pan tę chusteczkę? – zapytał mężczyzna. –

Chciałem pana poznać, a głupio mi stawiać facetowi drinka. Zresztą chusteczka bardziej się panu przyda. Proszę wytrzeć twarz.

Mikołaj S. spełnił polecenie, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

– Kim pan jest? – wychrypiał po chwili.

– Przecież wiesz. – Nieznajomy swobodnie przeszedł na „ty”.

I rzeczywiście wiedział.

Gdy był dzieckiem, babka opowiadała mu a aniołach. Na pozór wyglądają jak ludzie, mówiła, ale poznasz ich bez trudu. Po czym? zapytał wówczas. Po tym, że każde ich słowo odczujesz w swym sercu, odparła. I po blasku skrzydeł, który dostrzeżesz kątem oka.

Tak właśnie było. Serce Mikołaja S. kurczyło się w rytm słów nieznajomego, a jego oczy na granicy pola widzenia wychwytywały obraz rozłożystych skrzydeł, czarnych i delikatnych jak hiszpańska koronka.

– W dzisiejszym świecie niełatwo jest spełnić dobry uczynek – powiedział anioł. – Ludzie są dla siebie uprzejmi i mili, więc Pan nagradza ich szczęściem. Ci zaś, którzy cierpią, najczęściej sami są sobie winni. Jak ów żebrak, którego widziałeś dziś przy kościele. Jemu nie da się już pomóc. Można tylko łagodzić jego cierpienie.

Anioł umilkł i pochylił się w stronę rozmówcy.

– Jesteś dobrym człowiekiem i zasługujesz na szczęście – ciągnął. –

Potrzebujesz tylko szansy, by się wykazać. I ja mogę ci taką szansę dać. Jeszcze dziś, zanim będzie za późno!

Serce Mikołaja S. zabiło mocniej, bo ostatnie słowa anioł wyrzucił z siebie pospiesznie, z pasją.

– Co mam zrobić?

Anioł uspokoił się, uśmiechnął.

– Chcę, żebyś kogoś zabił.

\*\*\*

56

Mikołaj S. w jednej kieszeni płaszcza miał pistolet, a w drugiej zdjęcie.

Fotografia przedstawiała mężczyznę siedzącego na parkowej ławce, tuż obok piaskownicy, w której bawiły się dzieci.

Kim był? Według słów anioła po prostu złym człowiekiem. Cieszył się szczególną opieką Szatana i dlatego właśnie należało go ukarać ludzkimi, nie boskimi czy anielskimi rękami.

Mikołaj S. raz jeszcze spojrział na zdjęcie. Twarz mężczyzny była okrągła, dość nijaka, ale sympatyczna. Z trudem mieściło się w głowie, że ktoś o takim wyglądzie popełnił zbrodnie tak straszliwe, że dla dobra ludzkości należało go zabić. Ale przecież aniołowie się nie mylą, prawda? Jeśli jeden z nich nakazuje kogoś zastrzelić, to należy to zrobić. Bez wahania, bo ustami aniołów przemawia sam Bóg, zaś Jego słowa są prawem.

Winowajcę znalazł w miejskim parku, tam, gdzie zrobiono zdjęcie. Siedział na ławce, moknąc w deszczu. Wokół było pusto. Dlaczego mężczyzna nie schował się pod dach, jak inni ludzie? Być może to aniołowie zaaranżowali taką sytuację, bym mógł wypełnić zadanie, odpowiedział sam sobie Mikołaj S.

Zresztą, tak naprawdę nie miało to znaczenia.

Spojrzał na mężczyznę z daleka, upewniając się, że to właściwy człowiek.

Potem zawrócił, obszedł ławkę szerokim łukiem. Szum ulewy zagłuszał jego kroki, gdy skradał się w stronę ofiary. Wyjął pistolet z kieszeni i odbezpieczył. To wydawało się proste, bardzo proste. Wystarczyło tylko strzelić w tył głowy, podczas gdy tamten niczego się nie spodziewał.

Mikołaj S. myślał o babce, która prosiła, by zawsze postępował zgodnie z nakazami Boga.

Myślał o konkursie i o tym, jak niewiele dzieliło go od wygranej.

Myślał o krewetkach w majonezowym sosie, które mógłby jeść jako bogaty dobry człowiek.

Nie nacisnął spustu.

Zatrzymał się za plecami niedoszłej ofiary, zamknął oczy. Deszczowa woda spływała za kołnierz jego płaszcza, w uszach słyszał tylko monotony szum ulewy.

Nie mogę go zabić. Po prostu nie mogę. Nic mi nie zrobił, więc i ja nie mam prawa go skrzywdzić. Do diabła z konkursem i główną nagrodą.

I zamiast żalu, że przegrał swoją szansę, nieoczekiwanie poczuł złość.

57

Do diabła z aniołami, a nawet z Bogiem. Nie będę dla nich zabijał.

Włożył pistolet do kieszeni, odwrócił się.

– Zaczekaj.

Cichy głos zatrzymał go w połowie ruchu. Obejrzał się powoli.

Siedzący na ławce mężczyzna spoglądał wprost w jego twarz. Nie był to jednak ów okrągłolicy człowiek z fotografii, lecz anioł o skrzydłach czarnych i

delikatnych jak hiszpańska koronka.

Po chwili Mikołajowi S. udało się odzyskać głos.

– To była próba, prawda? – zapytał. – Próba mojego posłuszeństwa wobec

Boga. Przegrałem i nie dostanę nagrody.

– A czego byś chciał? – spytał anioł z uśmiechem, wyraźnie widocznym nawet

w strugach deszczu. – Czego pragniesz tak naprawdę?

Mikołaj S. zastanowił się. Znow zbudziła się w nim złość, tym razem

zabarwiona odrobiną humoru.

– Krewetek – rzucił. – Natartych czosnkiem, usmażonych na oliwie i

podanych z majonezowym sosem, przyprawionym tabasco, curry i szczyptą cukru.

\*\*\*

Dostał krewetki, majonezowy sos, a nawet butelkę starego wina. Z kuchni

niewielkiej knajpy, do której zaprowadził go anioł, dochodziły smakowite zapachy.

Byli jedynymi gośćmi, a kelner bez pytania przynosił coraz to nowe smakołyki:

łososia z rusztu i zawijane w liście winogron gołąbki, prawdziwą włoską pizzę z

kielbasą i pieczarkami, a nawet złotobrzowe chińskie pierożki.

Mikołaj S. jadł chaotycznie i zachłannie, wpychając w usta wielkie kęsy.

Potem zwolnił, zaczął delektować się smakiem. Zastanawiał się, skąd, u licha, anioł

wytrzasnął taką knajpkę. W lokalach, które znał, jedzenie podawano tylko w małych

porcjach i nigdy nie więcej niż trzy potrawy na raz.

– Dlaczego dostałem to wszystko? – zapytał z pełnymi ustami. – Wszak sprzeciwiłem się woli anioła.

– Ja nie jestem aniołem. Już nie. Byłem jednym z nich, lecz zbuntowałem się. Mikołaj S. wybałuszył oczy i omal nie zakrztusił się kawałkiem pizzy. Popił winem.

– Jesteś...

58

– Dokończ.

– Diabłem?

– Oczywiście. I powiem ci, że to właśnie ja trzymam w ryzach ten zwariowany świat. Od początku byłem przeciwny nagradzaniu i karaniu ludzi od razu, jeszcze za życia. To wyjątkowo głupi pomysł. Jesteś dość inteligentny, więc powinieneś wiedzieć, dlaczego. Z przyjemnością jednak zauważam, że nie tylko aniołowie potrafią się zbuntować. Istnieją także ludzie niepokorni, zdolni sprzeciwić się rozkazom Pana. Takich właśnie ludzi szukam.

– Chcesz, abym ci służył? Wypełniał twoje rozkazy? – zapytał Mikołaj S. z niedowierzaniem. Zaskakujące, ale nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby to być sen. Spotkanie z diabłem było bardziej realne niż całe jego dotychczasowe życie. Przez twarz upadłego anioła przemknął cień irytacji.

– Nie potrzebuję ślepego narzędzia, lecz człowieka inteligentnego, z charakterem.

– Pójdę za to do piekła – powiedział mężczyzna ponuro.



Diabeł roześmiał się, a serce Mikołaja S.omal nie wyskoczyło z piersi.

– Już jesteś w piekle. Masz fatalne znajomości, Mikołaju. Kto to widział, by przyjmować poczęstunek od diabła? Obawiam się, że nigdy nie zobaczysz nieba. Lecz zapewniam cię, że dla ludzi tak niepokornych jak ty, piekło wcale nie musi być nieprzyjemnym miejscem.

59

## **Harfa pustyni**

### **Część 1**

Najpiękniejszym dniem w życiu każdej małej dziewczynki jest ten, gdy dostaje ona swoją pierwszą w życiu broń. Tak mówiła Sable mama, a Sable jej wierzyła.

W przypadku Sable pierwszą bronią był pistolet Stigr-4. Ojciec podarował go jej, gdy skończyła siedem lat, a potem skłonił się przed córką.

Mama uczyła wcześniej Sable, że w takiej chwili powinna zachować powagę, ale dziewczynka i tak nie potrafiła powstrzymać radosnego chichotu.

Pistolet Stigr-4 podobał się Sable, ponieważ był nowy i ślicznie połyskiwał w słońcu. Był też lekki, najlżejszy z dostępnych modeli, a przynajmniej tak mówili dziewczynce dorośli, bo ona sądziła, że i tak jest trochę za ciężki i za duży. Wiedziała jednak, że ręce jej urosną i wkrótce pistolet będzie w sam raz.

Na początku było ciężko i Sable czasem płakała. Najbardziej brakowało jej rodziców, bo teraz nie mieszkała już w domu, tylko w budynku szkoleniowym razem z innymi dziećmi w swoim wieku. Mamę i tatę widywała od czasu do czasu, kiedy Taj

pozwolił. Taj miał trzynaście lat i wydawał się Sable bardzo duży. Bała się go, bo krzyczał i karał dzieci, gdy zrobiły coś złe. Była jednak na tyle mądra, że nigdy nie poskarżyła się rodzicom. Wiedziała, że to by im się nie spodobało.

\*\*\*

Papieros smakował, jakby Clem wdychał dym z płonącej smoły. Obrzydliwa woń siarki i iskry; chłopak mógłby się założyć, że wciąga w płuca wciąż płonące drobinki popiołu, które zmieniają jego gardło w siedlisko jaskrawoczerwonego bólu. W dodatku za każdym razem, gdy sfatygowany jeep podskakiwał na wybojach, Clem czuł, jak żołądek łomocze mu o zęby. Myślał wtedy o czystej, chłodnej wodzie, o tym, jak przyjemnie byłoby zanurzyć w niej najpierw ręce, a potem całe ciało i napić się do woli.

60

Wdech, wydech. Spokojnie, byle się nie porzygać.

Ponadczterdziestostopniowy upał niemal fizycznie przygniatał do ziemi, sprawiając, że Clem miał ochotę zakryć głowę rękami, a potem wypełznąć w najbliższą jamę. Tyle że wokół nie było żadnej jamy, tylko łagodnie pofałdowana czerwona pustynia, a nad nią słońce zawieszane na niebie tak jasnym, że wydawało się białe.

Wdech, wydech. Woda, myśl o czystej, chłodnej wodzie.

Kolejna strużka potu zniknęła za kołnierzem Clema i popłynęła w dół pleców, łaskocząc między łopatkami. Chłopak skrzywił się i poruszył niespokojnie, czując przy tym, jak pod mundurem szorstkie drobinki trą o wilgotną skórę. Po tygodniowym pobycie na pustyni piasek miał wszędzie – wydmuchiwał go z nosa, spluwał nim, pewnie nawet srał piaskiem.

Przy ostatnim wdechu znów oblał się potem i przez chwilę przerażony myślał, że jednak zwymiotuje. Z trudem zwalczył mdłości, wyrzucił niedopałek i posłał Salowi wymęczony, blady uśmiech.

Sal odpowiedział szerokim, radosnym wyszczerzem, a potem poklepał się po kieszeni mundurowej bluzy.

– Mam więcej – powiedział, podczas gdy jego twarz podskakiwała w rozedrganym upałem powietrzu jak dziecięca piłka. W górę i w dół, w górę i w dół. – Najlepszy towar na pograniczu.

Clem zamrugał, strząsając z rzęs krople potu i walcząc z zawrotami głowy. W górę i w dół. Przy każdym podskoku zamknięte w skrzyni karabiny uderzały o siebie z metalicznym zgrzytem. Na tle jasnego nieba płynęły twarze towarzyszy Clema – jedna wciąż uśmiechnięta i dwie poważne. W górę i w dół.

– Jesteśmy już niedaleko – powiedział Sal. – Na ostatnim postoju patrzyłem na mapę i mówię wam, że jeszcze przed zachodem słońca będziemy w Harfie Pustyni.

Wspominałem wam, czemu tak nazywają to miasto?

Bernie mruknął, że owszem, wspominał, ale Sala to nie zniechęciło.

– Bo ono śpiewa – wyjaśnił. – W nocy, gdy nadchodzi wichura, całe miasto jest jak olbrzymi instrument, na którym wiatr wygrywa melodie. To ma coś wspólnego z układem budynków, rozumiecie.

Bernie wzruszył ramionami, a siedzący obok Duży Królik powtórzył jego gest. Clema od początku intrygowała ta dwójka – Królik zwalisty, o szerokiej, indiańskiej twarzy i Bernie szczupły, przystojny, z ciemnymi oczami scenicznego amanta. Byli tak różni, a jednak potrafili zachowywać się identycznie jak syjamskie

61

bliźnięta.

Sięgnął po manierkę i napił się ciepłej wody.

Niezrażony Sal ciągnął dalej:

– Wiecie, że na pustyni wiatr potrafi wiać z taką siłą, że w kilka minut odziera ciało z kości? Serio, znam historię człowieka, który wyszedł za obozowisko i wpadł w trąbę powietrzną, a jego kumple mogli już tylko się gapić, jak z gościa zostaje szkielet. Rozumiecie, widzieli wszystko dokładnie – najpierw jak facetowi zdziera skórę i odsłania mięśnie, potem mięso i żyły, a na końcu zostały same kości, które stały jeszcze przez chwilę, a potem spadły na piasek.

Clem uparcie patrzył w inną stronę, jakby pośród wydm znajdowało się coś niezwykle interesującego. Nie miał pojęcia, jak traktować opowieści Sala. Z jednej strony brzmiały niewiarygodnie, a z drugiej Bernie i Duży Królik nigdy otwarcie nie nazwali Sala kłamcą, więc coś w tych historiach mogło być.

Licząc na jakąś wskazówkę, zerknął na kolegów, lecz ich twarze miały identyczny wyraz zainteresowania podszytego nutą rozbawienia tak lekką, że niemal niedostrzegalną. Clem spróbował zrobić podobną minę, a kiedy mu nie wyszło, wrócił do kontemplacji wydm.

– Ale wiatr i tak wcale nie jest najgorszy – ciągnął Sal. – Najgorsze na pustyni są potwory.

Clem zacisnął palce na kolbie karabinu, bo potwory niewątpliwie były prawdziwe.

W górę, w dół – podczas gdy rzeżący jeep podskakiwał na wybojach, Clem słuchał, jak za jego plecami Sal szczegółowo opisuje pewien specyficzny gatunek pustynnego monstrum. Kły, pazury, zdolność mimikry i naśladowania ludzkiego głosu, przede wszystkim zaś nieodparta chęć wysysania krwi ze wszystkiego, co żyje – do tego momentu Clem zachował powagę, jednak gdy Sal dotarł do trujących kolców, którymi jakoby miały być zakończone sutki potworzyc, odwrócił się i parsknął śmiechem, ośmielony wyraźnie już teraz widocznym rozbawieniem Berniego i Dużego Królika.

Sal spojrział na Clema, a potem przysunął twarz tak blisko, że chłopak poczuł smolistą woń „najlepszego towaru na pograniczu”.

– Śmiesz cię to, co? Ciekawe, czy będziesz tak samo rozbawiony, kiedy dorwie cię któryś z tych stworów. Ja nie byłem, wiesz? Nie śmiałem się, ale przynajmniej udało mi się przeżyć, chociaż skurwysyn zostawił mi coś na pamiątkę.

62

Chcesz zobaczyć?

Odpiął górny guzik bluzy i odsłonił obojczyk, z którego coś zdarło kawał skóry, pozostawiając w zamian bliznę w blad srebrnym kolorze rybiego brzucha.

– I jak, nadal chce ci się śmiać?

Clem otworzył i zamknął usta, całkowicie świadomy, że wygląda w tej chwili jak idiota. Humoru nie poprawiał mu fakt, że Bernie i Duży Królik rechotali teraz zupełnie otwarcie.

– Co z tobą, ugryzłeś się w język? – Dla odmiany Sal był poważny, a przynajmniej takiego udawał. – Czy z wrażenia odebrało ci mowę?

Clem uznał, że nie jest to najlepszy moment na stwierdzenie, że tę bliznę Sal pokazywał już trzykrotnie, za każdym razem podając zupełnie inną wersję jej powstania.

– Nie.

– Co: nie?

– Nie, z wrażenia nie odebrało mi mowy. Ta blizna jest bardzo imponująca, naprawdę. Nigdy już nie będę lekceważył żadnych potworów, zwłaszcza rodzaju żeńskiego.

Sal wybuchnął śmiechem i poklepał Clema po plecach.

– Nie martw się, młody, jakby co, jesteśmy z tobą. Nie damy ci zginąć.

Duży Królik wyszczerzył zęby, a Bernie pokazał uniesiony kciuk. Clem odpowiedział nieśmiałym uśmiechem, niezupełnie pewien, co się przed chwilą zdarzyło i czy tamci wciąż z niego żartują, czy też wręcz przeciwnie – powiedział coś autentycznie zabawnego, a koledzy docenili dowcip.

Bernie wstał i przez chwilę balansował na szeroko rozstawionych nogach, z trudem utrzymując równowagę. Dłonią osłonił oczy.

– Coś widzę – powiedział. – Sal, to chyba to twoje miasto.

Salomon Peshke wyciągnął z kieszeni bluzy zmaltretowanego papierosa i zapalił z wprawą, dzięki której nie uronił ani odrobiny cennego tytoniu.

– Mówiłem, że będziemy na miejscu przed zachodem słońca – uśmiechnął się łagodnie, wydmuchując dym. – Nikt mi nie wierzy, a przecież ja szczerą prawdę mówię, tylko prawdę.

\*\*\*

63

Na początku miasto wyglądało jak burzowa chmura, ciemna i gęsta. Dopiero później, gdy słońce zawisło nad horyzontem tak nisko, że piasek zapłonął świetlistą czerwienią starego wina, Clem zaczął odróżniać kształty poszczególnych budynków: wysokie na kilkadziesiąt pięter graniastosłupy oraz walce, nieco niższe piramidy, klockowate sześciany i nawet dwie albo trzy masywne kule. Wszystkie miały ten sam kolor dymnej szarości, który być może był ich naturalną barwą, a może zawdzięczały ją wieloletnim pokładom brudu.

Sal gwizdnął cicho, a Clem pomyślał, że dziś nikt nie byłby w stanie czegoś takiego zbudować, i razem z tą myślą przyszedł strach. Chłopak odczuł go niemal fizycznie, jak powiew zimnego powietrza z niedomkniętego okna. Inni też musieli coś poczuć, bo Bernie i Duży Królik odwrócili się jak na komendę, skrywając twarze, a Sal zamarł z ustami ułożonymi do kolejnego gwizdnięcia. Wszystko trwało bardzo krótko, lecz ta chwila wystarczyła, by świat pociemniał: ułożone w bruzdach pomiędzy wydrami cienie zgęstniały, a purpurowy blask pustyni przygasł.

Pierwszy poruszył się Sal.

– Słońce zachodzi – mruknął. – Dobrze że jesteśmy prawie na miejscu, bo za chwilę będzie piździć jak cholera.

Clem uśmiechnął się z odrobiną ulgi – tylko odrobiną, bo nie do końca był przekonany, że chodzi o coś tak prostego jak zachód słońca. Kilkanaście minut później, gdy w błyskawicznie zapadającym mroku samochód zatrzymał się przed pierwszymi budynkami, chłopak spojrzął na pustynię, teraz ledwie widoczną, i poczuł niespodziewany żal, że ją opuszczają.

\*\*\*

Chłopiec imieniem Rakeem dużo płakał, nie chciał ćwiczyć i bał się, kiedy trzeba było wspiąć się do okna albo przejść po wysoko zawieszonym gzymsie. Taj często go karał, ale to nie pomagało i którejs nocy Rakeem uciekł z powrotem do domu. Rodzice przyprowadzili go rano i Sable widziała po ich minach, że bardzo się wstydzą. Ucieszyła się wtedy, że sama nigdy nie uciekła, choć czasem miała na to ochotę.

Taj zawołał dzieci i powiedział im, że muszą dać Rakeemowi nauczkę. Na początku nikt zbyt dobrze nie wiedział, co powinni zrobić, dopiero kiedy jeden z większych chłopców popchnął Rakeema, wszystko jakoś ruszyło z miejsca. Taj stał z



boku i się przyglądał. Wszystkie dzieci były mocno, ale Sable najmocniej, bo bała się, że zobaczy w niej słabość.

\*\*\*

Clem stał z bronią w ręku, starając się nie trząść pod narzuconym na ramiona kocem, który najlepsze czasy dawno miał za sobą. Obok Bernie i Duży Królik szeptali coś do siebie, dalej w mroku jarzył się ogienek papierosa Sala. Włączone światła jeepa padały na barykadę usypaną z kawałów gruzu, resztek przegniłych mebli i diabli wiedzą, czego jeszcze – Clem zauważył tam z między innymi zardzewiały przód wagonika kolejki miejskiej. W barykadzie pozostawiono wyrwę na tyle szeroką, by mógł przez nią przejechać samochód, lecz w tym miejscu drogę zagrażał żelazny szlaban, za którym od czasu do czasu coś się poruszało. Chłopak słyszał kroki, czasem głośniejsze wypowiedziane słowo w obcym języku.

Ludzie pustyni, pomyślał i w jego głowie natychmiast pojawiło się mnóstwo plotek i strzępów legend. Surowe wychowanie kształtujące charakter i nieustająca walka o przetrwanie pośród pustynnych monstrów, a na drugiej szali piękne i chętne kobiety z bielonymi twarzami, tańce przy dźwiękach dziwacznych instrumentów oraz smak nasączonych alkoholem melonów.

Wszystko to mogło być prawdą, ale mogło też być czystą fantazją, bo opowieść powtarzana z ust do ust potrafi zmienić się nie do poznania. Tak naprawdę nikt z nich nie wiedział, z czym i kim będą tu mieli do czynienia. Sal, choć obijał się

trochę po świecie, na pustyni nigdy wcześniej nie był, a sierżant Bidou robił mądre miny, lecz Clem znał go już na tyle dobrze, by zorientować się, że ich dowódca niczego konkretnego nie wie.

Chłopak zerknął w stronę szoferki, gdzie obok sierżanta siedziała jedyna osoba, która niewątpliwie wiedziała wszystko: czego się można spodziewać po ludziach pustyni, jak wyglądają miejscowe monstra, a przede wszystkim po co tak naprawdę tu przyjechali.

Teoretycznie po to, by Merino mógł przehandlować tubylcom kilkadziesiąt sztuk karabinów, które leżały w skrzyni na jeepie, lecz ani Clem, ani reszta najemników nie bardzo w to wierzyli. Wożenie takiej ilości broni przez pustynię równało się – jak kiedyś powiedział Sal – dziesięciokilometrowemu spacerowi na targ, by sprzedać tam garść śliwek, i rozumiał to każdy, kto miał jako takie pojęcie o

65

handlu. Albo więc Merino był idiotą – i w to na początku wszyscy wierzyli – albo też coś ukrywał, co z każdym dniem stawało się bardziej prawdopodobne, gdyż człowiek, który ich wynajął, na idiotę jednak nie wyglądał.

Jee Merino obrócił się, jakby czując na sobie wzrok Clema, i chłopak spojrzał w rozmazaną za szybą plamę twarzy człowieka, który mu płacił, a z którym przez cały miniony tydzień podróży zamienił może z dziesięć zdań.

Sierżant Bidou pochylił się, powiedział coś i otrzymał krótką odpowiedź.

Chwilę później mężczyźni wysiedli, dwie niewielkie sylwetki w ciemności, z których jedna – ta ubrana w mundur – poruszała się z chłopięcą zwinnością, a druga sztywno

niczym drewniana kukielka. Merino podszedł kilka kroków w kierunku barykady i zatrzymał się dopiero na ostrzegawczy pomruk Bidou. Stał teraz lekko zgarbiony, z kolanami odchylonymi na zewnątrz i łokciami uniesionymi do góry, niczym dziecko, które naśladuje kurę. Clem wiedział, że niezgrabna postawa oraz sztywność chodu są efektem choroby stawów, ale nie czyniło to w jego oczach pracodawcy ani odrobinę mniej cudacznym.

Jee Merino krzyknął coś; słów Clem nie zrozumiał, ale nuta zniecierpliwienia w głosie łatwo dała się rozpoznać. Zza barykady ktoś odpowiedział okrzykiem, zapłonęło światło pochodni, a szlaban został zdjęty. Bidou gestem nakazał, by czwórka żołnierzy ustawiła się po obu jego stronach z bronią gotową do strzału. Z ciemności wynurzył się mężczyzna trzymający pochodnię. Ubrany był w liczne warstwy odzieży albo brudnej, albo naturalnie szarej, która spływała luźno aż do kostek. Siwe, mocno przerzedzone włosy sięgały mu do ramion, a spaloną na brąz twarz znaczyły głębokie zmarszczki, nie sprawiał jednak wrażenia starca. Za nim niczym obstawa szło dwoje dzieci tak do siebie podobnych, że Clem dopiero po chwili zauważył, że to chłopiec i dziewczynka. Oboje mieli ciemnoblonde włosy splecione w zakończone koralikami warkoczyki, a w rękach trzymali dwa bliźniacze karabinki szturmowe. A może nie bliźniacze – ten, który należał do dziewczynki, chyba był nowszy, choć w tym świetle trudno to było ocenić.

Nie mają więcej niż dwanaście, góra trzynaście lat, pomyślał Clem, szacując wiek dzieci, a potem przyszło mu do głowy, że w Harfie Pustyni musi być naprawdę ciężko, skoro broń daje się komuś tak młodemu i nieodpowiedzialnemu.

Tymczasem siwowłosy mężczyzna konferował z Merino. Ich rozmowa była cicha, lecz pełna wyraźnie wyczuwalnego napięcia. Clem przez chwilę słuchał,

próbując zrozumieć którekolwiek ze słów, wyłapał jednak tylko coś, co brzmiało

66

podobnie do wyrazu oznaczającego w jego języku broń. Zniechęcony przeniósł wzrok na dzieci, które przez cały czas stały bez ruchu z poważnymi minami, niczym miniaturowa gwardia. Clema to rozbawiło i jednocześnie napełniło ciepłym uczuciem sympatii. Uśmiechnął się zachęcająco, ale dzieci albo tego w ciemności nie zauważyły, albo świadomie zdecydowały się zignorować, bo na ich twarzach nie drgnął ani jeden mięsień.

Czekolada, pomyślał, ciekawe, czy skusiłyby się na mój zachomikowany czekoladowy batonik. Przez chwilę bawił się możliwym ciągiem wydarzeń: on rzucił im smakołyk, one tracą opanowanie i zaczynają się o niego bić jak para zwyczajnych małolatów. Niezły miałby wtedy ubaw, choć z drugiej strony byłoby mu też trochę żal, bo dzieciaki wyglądały uroczo z tą swoją powagą, a Clem doskonale pamiętał, jak bardzo dumny i dorosły sam się czuł, gdy po raz pierwszy dostał do ręki broń.

Siwowłosy mężczyzna powiedział jeszcze kilka długich, śpiewnych słów, po czym odwrócił się i nie oglądając się odszedł wraz ze swoją gwardią przyboczną. Clem w pierwszej chwili pomyślał, że negocjacje zakończyły się fiaskiem i będą musieli zawrócić na pustynię, ale nie – po przejściu siwowłosego szlaban pozostał zachęcająco uniesiony, a Merino ruchem głowy wskazał jeepa.

– Jedziemy. – Bidou nie wydawał się zadowolony, może dlatego, że przez ostatnie piętnaście minut słuchał rozmowy w języku, z którego nic nie rozumiał, a może z innego, głębszego powodu.

Jeep ruszył, gładko wsuwając się w cień gigantycznych budynków, i nad głowami Clema oraz jego towarzyszy zamknęła się Harfa Pustyni.

\*\*\*

Tej nocy spali w wysoko sklepionej sali, gdzie spod warstwy kurzu prześwitywał różowo żyłkowany marmur, a ściany zdobione były medalionami zwierzęcych masek. Nie było okien, ale na szczęście tubylcy podarowali im przenośny generator, dzięki któremu mogli oświetlić przynajmniej część pomieszczenia. Nie marzli; Sal twierdził, że na pustyni domy specjalnie budowano tak, by nocą było w nich ciepło, a za dnia chłodno i nawet jeśli sam to wymyślił, to tym razem mógł przypadkowo trafić w sedno.

Zjedli kolację, gulasz z puszki podgrzany tak, że miejscami był gorący, miejscami zaś lodowato zimny, a przy tym wystarczająco gęsty, by nie dało się go

67

porządnie wymieszać. Niebieskawe płomyki gazowej kuchenki nadawały ich twarzom nierzeczywisty wygląd, jakby byli gromadą obszarpanych i brudnych widm. Wyróżniał się jedynie Bernie, który w plecaku zawsze nosił specjalną szczotkę do czyszczenia ubrania i drugą, mniejszą, do paznokci, ale nawet on tego wieczoru był zmęczony i sprawiał wrażenie postarzałego.

Clem zasypiał, słysząc dźwięk osypującego się piasku i pojękiwania wiatru, które towarzyszyły mu każdej nocy na pustyni. A przynajmniej zdawało mu się, że słyszy. Starając się je ignorować, myślał o przejrzystej i chłodnej wodzie, o tym, jak zanurza się w niej i szorstką gąbką zmywa cały brud.

\*\*\*

Sable zamieniła pistolet na karabin, kiedy skończyła dziesięć lat. Karabin też był lekki, „jakby stworzony dla dzieci”, jak mówili starsi i tym razem Sable przyznawała im rację. Wtedy już wszyscy dorośli musieli być dla niej uprzejmi, a przy posiłkach zawsze ustępowali jej przy stole. To było strasznie zabawne i Sable czasem specjalnie udawała obrażoną, żeby ją przeproszali, starała się jednak nie robić

tego w obecności Taja, który cały czas sprawował nadzór nad ich grupą. Niektóre dzieci próbowały z Taja żartować albo traktowały go z pogardą, ale on szybko przywoływał je do porządku. Był jednym z nielicznych dorosłych, którzy mogli im rozkazywać i karać je, kiedy były nieposłuszne. Niektórzy z tych dorosłych byli mili i nigdy się nie buntowali, kiedy dzieci płatały im figle; inni, jak właśnie Taj, łatwo wpadali w złość i mieli ciężkie pięści. Tych drugich Sable nienawidziła, miała jednak na tyle rozumu, żeby trzymać język za zębami.

\*\*\*

Ślady krwi zauważył rano, gdy już wysikał się pod pochyłym murem i zapiął spodnie, a potem rozpiął bluzę, bo nocny chłód zaczynał właśnie przechodzić w leniwe ciepło poranka. Clema otaczały piramidy, jedna mniejsza po prawej stronie i druga większa po lewej, Widok ten od razu wydał mu się naturalny – może dlatego, że kiedyś, dawno temu, ojciec podarował mu w prezencie plik starych, związanych gumką pocztówek, wśród których jedna pochodziła z miejsca zwanego Egiptem. Piramidy i pustynia niewątpliwie pasowały do siebie i Clem nawet trochę żałował, że

68

w Harfie są także budynki o innych kształtach, które psuły panoramę.

Ślady krwi widniały na ścianie mniejszej piramidy. Zaczynały się obfitym

rozbryzgiem na wysokości mniej więcej dwóch metrów i biegły w górę, strużki krwi coraz węższe i rzadsze. Clem gapił się na nie dobrą chwilę, zanim pojął, że po pierwsze, brązowawe zacieki na tle szarych murów są właśnie krwią, a po drugie, że coś musiało tu człowieka porwać, zabić go, a potem unieść w niebo, bo nic innego tak wyglądających śladów nie tłumaczyło.

A może nie, zreflektował się Clem, może ktoś zwyczajnie ze szczytu piramidy spadł. Tyle że wtedy plamy znajdowałyby się też na dole – trudno przecież uwierzyć, że ów ktoś wykrwawił się całkowicie na wysokości dwóch metrów i kiedy uderzył w chodnik, nie pozostały już żadne ślady krwi. A może ślady były, tylko je wyczyszczono? Też nie, bo brązowawe rozbryzgi biegły pod lekkim skosem, a człowiek spadałby prosto.

Więc jednak latające monstrum, pomyślał Clem, czując, jak robi mu się gorąco. Powinien o tym zameldować, ale tu pojawiał się kolejny problem, bo chłopak wcale nie był do końca przekonany, że ma rację, że brązowawa ciecz jest krwią, a skrzydlata bestia faktycznie istnieje. Mógł się pomylić, nieraz się już mylił. Koledzy wciąż jeszcze od czasu do czasu dręczyli go żartami na temat pewnej nocy sprzed miesiąca, gdy zaczął strzelać do buszującego w śmieciach dzikiego psa. Na samą myśl, że teraz mogłoby być podobnie, zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco. W gruncie rzeczy ta perspektywa, tak bliska i realna, wydawała się znacznie bardziej przerażająca niż hipotetyczny smok, który nawet jeśli istniał, to pewnie był teraz daleko stąd.

Zatem meldować czy nie? Zgnębiony Clem gapił się zacieki, roztrząsając wszystkie za i przeciw. Ten nieszczęsny zakrwawiony (albo i nie) mur wydał mu się nagle częścią spisku, jakby wszyscy, cała ich drużyna, los, moce piekielne i nawet



potwory zmówili się, żeby uprzykrzyć życie Johnowi Clemensowi. Nie powinni mnie tak traktować, pomyślał, nie precyzując, o których konkretnie „onych” mu chodzi i o jakie traktowanie. Jestem z dobrego domu, dodał, tyle że to nic już nie znaczyło. Kiedyś owszem, znaczyło wiele – jeszcze przed kilkoma miesiącami, gdy jako nowy w drużynie przechodził rytualny okres tępienia, ta myśl podtrzymywała go na duchu, ale teraz, prawie zaakceptowany, niemal „swój”, Clem z rozpaczą uświadomił sobie, że nie pamięta twarzy ojca. Próbował ją sobie przypomnieć, ale im bardziej się starał, tym bardziej mu umykała, aż wreszcie pozostał tylko rozmyty obraz sumiastych

69

wąsów i patriarchalnej brody.

Jestem z dobrego domu, powtórzył Clem w myślach, ale słowa na dobre straciły magię i zniechęcony chłopak ruszył w gęstniejącym upale na spotkanie losu, bo ostatecznie argumenty „za” przeważały „przeciw”.

\*\*\*

Meldując o znalezieniu śladów krwi, Clem spodziewał się... właściwie sam dokładnie nie wiedział czego, ale liczył przynajmniej na coś konkretnego. Na przykład, że sierżant Bidou zmusi wreszcie Jee Merina do wyjaśnienia, jakiego rodzaju potwory grasują w Harfie. Albo wręcz przeciwnie – Bidou roześmieje się i

powie, że krew wcale nie jest krwią, tylko, powiedzmy, naturalnym osadem pustynnego piasku. Tymczasem sierżant najpierw po prostu na zacieki patrzył, potem przez chwilę szeptał z Merinem, aż wreszcie odwrócił się i odszedł, purpurowy ze złości jak przejrzały pomidor.

Przy ścianie pozostali Sal, Clem i Merino, ten ostatni patrzący na pozostałą dwójkę bez wyrazu, jeszcze bardziej cudaczny w dzień niż w nocy, bo widać było teraz w całej okazałości jego żabią twarz oraz strój składający się z niegdyś białej, a teraz poplamionej i wymiętoszonej koszuli oraz czarnych spodni, których nogawki obcięto na wysokości połowy ud, tak iż światło słoneczne ujrzały kościste kolana.

– Jak pan sądzi, co mogło pozostawić te ślady na murze? – zapytał zaczepnie Clem.

Na żabiej twarzy coś drgnęło i w oczach Jee Merina pojawiła się kpina.

– Ranny człowiek, oczywiście. Krew zazwyczaj pozostawia ranny człowiek.

Albo umierający. Zwierzęta możemy wykluczyć, tu nie ma wystarczająco dużych.

Clem poczuł ze złością, że się rumieni. Rozsądnie nie spojrział w stronę Sala, który z pewnością szczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

– Miałem na myśli stworzenie, które tego człowieka zabiło. Tego potwora. On musi mieć skrzydła, prawda? Jak smok.

Merino długo międlił w ustach odpowiedź i odezwał się, gdy Clem stracił już nadzieję.

– Nie przejmujcie się potworami – powiedział. – Waszym zadaniem było przeprowadzić mnie bezpiecznie przez pustynię, tu już w niczym nie możecie mi pomóc.

Minął osłupiałego chłopaka, a gdy jego kanciasta sylwetka zniknęła za rogiem, Sal leniwymi ruchami zaczął bić brawo.

– No proszę, udało ci się zmusić starego drania, żeby powiedział trzy zdania, i to w dodatku całkiem sensowne. Do mnie najwyżej mówi „dzień dobry” tonem, jakby chciał powiedzieć „ugryź się w dupę”.

– Ale o czym on gada? Że niby mamy nie przejmować się potworami?

– Może jest z nimi w dobrej komitywie i stąd wie, że zostawią nas w spokoju.

– Sal posłał Clemowi swój firmowy wyszczerzony uśmiech. – Jak dla mnie pasuje, nie zamierzam narzekać.

\*\*\*

Sable zabiła pierwszego smoka wkrótce po tym, gdy oddała młodszym dzieciom pistolet, a w zamian otrzymała karabin. Wystraszyła się wtedy i zaczęła strzelać na oślep. Tak naprawdę to, że w ogóle trafiła, ratując tym samym życie pięć kobiet, które plotkowały wokół kranu z wodą, zawdzięczała ślepemu trafowi. Nie przyznała się jednak, kiedy wszyscy zaczęli ją podziwiać i nawet Taj ją pochwalił. Powiedział wtedy Sable na osobności, że zawsze uważał ją za swoją najzdolniejszą uczennicę i dlatego właśnie tak dużo od niej wymagał i często krzyczał. Zapytał, czy Sable to rozumie, a ona skinęła głową, bo nie potrafiła już go nienawidzić. Było jej

przyjemnie, a jednocześnie męczyło ją poczucie winy, postanowiła więc, że będzie ćwiczyć jeszcze więcej i już nigdy nie będzie się bać, tak żeby Taj naprawdę mógł być z niej dumny.

\*\*\*

Przez cały dzień do ich obozowiska w marmurowej sali przychodzili ludzie – bezzębni starcy i staruszki, matki z zawiniętymi w chusty niemowlętami, barczyści młodzieńcy i śliczne dziewczyny w barwnych strojach, a każda grupa eskortowana była przez jedno lub dwoje dzieci z bronią. Niektórzy chcieli kupić antybiotyki i odchodzili rozczarowani, gdy Merino tłumaczył im, że lekarstwa mają tylko na własne potrzeby. Inni oglądali karabiny przywiezione w skrzyni na jeepie i też odchodzili, zniechęceni wysokimi cenami, jakie Merino dyktował. Pozostali przychodzili z czystej ciekawości. Kobiety czasem próbowały zagadywać i

71

chichotały, szepcząc coś między sobą, mężczyźni raczej trzymali się z dala, lecz na ich twarzach również widać było zainteresowanie. Clema na początku to bawiło, chodził nawet za Merino, prosząc o tłumaczenie każdej rozmowy, później jednak zaczął się irytować, zwłaszcza podczas południowego posiłku, gdy trzy wyraźnie zaintrygowane tubylki wtykały nosy w ich menażki i usiłowały grzebać w plecakach.

Wściekle okrzyki Bidou pomagały o tyle, że kobiety rozbiegały się na chwilę, jednak zaraz wracały, uparte i wciąż przyjaźnie uśmiechnięte.

Trwało to do zmroku, potem szeregi gapiów się przerzedziły. Wtedy do obozowiska przyszedł siwowłosy mężczyzna – ten sam, który wczorajszego wieczoru wyszedł im na spotkanie i w którym Clem domyślał się miejscowego przywódcy. Jee Merino nazywał go Choredonem, co równie dobrze mogło być imieniem, jak i zwyczajowym określeniem głowy klanu.

Choredon przyniósł im zaproszenie na miejscową imprezę.

\*\*\*

Kilka razy w roku do Harfy przybywali obcy, którzy nigdy w życiu nie widzieli smoka, i Sable zastanawiała się czasem, co mogłaby im opowiedzieć, gdyby potrafiła się z nimi porozumieć.

Mogłaby na przykład powiedzieć, że tak naprawdę smoki nie mają ciała, a przynajmniej nie takiego jak ludzie. Dowodem na to, mówiłaby, jest fakt, że kiedy smok zostanie zastrzelony, to po prostu znika jak duch, nie zostawiając śladów krwi ani zwłok. Z tego też wynika, że smoki nie polują na mieszkańców Harfy dla jedzenia, bo przecież komuś, kto nie ma ciała, mięso do niczego nie jest potrzebne.

Dlaczego więc smoki lubią zabijać, i to wyłącznie ludzi? – zapytałby pewnie obcy, a Sable odpowiedziałaby, że nikt tak naprawdę tego nie wie, ale istnieją dwie teorie.

Większość mieszkańców Harfy uważa, że dla smoków to coś w rodzaju sportu, inni

jednak twierdzą, że ludzie emitują pewien rodzaj energii, która bardzo smoki drażni.

Sable przedstawiłaby obie teorie uczciwie, a potem powiedziała, że jej zdaniem to i tak nie ma najmniejszego znaczenia.

Później mogłaby smoki opisać. Są duże, mówiłaby, wielkie jak płynące niebem okręty, smukłe i w kolorze wypolerowanego metalu. Gdy znajdą się blisko, w ich węzowo gibkim, srebrzystym ciele można zobaczyć różne rzeczy – krajobrazy z dalekich krain, morze, przedmioty, a nawet ludzkie twarze. Te rzeczy nie wyglądają

72

jak odbite w lustrze, a raczej tak, jakby się patrzyło odwrotnie przez lunetę, bo są małe i tkwią głęboko wewnątrz smoka.

Sable zobaczyła tak kiedyś samą siebie, starszą o dziesięć lat i ciężarną. Mało wtedy nie zginęła, bo zapomniała o podstawowej zasadzie, jakiej uczy się w Harfie wszystkie dzieci.

Nigdy nie patrz w głąb smoka. A kiedy jesteś starszy i musisz patrzeć, nie zwracaj uwagi na to, co widzisz.

Potem Sable powiedziała, że we wnętrzu widać także pulsujący czarny organ wielkości ludzkiej głowy. To serce. Jeśli dziecko chce smoka zabić, musi w nie celować, bo wszystkie inne kule przechodzą przez ciało jak przez dym.

A smoka wcale nie jest trudno zabić, oznajmiłaby Sable lekceważąco. Nie jeśli jesteś dobrze wyszkolony, szybki i nie dasz się rozproszyć przez obrazy we wnętrzu bestii.

\*\*\*

Stoły rozstawiono w wielkiej sali (zdaje się, że w Harfie Pustyni w ogóle nie było małych sal), pod oplecionymi pajęczynami szczątkami żyrandoli i w miarę możliwości z dala od ścian, których zakurzona chwała kontrastowała z topornością nieheblowanego drewna. Gdzeniegdzie na gołych kablach zwisały żarówki, których blask uzupełniały ognie rozpalone w metalowych koszach. W powietrzu unosił się ciepły zapach pieczonego mięsa i ostrych przypraw. Clemowi, który przez ostatni tydzień skazany był na wojskowe racje, ślina natychmiast napłynęła do ust. Problem w tym, że musiał czekać, bo najpierw przy stołach usiadły dzieci w wieku mniej więcej od dziesięciu do trzynastu lat. Wszystkie miały twarze wysmarowane kredową pastą, z podkreślonymi węglem łukami brwi i szkarłatnymi kręgami wokół ust, co z daleka wyglądało tak, jakby nosiły groteskowe maski. I wszystkie najwyraźniej świetnie się bawiły, chlapiąc wokół rozcieńczonym winem i rzucając pestkami daktyli, podczas gdy ubrani w barwne stroje i obwieszeni złotem dorośli podpierali ściany, popijając samogon z drewnianych kubków.

– O co tu chodzi? – szepnął Clem do Berniego i w odpowiedzi otrzymał wzruszenie ramion.

– Jakies miejscowe zwyczaje. Dzieci jedzą pierwsze, bo to przyszłość plemienia albo coś w tym sensie.

– A te malowane twarze?

– Skąd mam wiedzieć?

Chłopak zerknął na pozostałych członków drużyny, ale nikt nie wyglądał na bardziej zorientowanego. Duży Królik wlewał w siebie kubek bimbrowa za kubkiem, jakby brał udział w zawodach, Sal podrywał jedną z miejscowych kobiet, a sierżant Bidou milczał z ponuro-wściekło-zaciętym wyrazem, który nie schodził z jego twarzy, odkąd znaleźli ślady krwi. Brakowało Jee Merina – Clem rozejrzał się dyskretnie, lecz nigdzie nie dostrzegł charakterystycznej niezgrabnej sylwetki. Tymczasem Sal i dziewczyna osiągnęli etap porozumienia pozwalający na wymianę imion, po czym ucieszona panna poszła gdzieś i wróciła z pulchnym niemowlęciem w ramionach, które również przedstawiła. Na widok spłoszonej miny Sala Clem roześmiał się, rekompensując sobie w ten sposób wszystkie te chwile, gdy sam był obiektem żartów.

Dzieci skończyły jeść, a kobiety uprzątnęły stoły i przyniosły dzbany świeżego wina. Dorośli wreszcie mogli zasiąść do posiłku.

Placki polane grzybowym sosem, krojone w cienkie paski mięso jaszczurek, zagęszczone mleko kokosowe i chrupkie jak orzeszki mrówki w miodzie, wyławiane palcami wprost z wielkiej misy... Clem w pewnym momencie stracił rozeznanie, ile i czego zjadł. Popity rozcieńczonym winem bimbrowa rozgrzewał mu ciało, powietrze drgało jak w upalny dzień. Przedmioty i ludzkie twarze nabrały wyrazistych kolorów, a jednocześnie ich kontury zmiękły, jakby wszystko wokół zrobione było z gorącego szkła. Chwile rozciągały się w nieskończoność, nasycone intensywnością barw, muzyki i śmiechu, po czym ginęły, zanim Clem zdążył je zapamiętać.



Muzyka... skąd właściwie wzięła się muzyka? Ktoś grał na gitarze, ktoś inny na instrumencie wydającym z siebie przeciągłe jęki, które Clemowi kojarzyły się z zawodzeniem zagubionego kociaka. Było gorąco i duszno, ostra woń ludzkiego potu mieszała się z zapachem przypraw oraz ziół. Chłopak zgubił chwilę, gdy stoły zostały zsunięte w jedno miejsce i rozpoczęły się tańce, na pozór chaotyczne, a jednak mające jakąś wewnętrzną logikę, której, oszołomiony alkoholem, nie potrafił do końca pojąć. Kobiety pląsające z kobietami, mężczyźni z mężczyznami i mieszane pary schodzące się gdzieś pośrodku do wtóru głośnych okrzyków oraz braw. Clem też tańczył, choć w ruchu wszystko zamazywało mu się przed oczami i bywały chwile, gdy nie widział niczego poza wstęgami barw – brąz twarzy na górze i złoto naszyjników poniżej. I jeszcze kolory strojów: czerwień, zieleń, błękit oraz żółć zlane w rytmicznie pulsujące

74

plamy.

Jak przez mgłę widział Berniego i Dużego Królika opierających się o ścianę i zajętych rozmową. Ich miny, niemal identyczne, uśmiechy i bliźniacze gesty... I żaden nie wydawał się zainteresowany którąkolwiek z ładnych dziewcząt, jakie kręciły się wokół. Clem nie chciał patrzeć w tamtą stronę, niemniej patrzył i przez chwilę nawet rozumiał, czemu Sal, gdy mówi o Berniem i Króliku, czasem ma dziwny wyraz twarzy. Potem zrozumienie utonęło w pijackim oszołomieniu.

W następnej chwili, którą pamiętał, nieco już trzeźwiejszy Clem siedział pod ścianą i obserwował tańczących, podczas gdy muzyka, teraz spokojniejsza i jeszcze bardziej jękliwa, wwiercała mu się uszy. Wraz z resztkami bimbru parowała z niego

radość; wahadło wychyliło się w drugą stronę i chłopak zaczynał odczuwać pierwsze skutki poalkoholowego przygnębienia. Co ja tu robię, myślał, nie w formie pytania, ale raczej pełnego zdumienia stwierdzenia.

Cojaturobię.

Jeszcze niedawno jego przyszłość wydawała się prosta – miał zacisnąć zęby, przetrwać roczny kontrakt i zarobić trochę pieniędzy, a potem ruszyć na północ, gdzie czekało na niego życie, do jakiego się urodził.

Pochodzę z dobrego domu, przypomniał sobie z niejakim trudem; jego myśli wciąż były lepkie i zamazane. Zdobregodomu.

Tyle że ten dom już nie istniał, spalony do fundamentów pewnej październikowej nocy, gdy władzę w Lucienne przejęła kolejna grupa politycznych awanturników. Przez niemal dwadzieścia lat ojciec Clema balansował na cienkiej linie, wykorzystując swoją pozycję najlepszego lekarza w okolicy i starając się żyć w zgodzie ze wszystkimi skonfliktowanymi ugrupowaniami, aż wreszcie coś pękło, coś się zepsuło. W rezultacie Clem znalazł się na ulicy bez grosza przy duszy, w koszuli wciąż cuchnącej dymem pożaru i niosąc pod powiekami wspomnienie ojca, który wykrawiał się, wisząc na krokwi z poderżniętym gardłem i czarną opaską na oczach.

Wszystko to zdarzyło się blisko pół roku temu.

Przez następnych kilka miesięcy Clem żył marzeniami: że pojedzie na północ, zdobędzie majątek, spotka dziewczynę o blond włosach i zielonych oczach, a potem zbuduje dla niej dom podobny do tego, w jakim się wychował – malowany na biało, z werandą i spadzistym dachem. Później wyrósł z tych marzeń, tak jak się wyrasta z dziecięcej koszuli, tyle że w zamian niczego innego nie miał, żadnych dojrzałych

planów, żadnego rozsądnego pomysłu na to, co powinien zrobić ze swoim życiem.

Tkwiał więc zawieszony gdzieś pośrodku, zbyt dorosły i zbyt często wykpiwany, żeby snuć barwne fantazje, i jednocześnie zbyt młody, aby podjąć coś, co jego ojciec nazywał męską decyzją.

Cojaturobię.

Impreza powoli dogorywała. Bimber się kończył, jękliwa muzyka rwała się coraz bardziej, a pary coraz częściej znikały na wyższych piętrach budynku, nieodmiennie eskortowane przez chłopca lub dziewczynkę z bronią. Obecność tych dzieciaków, które krążyły po sali czujne i całkowicie trzeźwe, wydawała się Clemowi w jakiś sposób znacząca; miał wrażenie, że powinien wiedzieć, dlaczego one nie śpią grzecznie w domach ani nie bawią się wraz z rodzicami.

Powinien wiedzieć, ale nie miał zielonego pojęcia.

Pośrodku sali Sal rozmawiał z dziewczyną, być może tą samą, która przed kilkoma godzinami przedstawiła mu swoje dziecko, a może inną, tylko łudząco do tamtej podobną. Wokół nich tancerze poruszali się rozmiękczone przez alkohol ruchami, a oni sprzeczali się o coś, Clem nie wiedział o co, z zainteresowaniem jednak obserwował ową próbę porozumienia przy pomocy gwałtownych gestów.

Dziewczyna uparcie pokazywała stojącego niedaleko chłopca z pomalowaną na biało twarzą i tupiała dla podkreślenia swoich racji, a Sal równie uparcie kręcił głową. Po kilku minutach pantomimy panna nieoczekiwanie się poddała i ruszyła za mężczyzną w stronę schodów, odganiając przy tym chłopca, który chciał im towarzyszyć.

Dzieciak sprawiał wrażenie zdumionego, Sal był po prostu zadowolony, a dziewczyna wyglądała na zdeterminowaną i jednocześnie wystraszoną.

Clem poczuł, jak robi mu się gorąco, wstał więc i poszukał dzbana z wodą, która – ciepła teraz i daleka od świeżości – niewiele pomogła.

Muszę wyjść, pomyślał.

Nim dotarł do drzwi, towarzyszyła mu już niczym cień dziewczynka dwunasto- albo trzynastoletnia. Jak wszystkie dzieci tego wieczoru, nosiła przewieszony przez ramię karabin i miała umalowaną na białą twarz.

– Nie trzeba – powiedział, gdy wyszła za nim na zewnątrz. – Jestem dużym chłopcem i nie boję się ciemności, OK?

Spróbował odgonić ją ruchem, jaki podpatrzył u panienki Sala, jednak na małej nie zrobiło to wrażenia, zrezygnował więc i pozwolił jej iść ze sobą.

Ostatecznie, co za różnica?

76

Odetchnął głęboko powietrzem tak ostrym, że niemal raniło płuca. Dygotał z zimna, głowa zaczynała go boleć, ale myślało mu się zdecydowanie lepiej. Gdy nagle pociemniało, Clem spojrział w górę i zobaczył chmurę nasuwającą się na księżyc, teraz widoczny już tylko jako plama w kolorze brązu, rozświetlona złotem na brzegach i przydymiona pośrodku jak brudne szkło, za którym ktoś ustawił lampę.

Z uchwytu przy wejściu wyjął pochodnię i ruszył w mrok. Chciał się przespacerować; tylko kawałek, bo chłód przenikał aż do kości.

Dziewczynka oczywiście poszła za nim, w każdej chwili gotowa chwycić za

karabin. Jeszcze wczoraj wieczorem widok uzbrojonych dzieci wywoływał w Clemie rozbawienie zmieszane z niejakim wzruszeniem, lecz to minęło – teraz dręczyło go uczucie, że przegapił coś bardzo ważnego.

Zajrzał w jedną ulicę i zaraz zawrócił, potem w drugą, która wyglądała identycznie, zwłaszcza nocą, gdy w świetle pochodni Clem widział jedynie gładkie mury po jednej i po drugiej stronie, czasem tylko ozdobione krągłą maską przedstawiającą ludzką twarz lub rozwartą zwierzęcą paszczę.

Gdy skręcił w trzecią z kolei ulicę, a potem tradycyjnie chciał zawrócić, dziewczynka nieoczekiwanie chwyciła go za łokieć i pociągnęła dalej. Clem poszedł za nią, bardziej zdumiony niż zaniepokojony. Próg tolerancji na zimno właśnie został przekroczony i chłopak myślał już tylko o tym, żeby schronić się w ciepłej sali.

Tymczasem dziecko zaprowadziło go pod ścianę, na której połyskiwały białą splątane linie.

– Engili – powiedziała, odwracając w jego stronę swoją niesamowitą, równie białą jak linie twarz. – Engili.

Clem rozsądnie przetłumaczył to na „patrz”.

Dobrą chwilę zajęło mu zrozumienie, że to, na co ma patrzeć, jest wyrysowanym kredą monstrem. Łeb ni to psi, ni jaszczurczy, długa, smukła szyja i dwa spiczaste trójkąty, które prawdopodobnie miały wyobrażać skrzydła. Rysunek był kiepski, pysk potwora raczej bawił niż przerażał, łapy wyglądały jak wykręcone artretyzmem, a mimo to... mimo to było w nim też coś niepokojącego, groza uchwycona w koślawej karykaturze. Coś, co sprawiało, że człowiek parskał śmiechem i wciąż jeszcze chichocząc, czuł ciarki przebiegające po plecach.

– Ładne – wymamrotał Clem, który nagle mocniej zapragnął wrócić do ciepłej

sali. – Trochę dziecinne, ale... eee... coś w tym jest. Zdecydowanie coś jest.

– Dregonis – dodała dziewczynka z naciskiem, po czym powtórzyła: –

77

Dregonis.

Chłopak przetrząsnął pamięć w poszukiwaniu podobnego słowa i znalazł je, w dialekcie, którym posługiwała się jego zmarła dawno temu matka.

Dregonis, drego.

Czyli jednak smok.

Patrzył na kredowego potwora, czując przy tym, jak nocne zimno na dobre usadawia się w jego kościach. Tak, może i smok.

– Czy on, hmm... lata?

Dziewczynka zamiast twarzy miała białą, pozbawioną śladu zrozumienia maskę, zakreślił więc dwa łuki w miejscu, gdzie na rysunku znajdowały się skrzydłopodobne twory, po czym oddał dziecku pochodnię, sam zaś rozpostarł ramiona i zamachał nimi z poświęceniem.

– Lata?

Skinęła głową.

– Misi – pokazała siebie, a potem karabin – tetmeko.

Clem zmarszczył brwi.

– Polujesz na smoki? Wszystkie dzieci tutaj to robią? Dlatego nosicie broń? To jakiś obrzęd inicjacji czy coś w tym rodzaju?

Potarł skronie, nie oczekując odpowiedzi na żadne z pytań. Było mu zimno,

coraz zimniej, choć jeszcze przed chwilą przysięgłby, że osiągnął apogeum zlodowacenia, a pod czaszką łomotało, jakby w głowie Clema skrzaty urządziły sobie potańcówkę.

– Wracajmy – powiedział, po czym zorientował się, że zabrzmiało to prosząco.

Odchrząknął.

– Wracamy – demonstracyjnie objął się ramionami i zatupał – bo zaraz tu zamarznę.

\*\*\*

Pewnego dnia do Harfy przybyli obcy, z których najwyraźniej tylko jeden, ten najważniejszy, zdawał sobie sprawę z istnienia smoków. Wtedy Sable posprzeczała się z Choredonem – on uważał, że skoro przywódca nic swoim ludziom nie powiedział, to mieszkańcy Harfy nie mają prawa podważać jego decyzji, Sable

78

natomiast upierała się, że przybyszy należy ostrzec dla ich własnego dobra. Sable rzecz jasna sprzeczkę przegrała i została ukarana za nieposłuszeństwo. To było tuż przed ucztą na cześć gości, więc przez cały czas zabawy dziewczynka chodziła wściekła i obolała, starała się jednak wypełniać swoje obowiązki, nie dając nic po

sobie poznać. Takie były zasady – po pierwsze, obcych należało chronić nawet za cenę życia, a po drugie, nigdy nie wolno było ujawniać przed nimi słabości, ponieważ to byłby wstyd dla wszystkich mieszkańców Harfy.

Tych zasad Sable przestrzegała, złamała jednak inną, mniej ważną i wbrew woli Choredona, w noc zabawy, gdy jeden z przybyszy wyszedł na zewnątrz, powiedziała mu o niewidzialnych smokach. A przynajmniej spróbowała to zrobić.

\*\*\*

W wielkiej sali panowała cisza, przerywana chrapaniem niedobitków, którzy zalegli pod ścianami. Żarówki były pogaszone, w metalowych koszach resztki płomieni pełgały po purpurowych węglach, a w gęstym jak para wodna powietrzu wciąż unosiła się woń potu i resztek uczyty. Chrapanie na moment ustało, ktoś poruszył się we śnie i trącona przypadkiem gitara jęknęła cicho.

Z chwilą, gdy Clem wszedł do środka, dziewczynka straciła zainteresowanie nim i przepadła w mroku. Chłopak miał ochotę pójść w jej ślady – zniknąć gdzieś w ciemności, zawinąć się w nią jak w koc i zasnąć. Wiedział jednak, że nie zdoła tego zrobić przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Stał więc przez chwilę z przymkniętymi oczami, po prostu ciesząc się ciepłem, które wyganiało z kości wspomnienie pustynnej nocy. Stał bez ruchu, głowa wciąż go bolała, a przez pulsowanie krwi w uszach coś wychwytywał; dźwięk zdecydowanie inny niż wszystkie pochrapywania, mamrotania, szelesty i pierdnięcia, które rozlegały się w sali.



Coś jak... krzyk?

Na chwilę wstrzymał oddech, przypłacając to kolejną falą bólu pod czaszką.

Tak, zdecydowanie krzyk, stłumiony przez grube mury. Wrzeszczał ktoś na wyższych piętrach. W miejscu, gdzie podczas imprezy znikwały pary, podpowiedział Clemowi umysł, nagle jak na złość całkiem sprawnie działający.

Chłopak rozejrzał się, ale nawet jeśli ktoś z jego drużyny tu był, to i tak nie zdołałby go znaleźć, bo w mroku widział tylko ludzkie kłody pozbawione płci i wieku.

79

Mógł jednak znaleźć karabin, pamiętał przecież, gdzie go położył na początku imprezy.

Ruszył w tamtą stronę i przystanął po kilku krokach. Kusiło go, żeby zignorować krzyki – w końcu dziś już zameldował o tych nieszczęsnych śladach krwi i tym samym wyczerpał swój limit postępowania zgodnie z zasadami. Problem w tym, że stojąc samotnie pośrodku sali, czuł się odsłonięty, zwłaszcza że był tu chyba jedyną osobą, której sylwetkę na tle mroku dało się rozpoznać. I miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, czekając, co chłopak zrobi. To było głupie, bo kto miałby go obserwować i po co? A jednak Clem nie potrafił tak po prostu odwrócić się i pójść spać.

Odetchnął głęboko, podejmując decyzję, znalazł karabin i wszedł na schody.

Jeszcze przed chwilą męczyło go przeczucie, że tam, na piętrze, dzieje się coś strasznego, lecz zniknęło bez śladu, zastąpione przez mocniejsze z każdym krokiem przekonanie iż Clem natknie się po prostu na uprawiającą seks parę. Już teraz czuł się

jak kompletny idiota, a jednak szedł dalej, zdecydowany dla spokoju sumienia

przynajmniej rzucić okiem.

Krzyki umilkły, w głębokiej ciszy wyraźnie słyhać było oddech Clema.

Odrobina światła, jaką dawały dogasające węgle, nie sięgała na schody i przez chwilę

chłopak szedł w kompletnej ciemności. Piąty stopień, szósty, siódmy... Zanim zdążył

pożałować, że nie wziął ze sobą latarki (gdzie ona była, swoją drogą?), dostrzegł

zarys stopnia numer dziewięć i jednocześnie poczuł wilgotny zapach lasu. Blask

sączył się zza uchylonych drzwi; Clem pchnął je i ujrzał pomieszczenie pełne roślin, z

których większości nie potrafił nawet nazwać. Drzewa o postrzępionych koronach,

rozłożyste krzewy i krągłe kształty owoców zwisających pośród listowia, a wszystko

to oblane złocistą poświatą. Na niebie wisiał nakrapiany brązem księżyc, doskonale

widoczny przez okna, które ułożone jedno tuż obok drugiego, zajmowały całą

wschodnią ścianę i sporą część sufitu. Tyle szkła w jednym miejscu wzbudziło w

Clemie niepokój. Na parterze, gdzie okien wcale nie było, wszyscy bawili się

swobodnie, lecz gdy pary wymykały się na piętro, zawsze towarzyszyło im uzbrojone

dziecko. To musiało coś znaczyć, i chłopak w gruncie rzeczy wiedział, co, ale wołał o

tym nie myśleć.

Z trudem oderwał wzrok od szklanych tafli, na które od zewnątrz napierała

ciemność, i rozejrzał się. Pod jednym z drzew dostrzegł coś, co w pierwszej chwili

wziął za posąg nagiej, śpiącej kobiety. W umyśle Clema rzeźby i bujne ogrody

pasowały do siebie tak jak piramidy i pustynia, oczywiste więc było, że to posąg,

jednak gdy podszedł bliżej, przekonał się, że kobieta jest jak najbardziej żywa. Co więcej, obok, skryty w wysokiej trawie, leżał mężczyzna, również nagi i pogrążony w głębokim śnie. A jeszcze dalej siedziała dziewczynka, oparta o pień drzewa i z karabinem na kolanach. Gdy Clem spojrział na nią, poruszyła się, odwracając w stronę chłopaka marmurowobiałą twarz o nieruchomych rysach i oczach ślepo wpatrzonych w ciemność. Dobrą chwilę zajęło Clemowi zrozumienie, że dziewczynka po prostu śpi z otwartymi oczami, a jej twarz wysmarowana została znaną mu już dobrze pastą. Wycofał się cicho z uczuciem, że jest w tym miejscu intruzem.

Jeszcze jedno piętro, pomyślał, już spokojny i niemal wesoły, bo krzyki niewątpliwie były złudzeniem. Sprawdzę jeszcze tam, a potem idę spać.

Na drugim piętrze wszystko wyglądało niemal identycznie: uchylone drzwi, zza których sączył się księżycowy blask, a także zapach lasu, tyle tylko że tutaj woń była cięższa, z nutą duszno-słodkiej egzotyki i czegoś, co przywodziło na myśl gnijące kwiaty.

Clem wszedł do środka.

Zobaczył drzewa, których nazw nie znał, i okna, całe mnóstwo okien ułożonych jedno obok drugiego, tak że zajmowały całą zachodnią ścianę, a także sporą część sufitu. Clem wzdrygnął się pod wpływem uczucia *déjà vu*, zdążył też zauważyć, że jednak nie wszystko jest tu identyczne, bo księżyc z tej strony nie było widać, a gwiazdy nie dawały tak mocnego blasku. Zdążył pomyśleć, że teraz rozumie, skąd ludzie mieszkający na środku pustyni mają w menu taką różnorodność owoców, i przy okazji zdziwił się, że system wewnętrznych ogrodów przetrwał w dobrym stanie, a miejscowi wciąż umieli go obsługiwać.

A to wszystko jeszcze zanim usłyszał jęk i zobaczył nagą dziewczynę Sala

klęczącą pod drzewem. Podbiegł do niej, bo nagle bieg zdarzeń przyspieszył i nie było już czasu, by przyglądać się i rozmyślać.

– Co się stało? – Chwycił ją za ramię i szarpnął, próbując podnieść ciało, które bezwładnie leciało w dół. – Jesteś ranna?

Po chwili uprzytomnił sobie, że nawet jeśli dziewczyna domyśliła się, o co mu chodzi, to i tak nie jest w stanie odpowiedzieć w sposób, który byłby dla niego zrozumiały.

– Gdzie jest Sal? Gdzie Sal? – Zaakcentował imię, które powinna kojarzyć.

Nagie ciało dziewczyny przelewało mu się przez ręce, białka jej oczu połyskiwały w mroku jak dwie mleczne kulki. Od czasu do czasu jęczała cicho.

81

– Słyszysz mnie? – Potrząsnął nią; zastanawiał się nawet, czy nie powinien uderzyć jej w twarz, ale nie potrafił się na to zdobyć. Jeszcze nie. – Gdzie jest Sal?

Głowa opadła jej na plecy i Clem pomyślał w pierwszej chwili, że dziewczyna zemdląca. Szarpnął nią raz jeszcze i wtedy dopiero pojął, że ona wpatruje się w coś, co znajduje się bardzo wysoko.

Spojrzał w górę i zobaczył, że nad nimi nocne niebo ma nieco inny kolor – jakby bardziej czysty i intensywny. A to oznaczało, że jedno z okien zostało wybite.

– Sal – powiedziała dziewczyna.

Clem nie był pewien, czy się nie przesłyszał; być może był to tylko kolejny jęk.

– Sal – powtórzyła z uporem, wskazując otwór w szklanych sklepieniu.

– Nie rozumiem...

Puścił ją, próbując uporządkować to, czego się dowiedział. Okno było mniej więcej tych samych rozmiarów, jakie spotyka się w domach, a więc zbyt małe, aby przedostać się mogło przez nie coś naprawdę dużego. Drapieżne monstrum rozmiaru człowieka? Czemu nie, pod warunkiem że miałyby skrzydła, ale przecież nie smok, nie potwór, który zdołałby unieść ciało dorosłego mężczyzny!

A więc, do licha, gdzie podziewał się Sal?

W tym momencie Clem wyczuł, że do pomieszczenia do coś wtargnęło. Nie było żadnego dźwięku, tylko lekki powiew powietrza, jak wtedy, gdy ktoś szybko przechodzi obok, a jednak Clem miał pewność – nie byli tutaj sami.

Dziewczyna niespodziewanie odzyskała władzę w mięśniach, poderwała się z klęczek i szarpnęła w tył. A potem wrzasnęła, otwierając usta szeroko, bardzo szeroko i jeszcze szerzej, jak postać na komiksowych rysunkach. Z rozerwanych policzków pociekła czarna w mroku krew, stopy uniosły się kilka centymetrów nad ziemią. Clem chwycił ją, bełkocząc coś bez sensu, ale to było tak, jakby próbował utrzymać w rękach nabitą na haczyk rybę, podczas gdy z drugiej strony ktoś ciągnie za żyłkę.

Dziewczyna była naga, skórę miała śliską od potu i krwi, która lała się strumieniem z czegoś, co niegdyś było jej twarzą, a co teraz, cóż, teraz powoli było zdzierane. Słowo to pojawiło się w umyśle Clema jak podświetlony neon i na chwilę wypchnęło wszystkie inne myśli. ZDZIERANE. Mógłby policzyć jej zęby, gdyby było odrobinę jaśniej, mógłby uczyć się anatomii na odsłoniętych mięśniach. Wreszcie ją puścił, a ona poszybowała w górę z rozpostartymi ramionami – anioł siejący wokół ciepłymi kroplami krwi. W górę, przez otwór w dachu i dalej w stronę nieba.

Pewnego dnia Sable chciała się popisać, zaproponowała więc innym dzieciom, żeby poszli do starej fabryki, gdzie smoki chroniły się na czas największych upałów i gdzie najczęściej zaciągały swoje ofiary. Po co czekać, aż potwory kogoś zaatakują, skoro możemy zabić ich więcej w jednym miejscu? – argumentowała. Niektóre dzieci wyglądały na bardziej przekonane, inne na mniej, ale żadne się jej nie sprzeciwiło. Wtedy jednak Taj dowiedział się o ich planie, wściekł się i zabronił podobnych eskapad, ale jednocześnie – Sable potrafiła to dostrzec – był z niej dumny. W twoim wieku też o tym myślałem, powiedział, dopiero potem dorośli wytłumaczyli mi, dlaczego nie możemy tego zrobić. Bo widzisz, mówił, dopóki dzieci zabijają smoki w obronie własnej albo dorosłych, potwory atakują pojedynczo, dla sportu, lecz jeśli wypowiemy im otwartą wojnę, poczują się zagrożone i zaatakują masowo, a wtedy przegramy. Kiedyś już tego próbowano i tak właśnie się stało. To były najczarniejsze dni w historii Harfy, zginęło wówczas mnóstwo dzieci i długo trwało, zanim wyszkoliliśmy następne.

Tłumaczył też, że tak wcale nie jest źle, bo obecność smoków w Harfie to wola boska i nie można ich wytępić, ponieważ są potrzebne, aby dzieci od najwcześniejszego wieku ćwiczyły siłę i zręczność. Gdyby ich zabrakło, mówił, kolejne pokolenia mieszkańców Harfy rosłyby coraz słabsze i słabsze, aż wreszcie miasto zdobyliby ludzie z pogranicza

Sable protestowała trochę, ale bardziej po to, żeby pokazać, jak bardzo jest dzielna, a nie dlatego, że naprawdę miała ochotę tam iść.

\*\*\*

– Na pewno nie widziałeś żadnego potwora? – spytał Bidou, chyba już trzeci raz w ciągu ostatnich pięciu minut.

– Na pewno. – Clem pochylił się nad wiadrem i zanurzył ręce w wodzie, która powoli zmieniała kolor na czerwony. Opłukał mokre już włosy a potem nagi tors. I jeszcze raz, dla pewności. Szorował się od kwadransa, ale wciąż miał wrażenie, że oblepia go krew dziewczyny.

– Czy ktoś z was widział dzisiaj Jee Merino? Królik?

83

– Ostatni raz widziałem go na początku popijawy, potem już nie. – W wersji Królika „potem” brzmiało jak „potym” a „nie” jak „ni”, poza tym Indianin mówił, niemal nie otwierając ust, co sprawiało wrażenie, jakby głos wydobywał się z głębi mahoniowego posągu.

Clem i Bernie potwierdzili. Sierżant podszedł do plecaka Merino i kopnął go z wściekłością. Na marmurową posadzkę wysypały się rzeczy: mydelniczka i maszynka do golenia, zwinięte w kulkę brudne skarpety, maść na bolące stawy i plik kartek spiętych gumką.

– Jak dorwę tego sukinsyna, to będzie żałował, że jego chuda dupa pojawiła

się na świecie. Ile razy prosiłem, prawie błagałem, żeby powiedział mi, co wie o tym mieście, jakie potwory tu siedzą i jak sobie z nimi radzić. A on zawsze to samo... –

Bidou splunął, trafiając śliną prosto w mydelniczkę.

– Że wynajął nas, żebyśmy przeprowadzili go przez pustynię, a w mieście i tak mu się na nic nie przydamy? – upewnił się Clem.

– Taa... właśnie tak. Kto się założy, że drań doskonale wie, co zabrało Sala?

– Niewidzialny smok... – mruknął Clem tak cicho, że nikt go nie usłyszał.

Niewidzialny. Nikt jak dotąd nie wypowiedział tego słowa na głos, ale chłopak wiedział, że wszystkim przyszło ono do głowy. Alternatywą oczywiście było to, że Clem kłamał lub miał pijackie zwidy, a on wiedział też, że taką możliwość koledzy również brali pod uwagę.

– Skoro wynajął nas, żebyśmy przeprowadzili go przez pustynię, to wróci, przecież musi się jakoś z Harfy wydostać, nie? – Bernie rozejrzał się, szukając potwierdzenia. – Poza tym zostawił plecak i to.

Ruchem głowy wskazał skrzynię z karabinami, która niemal zapomniana leżała pod ścianą. Duży Królik podszedł do niej, trącił lekko czubkiem buta, a potem otworzył i przez chwilę w zamyśleniu patrzył na zawartość. Zamknął wieko dopiero na wyraźne polecenie Bidou.

Clema natomiast intrygował ów plik kartek spiętych gumką, wytarł więc włosy w ręcznik, założył bluzę i podszedł do rozrzuconych rzeczy.

– Patrzcie. – Kucnął, wiedząc przy tym, że wkracza na niebezpieczny teren, bo ani Królik, ani sierżant nie potrafili czytać. Indianina nic to nie obchodziło, ale sierżant potrafił niezłe się wkurzyć, gdy ktoś mu o owym braku przypomniał.

– Co to? – warknął Bidou.



– Słownik, tak jakby. – Chłopak przewracał kartki. – Pisany na starej

84

maszynie, czcionka jest nierówna i wyblakła, ale da się przeczytać. I są dopiski ołówkiem, strasznie rozmazane.

– Dobra, ale co nam to właściwie daje? Możemy się przy pomocy tego dogadać z miejscowymi?

– Tu jest dużo o handlu, jakieś zniżki, procenty, transakcje wiązane... Ale są też najczęściej używane słowa i zwroty. Tak, myślę, że w jakimś podstawowym zakresie możemy się teraz z tubylcami dogadać.

– Jak sobie radzisz ze słowami? – Bidou spojrzał na Berniego.

Clem uniósł znad papierów głowę, sam ciekaw odpowiedzi. Kiedyś, na samym początku, bardzo Berniego lubił, i to właściwie za nic – tylko dlatego, że Bernie był czysty, schludnie ubrany i nie kłął, a więc wydawał się Clemowi kimś podobnym do niego. Wtedy odruchowo zakładał, że mężczyzna jest wykształcony, lecz potem nabrał wątpliwości. Sympatia też zresztą z czasem się zmniejszyła.

– Jeśli nie są zbyt długie, to sobie radzę. – Zapytany wzruszył ramionami.

– OK, w takim razie zrobimy tak. Clem i Bernie popytają miejscowych. Po pierwsze, gdzie podział się w dupę jebany Merino, a jeśli go znajdziecie, to przywlecźcie go do mnie choćby i siłą. Jeśli nie, przynajmniej spróbujcie się dowiedzieć, co za cholerstwo lata nad miastem, jak duże to jest, jak można je zabić i gdzie znaleźć. Ja i Królik pójdziemy jeszcze raz do tego ich niby-ogrodu i zobaczymy, co tam znajdziemy w dziennym świetle.

\*\*\*

Duży Królik potarł palcem o liść bananowca i z uwagą obejrzał skórę.

– Krew – powiedział.

– Nad nami jest tego więcej. – Sierżant Bidou uniósł głowę.

Istotnie, sufit zachlapany był krwią. Kałuża w pobliżu strzaskanej szyby, rozbryzgi ciągnące się na przestrzeni kilkunastu metrów i wreszcie wąskie, brązowawe strużki spływające po przeszklonej ścianie.

– Poleciał na zachód – powiedział Duży Królik, a Bidou przytaknął.

– Ano, na to wygląda. Ale to nam niewiele daje – żeby dorwać tego drania, musimy wiedzieć dokładnie, gdzie on jest. Rozejrzyj się, może znajdziemy jakieś ślady.

Indianin rozgarnął krzaki.

85

– Znalazłem gacie Sala – oznajmił, pochylając się. – I kolczyk, chyba tej dziewczyny, nie? Złoty.

– Pokaż.

Kółko tak duże, że śmiało mogłoby być bransoletką, połyskiwało wesoło w słońcu. Bidou zdjął krwawy strzęp skóry, który został na zapięciu, po czym kolczyk

zniknął w jego kieszeni, jakby nigdy go nie było.

– Nic więcej?

– Nic. Panie sierżancie? Ten potwór czy tam smok, jak gada Clem, jest niewidzialny?

– Wątpię. – Sierżant skrzywił się. – Jeśli już, to niewidzialny w tym sensie, że świetnie się maskuje, jak kameleon albo coś w tym rodzaju.

– W nocy musiał być blisko Clema, nie? Bardzo blisko. Kameleona z bliska się widzi.

– Owszem, ale tu było ciemno jak w dupie u Murzyna. Zresztą jak chcesz wierzyć w niewidzialne potwory, twoja sprawa. Ja wierzę, że wszystko da się zabić przy pomocy tego. – Poklepał karabin. – Jedno, co mnie dziwi, to że ten smok w sumie musiał być niewielki, żeby się dostać przez okno. To jak zdołał porwać dwoje ludzi, he?

– Może wcale nie wszedł do środka.

– Tylko co? Zarzucił wędkę?

– Tylko wsunął łapę. – Indianin uśmiechnął się, demonstrując białe zęby.

\*\*\*

– To bez sensu. – Clem przeczesał palcami mokre od potu włosy. Wiedział, że to pot, ale cały czas wydawało mu się, że krew. – Wracajmy, bo i tak niczego się nie dowiemy.

– Poczekaj chwilę.

Bernie usiadł na schodach jednego z domów. Wybrał najwyższy stopień, bo tylko tam sięgał cień. Niedawno minęło południe i niemal cała ulica prażyła się w pustynnym słońcu.

Bernie wyciągnął manierkę, napił się, po czym podał ją Clemowi, który usiadł obok. Chłopak zwilżył gardło resztką wody, zwalczając przy tym pokusę, by wylać sobie tę wodę na głowę. Był zmęczony, niewyspany, a przede wszystkim miał

86

wrażenie, że utkwił w połowie drogi między sennym koszmarem a rzeczywistością, jakby ów krótki moment, gdy oszołomiony człowiek siada na łóżku z miękkimi kolanami i uczuciem ciężenia w żołądku, w przypadku Clema rozciągnął się na minuty, a potem godziny. Tylko że on tak naprawdę wcale nie spał – wszystko, co zdarzyło się nocą w wewnętrznym ogrodzie, było prawdą, prawdą, prawdą. Wciąż to sobie powtarzał, wciąż coś robił: chodził, rozmawiał i wykonywał rozkazy, a mimo to sen, którego nigdy nie było, oblepił go, jakby chłopak był muchą uwięzioną w plastrze miodu.

Niewidzialny smok, pomyślał, mając nadzieję, że te dwa proste słowa przywrócą go do rzeczywistości, lecz one sprawiły, że wszystko zaczęło wyglądać jeszcze bardziej nierealnie.

Dlaczego, u diabła, jego pierwszym potworem nie mogła być jakaś normalna bestia, na przykład ta, o której opowiadał Sal, z zatrutymi sutkami, ale przynajmniej widoczna?

Uśmiechnął się i poczuł się odrobinę lepiej.

– To miasto musiał projektować wariat – powiedział Bernie, który najwyraźniej przez ostatnie minuty myślał o czymś zupełnie innym. – Ulice proste i równe jak od linijki, ściany domów w tym samym pieprzonym szarym kolorze, jak futro mokrej myszy, no i kształty budynków, jasna panienko z dredami, czy to budował stuknięty wielbiciel geometrii? Te piramidy, te, jak im tam...

– Graniastosłupy – podpowiedział Clem. – I sześciany, walce, stożki i kule.

– No właśnie, aż się rzygać chce. Ja lubię różnorodność.

Clem wzruszył ramionami.

– Dzięki temu przynajmniej łatwo zapamiętać drogę powrotną. No właśnie, Bernie.... eee... myślę, że naprawdę powinniśmy już wracać. To nie ma sensu. Od kilku godzin krążyli po mieście, wypytując napotkanych ludzi, ale niczego przydatnego się nie dowiedzieli. Tubylcy reagowali zdziwieniem, a potem potrząsali głowami, co równie dobrze mogło znaczyć „nie rozumiem”, jak i „nie wiem” albo wręcz „nie mam ochoty z tobą rozmawiać”. Albo inaczej: Clem lub Bernie z niewątpliwie koszmarnym akcentem zadawali swoje niewątpliwie bardzo niegramatyczne pytanie, tubylcy zaś uznawali, że przybysze świetnie posługują się miejscowym językiem i w związku z tym zasypywali ich gradem własnych, kompletnie niezrozumiałych pytań. Nic nie pomagały wówczas rozpaczliwe prośby „mówić wolno, bardzo wolno”, jedynym wyjściem był natychmiastowy odwrót. W

wychodziło na to samo.

– Wracajmy – powtórzył Clem.

– A co ci się tak śpieszy? Salowi i tak już jest wszystko jedno.

– Myślisz, że on nie żyje?

– A ty myślisz, że żyje?

Clem zawahał się, niepewny, czy powiedzieć to, co przyszło mu jakiś czas temu do głowy. Wreszcie się zdecydował.

– Dziewczyna siedziała dokładnie pod wybitym oknem, ale nie była zakrwawiona, kiedy ją znalazłem. Czyli kiedy smok porwał Sala, jego krew na nią nie poleciała.

– A to znaczy, że on wtedy jeszcze żył, tak? Brawo, teraz jeszcze popisz się tą dedukcją przed Bidou.

Clem zaczerwienił się, bo Bernie trafił w czuły punkt. Byłoby lepiej – dla nich wszystkich lepiej – gdyby Sal już nie żył, bo jeśli żył, to Bidou pewnie zechce go szukać, a wtedy mogą trafić na to coś strasznego, co było tej nocy w wewnętrznym ogrodzie. I nawet jeśli smoka znajdą, nawet jeśli jakimś cudem go zabiją, to co im to da? Być może Sal nie zginął od razu, ale mało prawdopodobne, by bestia trzymała go żywego przez tyle godzin.

Nie, Clem, choć lubił Sala mimo wszystkich jego złośliwych żartów, wolał wierzyć w śmierć kolegi.

Na ulicy pojawiło się dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, chyba ta sama, która pilnowała Clema w nocy. Szły osobno – ona na przedzie z urażoną miną, za nią najwyraźniej zakłopotany on.

Coś powiedział i dziewczynka odwróciła się z wściekłością. Wrzasnęła,

chłopiec odpowiedział buńczucznie, lecz zaraz zamilkł, gdy towarzyszka wycelowała karabin w jego głowę.

– Co u licha... – Clem poderwał się, ale Bernie chwycił go za łokieć i osadził w miejscu.

– Zostaw, to nie nasza sprawa.

Chłopiec ukląkł i dopiero teraz Clem zauważył, że dzieciak nie ma broni.

Dziewczynka miała, ale chłopak nie. On milczał ponuro, ona wrzeszczała, domagając się czegoś.

Zaraz odstrzeli mu głowę, pomyślał Clem, czując, jak coraz głębiej grzęźnie w

88

koszmarze.

Wreszcie chłopiec pochylił się i powiedział coś cicho, a dziewczynka opuściła karabin. Wygrała, jasno o tym świadczył pełen satysfakcji uśmiech na twarzy. Zaraz potem odesłała chłopca ruchem podbródka, tak jak zniecierpliwiona arystokratka mogłaby oddalić nieudolnego sługę. Dzieciak podreptał, nie oglądając się za siebie. Clemowi przez chwilę było go żal, ale już myślał o czymś innym.

– Chodź – powiedział, gdy dziewczynka została sama. – Teraz mamy szansę.

– Na co?

– Żeby z nią porozmawiać.

– Zwariowałeś? To dziecko.

– Co z tego? Próbowaliśmy rozmawiać z dorosłymi i gównu nam to dało.

Chodź.

\*\*\*

Chłopiec imieniem Rakeem, którego Sable kiedyś zabiła, został potem jej przyjacielem. Nigdy nie był zbyt odważny i zabił tylko kilka smoków, ale za to potrafił wszystkich rozbawić i opowiadał najciekawsze historie. Gdy się kłócili, co się zdarzało od czasu do czasu, Sable się złościła, a Rakeem odpowiadał celnymi żartami, co dziewczynkę jeszcze bardziej wyprowadzało z równowagi.

W dzień, który nastąpił po nocy, gdy zginął jeden z obcych, Sable i Rakeem kłócili się na ulicy, gdy nagle dwadzieścia metrów od nich przeleciał smok. Rakeem w ogóle nie zwrócił na niego uwagi i Sable zrozumiała, że chłopak smoka nie widzi.

Kazała mu wtedy oddać broń, a potem odwróciła się i odeszła, Rakeem zaś poszedł za nią, próbując tłumaczyć coś, czego wcale nie chciała słuchać. Od tego tłumaczenia wściekła się jeszcze bardziej i kazała Rakeemowi uklęknąć i przeprosić ją, ponieważ mogła to zrobić, bo on teraz był dorosły, a ona wciąż pozostała dzieckiem.

Nie podobało mu się to, widziała wyraźnie, jednak takie były zasady i Rakeem im się poddał.

Kiedy odszedł, Sable starała się nie rozplakać. Myślała o tym, że jej to nigdy nie spotka, ona na zawsze pozostanie dzieckiem i będzie bronić wszystkich mieszkańców Harfy przed smokami, a oni będą wypowiadać jej imię z wdzięcznością



i czią. Na chwilę zaląła ją ciepła duma z tego, kim jest i jak ważne jest to, co robi. Gdy podszedł do niej obcy i spytał, gdzie można znaleźć smoki, Sable pokazała mu kierunek, a nawet narysowała odpowiedni budynek, nie zastanawiając się wcale, po co przybyszowi ta informacja. Pomyślała o tym dopiero później i wtedy uświadomiła sobie, że obcy pewnie pójdą do fabryki, żeby szukać zaginionego kolegi, i spotkają tam własną śmierć.

Sable wciąż bała się opuszczonej fabryki, ale wiedziała, że musi naprawić błąd. Sprzeciwiając się woli Choredona, już raz zawiodła mieszkańców Harfy i nie chciała zrobić tego po raz drugi.

Bo Sable zawsze poważnie traktowała swoje obowiązki.

Od tego momentu sprawy zaczęły wyglądać coraz gorzej i przez pewien czas było naprawdę bardzo źle.

A potem znów było dobrze.

## **Część 2**

Ujrawszy fabryczną halę, Clem pomyślał, że chyba będzie musiał zrewidować swoje pojęcie „wielki”. Sala, w której rozłożyli obóz, wydawała mu się wielka, a sala, w której imprezowali, wręcz ogromna, lecz to, co zobaczył teraz, było pieprzonym kolosem, gigantem wystarczająco dużym, by kilkanaście drużyn rugby mogło równocześnie rozgrywać kilkanaście meczów. Zalegała tu warstwa kurzu tak

gruba, że buty tonęły w niej do połowy, kurz unosił się w powietrzu, kurz pokrywał resztki szyb w bardzo wysokich i bardzo wąskich oknach. Nawet wpadające do hali słoneczne światło miało złocistoszary kolor. Środkiem biegły trzy szerokie pasy taśmy montażowej, dzielące halę na cztery mniej więcej równe części. Wzdłuż pasów stały maszyny, z daleka wyglądające jak parowe lokomotywy, a z sufitu zwisały haki tak wielkie, że śmiało można by na nich zawiesić samochód, i to z pasażerami w środku.

– Królik pójdzie prawą stroną od ściany, Bernie prawą od środka, ja lewą, a Clem lewą przy ścianie. W ten sposób znajdziemy tego sukinsyna – rozkazał Bidou. Bernie odwrócił się do Królika, porozumiał z nim wzrokiem i mruknął coś cicho.

Bidou poczerwieniał.

– Masz coś do powiedzenia? Jeśli tak, powiedz to głośno i patrz mi przy tym

90

w oczy!

Bernie spojrział na sierżanta. Z jego zaciśniętych ust i napiętych mięśni nietrudno było odczytać bierny opór.

– Mam wątpliwości co sensowności naszej akcji, panie sierżancie. Od ataku minęło prawie dwanaście godzin i Sal z pewnością już nie żyje.

– Z pewnością nie żyje, tak? Ciekawe, jak byś się czuł, gdybyś to ty leżał tutaj i się wykrwawiał, a ja bym powiedział, że z pewnością już nie żyjesz, i poszedłbym grzać sobie dupę w śpiworze, co?

Clem pomyślał, że grzanie dupy w upale to idiotyczny pomysł. Zaraz potem

wbił wzrok we własne buty i skulił ramiona. Pragnął być niewidzialny, bo nagle wydało mu się, że Bidou zwróci gniew przeciw niemu. Czego on tak się wścieka? – myślał mętnie chłopak, drugą częścią umysłu zajęty innym, znacznie ważniejszym pytaniem (gdzie smok, czy już zwęszył nasz zapach...). Może – tak jak wielu niskich facetów – cholerycznym temperamentem rekompensuje sobie brak wzrostu? Ale nie, Bidou, choć faktycznie drobny i niewysoki, nie zasługiwał przecież na nazwę kurdupła. Najwyraźniej więc taki już był i tyle.

– Masz coś jeszcze powiedzenia?

– Nie. – Bernie wiedział, że przegrał, ale wzrok spuścił dopiero po chwili.

– Świetnie – sapnął Bidou. – Ruszamy!

Odchodząc, Bernie rzucił Clemowi długie uważne spojrzenie. „Jeszcze ze sobą pogadamy” mówiły jego oczy.

„Nic mu nie mówiłem”, Clem ułożył wargi w krótkie zdanie, lecz Bernie nie dał żadnego znaku, że rozumie. A na tłumaczenie było za późno, bo rozdzielili się i weszli w głąb fabryki.

\*\*\*

Clem szybko się nauczył, że należy ostrożnie stawiać kroki, bo kiedy szedł powoli, podnoszące się tumany sięgały mu najwyżej do ud, lecz gdy tylko wykonał gwałtowny ruch, natychmiast otaczała go szara chmura, kurz wciskał się do nozdrzy, a oczy łzawiły tak, że chłopak tracił widoczność.

A więc ostrożnie, bardzo ostrożnie.

Wypatrywał w kurzu śladów, lecz znalazł jedynie tropy drobnych zwierząt, być może pustynnych lisów lub skoczków. Natknął się też na wyschniętą skórę węża,

91

którą podniósł czubkiem buta i odrzucił ze wstrętem. Taśma montażowa poplamiona była ptasimi odchodami, ale żadnych ptaków tu nie widział. Przeniosły się gdzie indziej? A może zjadło je coś, co tu mieszkało?

Zepchnął to pytanie w głąb umysłu i skupił się na poszukiwaniach. Dam sobie radę, powtarzał jak mantrę, dam sobie radę. Nigdy nie uważał się za tchórza (inna rzecz, że nie był też jakoś przesadnie odważny), lecz teraz był cholernie, kurewsko przerażony. Oddychał płytko, pot zalewał mu oczy, musiał więc co chwila przecierać czoło. Sama myśl, że to... coś, ten smok mógł zbliżyć się niedostrzeżony, być może już nad Clemem wisiał, już rozwierał paszczę, olbrzymie szczęki obejmują jego głowę, a on nawet ich nie widzi, potem zaciskają się, czaszka pęka, tryska krew...

Nie myśleć o tym, nie myśleć. To bzdura, oczywiście, nawet gdyby niczego nie zobaczył, to musiałby coś usłyszeć albo poczuć – tam, w wewnętrznym ogrodzie, przecież poczuł. Poza tym sierżant z pewnością ma rację: smok nie jest niewidzialny, tylko świetnie się maskuje, trzeba więc wypatrywać tego, co może świadczyć o obecności kameleona. A więc niewielkie zmiany w kolorze otoczenia, coś, co w pierwszej chwili może wyglądać jak drgnienie powietrza, czy wreszcie nietypowo rozłożone cienie. Skupić się, rozglądać się, szukać. To jest w porządku, to oddala panikę.

Odbity echem huk ogłuszył Clema, który przez chwilę miał wrażenie, że właśnie dostał zawału. Wreszcie udało mu się odetchnąć, a serce ruszyło.

– Co jest? – wrzasnął Bidou.

– Fałszywy alarm – odkrzyknął Bernie. – Lezie za nami dzieciak, szlag, przed chwilą mało go nie zastrzeliłem. Przepraszam, myślałem, że to...

– Jaki, kurwa, dzieciak?

– Dziewczynka, chyba ta sama, która powiedziała nam, gdzie znaleźć smoka.

Teraz gdzieś się schowała. Mam jej poszukać i przegonić?

– Zostaw ją i zajmij się swoją robotą.

Ten incydent w pewien sposób rozładował napięcie. Clem odetchnął i nie kulił się już bezustannie w oczekiwaniu, że za chwilę szczęki potwora zacisną się na jego czaszce. Przeszedł obok kolejnej maszyny, tak szczelnie oplątanej warstwą pajęczyn, że przypominała gigantyczny kokon.

Ciekawe, jak ta maszyna naprawdę wygląda?

Zawahał się i rozejrzał, ale wokół nie było nic, co można by uznać za podejrzanę.

92

W porządku.

Końce palców wbił w sztywną od kurzu warstwę pajęczyn. Niechętnie ustępowała pod jego naciskiem; wrażenie było trochę takie, jakby próbował rozerwać gruby kozuch na mleku. Wreszcie puściła, a palce Clema trafiły na pustkę. Krzywiąc się z obrzydzeniem, odgarnął postrzępione resztki i zajrzał do środka.

Wewnątrz nie było mechanizmu. Z maszyny pozostała sama obudowa, skorupa równie bezwartościowa jak skóra węża, którą niedawno widział. Tubylcy zabrali silnik? Ale po co?

Może po to, by niektórych części użyć przy naprawianiu systemu wewnętrznych ogrodów, odpowiedział sam sobie Clem.

Wytrzeł dłoń w spodnie i obejrzał się z nagłym przypiływem lęku, bo na krótką chwilę niemal zapomniał, gdzie jest i co mu grozi. Na szczęście od czasu, gdy rozglądał się ostatni raz, nic wokół się nie zmieniło. Żadnych śladów smoka-kameleona, znakomicie. Podniesiony na duchu Clem zaczynał wierzyć, że cała akcja skończy się tym, iż wrócą do obozu potwornie brudni, przy czym owo „potwornie” będzie jedynym ich dzisiejszym kontaktem z potworami.

Nagły przypiływ optymizmu wywołał w nim lekkie poczucie winy, zaczął więc modlić się w duchu. Pani Cienistej Doliny, daj Salowi lekką śmierć a jego duszy spokój. Ojcze nas wszystkich, nie pozwól, proszę, żeby pierwszym potworem, z którym będę walczył, był niewidzialny smok. Każdy, tylko nie ten, błagam. Niech to będzie najbardziej niebezpieczne monstrum świata, zniosę wszystko i nie spanikuję, jeśli tylko będę mógł je zobaczyć. I obiecuję że jeśli spełnicie moją prośbę, to już nigdy was o nic nie będę prosić i zapalę wam świecę w kościele. Zapalę mnóstwo świec, wszystkie pieniądze, które dostanę za tę wyprawę, przeznaczę na świece.

Połowę pieniędzy, poprawił się w myślach. Albo ćwierć, tak, ćwierć wystarczy, nie można przecież od niego wymagać, żeby pozbywał się środków do życia. Ani Ojciec, ani Pani Cienistej Doliny z pewnością by tego nie chcieli.

Modląc się, dotarł wreszcie do końca fabrycznej hali. W rogu stała metalowa drabinka prowadząca na pomost, który obiegał halę wokół. Clem zawahał się,

niepewny, czy powinien wejść na górę. Dotknął jednego szczebla – był zakurzony, czego chłopak się spodziewał, ale też jakby lepki, a gdy potarł końce palców, brud rozmazał się jego na skórze w wilgotne, czarno-czerwone smugi.

Krew.

Clema ogarnęło gorąco, od którego miękną kolana; chciał coś powiedzieć, ale

93

nie mógł.

Z boku dobiegł łomot, jakby ktoś zepchnął worek ziemniaków z żelaznych schodów. Potem krótki krzyk, a jeszcze później soczyste przekleństwo.

– Tu jest krew! – wrzasnął Clem, nagle odzyskawszy głos. – Znalazłem krew!

– A ja, kurwa, znalazłem trupa!

\*\*\*

W miejscu, do którego dotarł Bernie, znajdowała się kolejna drabina, identyczna jak ta, na którą trafił Clem. Chłopak nie zamierzał sprawdzać, czy owa identyczność obejmuje również zakrwawione szczeble, zresztą chwilowo zajęty był odwracaniem wzroku.

– Mało brakowało, a spadłaby mi na głowę. – Bernie był nieco blady, ale

sprawiał wrażenie opanowanego. Clem mu zazdrościł – on sam w ciągu ostatnich

pięciu nawet nie spojrział w górę na martwą dziewczynę. Spora część jej torsu znajdowała się poza pomostem, ramiona zwisały, wciąż jeszcze kołysząc się lekko. Kołysało się także to, co niegdyś było jej twarzą, oraz kępka włosów ocalałych na jedynym fragmencie skóry, który nie został zdarty z czaszki. Kosmyk zlepiony był zakrzepłą krwią.

Clem odruchowo zrobił krok w tył.

– Zleciała gdzieś z góry, spod sufitu, rąbnęła po drodze o coś chyba ze dwa razy i zatrzymała się dopiero tutaj – oznajmił Bernie.

– Królik, włącz na pomost i rozejrzyj się. – rozkazał Bidou.

Indianin wszedł na drabinę. Jeśli się bał lub miał jakiegokolwiek wątpliwości, to nie sposób było tego poznać. Pod ciężarem umięśnionego ciała szczeble dygotały, a wraz z nimi trząsał się pomost oraz zwłoki dziewczyny, które lada moment mogły utracić kruchą równowagę i runąć w dół.

Clem cofnął się jeszcze pół kroku, dokładnie tyle, na ile mógł sobie pozwolić bez ryzykowania, że Bidou znowu się wścieknie. Nadal nie patrzył na dziewczynę, ale czuł jej zapach, tę charakterystyczną, słodkawą woń mięsa, które zaczyna rozkładać się w upale. Gdyby nie fakt, że od kurzu miał paskudnie opuchnięty nos, pewnie wyczułby ją znacznie wcześniej.

– Co tam, Królik? – W głosie Bidou brzmiała wyraźna nuta niepokoju. – Masz coś?

– Nic, panie sierżancie. Wszędzie czysto.



– Dobra, złaź. A ty, Clem, prowadź do tej drabiny, gdzie widziałeś krew.

\*\*\*

– I jak, Królik?

– To samo, panie sierżancie, znaczy nic, tylko cholernie duża kałuża krwi.

Musiała ściekać na drabinę.

– Żadnych ciał?

– Nie, tylko krew.

Clem spojrział na Berniego, a potem na sierżanta Bidou. Obaj mieli wyraz twarzy, którego odczytanie nie stanowiło dla chłopaka problemu, bo gdyby zerknął w lustro, zobaczyłby identyczną minę.

Wszyscy trzej sądzili, że krzepnąca krew należy do Sala i w związku z tym nie ma już co liczyć na to, że odnajdą go żywego. Clem poczuł wstydliwą ulgę, gdy Bidou wreszcie zaakceptował ten fakt.

– Złaź, Królik.

Indianin zeskoczył z ostatniego szczebla, gdy nagle pomost zadygotał. Ktoś po nim biegł, kierując się w ich stronę; kroki były lekkie, drobne.

Kroki dziecka.

Dziewczynka zeskoczyła z pomostu, jakimś cudem utrzymała równowagę, jeszcze większym cudem wylądowawszy miękko, i już trzymała karabin wycelowany w pierś Clema. Duży Królik, Bidou i Bernie nie byli tak szybcy, ale mieli więcej

czasu i w rezultacie oni też mieli gotową do strzału broń, dla odmiany wycelowaną w dziewczynkę. Klasyczny pat, pośród którego Clem nawet nie dotknął swojego karabinu. Bynajmniej nie dlatego, że sparaliżował go strach.

Sparaliżowało go zrozumienie, bo nagle wszystko to, co uważał za bezsensowne, sensu nabrało.

– Nie róbcie jej krzywdy... – wyszeptał zdrętwiałymi wargami. Niemal jednocześnie dziewczynka warknęła słowo, którego nie znał, ale i tak wiedział, co znaczy. Nim przebrzmiał dźwięk, Clem już leżał płasko na podłodze, a dziewczynka strzelała. Coś nad nim przeleciało, poczuł powiew powietrza i nagle gorąco w boku. A kątem oka zobaczył, jak stopy Berniego nagle wybrzuszą się i rosną, jakby patrzył na nie przez szkło powiększające. Potem usłyszał trzask łamanych kości.

95

– Nie waż się mdleć, słyszysz? Clem, to powierzchowna rana, kurwa, nic ci nie jest!

Nieprawda, bo było mu mdło i gorąco, a światło wokół wydawało się nienaturalnie jasne i jednocześnie jakieś takie... rozmazane.

– Co się stało? – zdołał powiedzieć, a jego głos brzmiał, jakby przybył tu z bardzo daleka i w dodatku miał wyjątkowo męczącą podróż.

– Sukinsyn przejechał ci pazurami po boku, masz trzy paskudne szramy, które mocno krwawią, ale nic ci nie będzie, uwierz, znam się na tym. – Dopiero teraz z rozmazanej jasności wyłoniła się twarz sierżanta Bidou. – Masz, przyciskaj to do boku. Trzymaj!

Clem posłusznie chwycił szmatę, w której rozpoznał własną rozdartą koszulę.

Gdy napiął mięśnie, próbując zatamować krwawienie, zrobiło mu się niedobrze.

Odetchnął, poluzował odrobinę ucisk i mdłości minęły.

– Nie jest niewidzialny... – wyszeptał.

– Z daleka jest. – To był chyba głos Berniego. – Z bliska faktycznie widać coś jakby wykrzywienie rzeczywistości...

– One widzą smoki przez cały czas, z bliska i z daleka. To dlatego noszą karabiny i broń dorosłych.

– Mówisz o dzieciach? – Tak, to na pewno był Bernie, Clem widział już jego twarz ponad ramieniem sierżanta. Obraz wyostrzał się z każdą chwilą.

– Aha. Co z dziewczynką?

– To coś ciebie ledwo zaczepiło, ale ją mocno poharatało. I chyba ma połamane jakieś kości.

– Przeżyje?

– Skąd, kurwa, mam wiedzieć? Ty jesteś synem lekarza, nie ja. Ja myślę, że powinniśmy się stąd wynieść, zanim to wróci i zeżre nas jak Clema. Nie mówiąc już o tym, że tu może być więcej takich miłutkich stworzonek.

Clem przymknął oczy. Smok nie wróci, pomyślał, dziewczynka zraniła go na tyle poważnie, że uciekł i zdechł w jakimś kącie. Musiało tak być, bo inaczej nie dałby nam spokoju. Te istoty nie rezygnują z ofiary, gdy już jakąś dopadną.

Tak podpowiadał mu instynkt, ale przeczucie to nie dowód, nie zamierzał więc niczego mówić.

Może tylko jedno:

– Zabierzmy ją, proszę. Uratowała mi życie i jesteśmy jej to winni.

\*\*\*

Czekali w chłodzie nadciągającego szybkim krokiem zmroku, w odległości kilkuset metrów od fabryki. Grupa dorosłych, w tym mężczyzna zwany Choredonem oraz kilkoro dzieci – oczywiście uzbrojonych, jakżeby inaczej. Bez słowa patrzyli na Dużego Królika, który podszedł do nich i położył na ziemi nieprzytomną dziewczynkę.

– Zaatakował ją smok – powiedział, niepomny, że tamci nie rozumieją jego języka. – Jest ranna, ale żyje.

Po chwili niezręcznego milczenia dodał:

– Była bardzo dzielna. Uratowała życie jednemu z naszych.

Jakby to miało cokolwiek wyjaśnić.

Przez mgiełkę własnego bólu Clem obserwował tubylców. Na twarzach dorosłych malowały się dezorientacja, strach i nieufność oraz, w przypadku jednej z kobiet, wyraźnie widoczne współczucie. Dzieci za to miały nienaturalnie kamienne miny, jakby za wszelką cenę chciały udowodnić, że cierpienie rówieśnicy nie robi na nich wrażenia. Wyłamała się jedynie najmłodsza, na oko dziesięcioletnia dziewczynka, która krzyknęła, zobaczywszy zakrwawione ciało, lecz natychmiast zatkała usta dłonią, skarcona spojrzeniem starszego kolegi.

Duży Królik odsunął się, pozostawiając ranną na ziemi.

Choredon podszedł do niej, pochylił się i badał przez chwilę, pomrukując coś pod nosem. Wąchał krew i pot nieprzytomnego dziecka, naciskał skórę wokół rany,

niemal wpychał brudne paluchy do zalanego czerwienią wnętrza. Clem odwrócił wzrok i spojrzał, dopiero gdy mężczyzna wyprostował się, po czym zawołał coś do swoich. To nie mogła być dobra wiadomość, bo kobieta o współczującej twarzy wybuchła płaczem. Sąsiadka zaraz objęła ją i zaczęła pocieszać śpiewnymi słowami, które Clemowi skojarzyły się z kołysanką.

Wszyscy po kolei podchodzili, by pożegnać się z ranną dziewczynką. Głaskali blade policzki, niektórzy całowali pokryte potem czoło. Starszy chłopiec wyjął z kieszeni coś, co z daleka wyglądało jak błyszcząca moneta, i wcisnął jej do ręki. Tylko szlochająca kobieta nie zdobyła się na to, żeby dziecka dotknąć. Odwróciła głowę, kryjąc twarz na ramieniu sąsiadki, i odeszła krokiem tak szybkim, że pocieszycielka ledwo mogła za nią nadążyć.

97

Najmłodsza dziewczynka, odchodząc, obejrzała się kilka razy. Jej oczy były wielkie i pełne pytań.

– Uznali, że nie ma szans przeżyć – szepnął Clem, po czym powtórzył to, co oczywiste, bo nie potrafił uwierzyć.

Od samego patrzenia na ceremonię pożegnania poczuł się w pewien sposób zbrukany, jakby starszy, bo przygnieciony ciężarem niechcianego doświadczenia.

Spojrzał na Bidou, który milczał z zaciśniętymi ustami.

– Ale my możemy jej pomóc, prawda? – Na przekór owemu poczuciu starszości głos Clema zabrzmiał chłopięco. – Mamy mnóstwo antybiotyków...

– Nie mnóstwo, tylko tyle, że powinno dla nas wystarczyć. Dla nas, Clem. –

Sierżant wciąż miał ponurą, zaciętą minę, która nie wróżyła niczego dobrego. Bernie i Duży Królik po prostu czekali, aż dowódca podejmie decyzję – ten pierwszy nieco już zniecierpliwiony, a drugi z przymkniętymi oczami, kołyszący się lekko w zachodzącym słońcu, jakby jakimś cudem udało mu się zasnąć na stojąco. Clem doskonale wiedział, że nie ma co liczyć na pomoc z ich strony.

Został sam, ale nie zamierzał rezygnować.

– Ocaliła mi życie – powtórzył z uporem. – Wam prawdopodobnie zresztą też.

Przyszła do fabryki sama jedna i stawiała czoła potworowi, z którym nie potrafiło dać sobie rady czterech dorosłych facetów, a wy chcecie za to ją zostawić, żeby zdechła tu jak pies?

Bidou westchnął, przez jego nieruchomą dotąd twarz przebiegł nerwowy tik.

– Jedna piąta, Clem. Straciliśmy jednego człowieka, a ona uratowała życie innemu, więc powiedzmy, że ma prawo do przydziału Sala. Jeśli nie uratujesz jej przy pomocy jednej piątej naszych leków, to trudno, niech umiera.

Chłopak skinął głową, uznając umowę za wystarczająco sprawiedliwą.

\*\*\*

Najpierw Clem zajął się trzema szramami, które ciągnęły się wzdłuż jego boku aż na plecy. Zaszył je częściowo sam, a częściowo z pomocą Berniego, który z pozostałej trójki żołnierzy miał najzręczniejsze palce. Ścieg wyglądał jak dzieło pijanej krawcowej i chłopak wiedział, że rany nie zagoją się gładko, ale to go nawet

ucieszyło. Wreszcie zyska pierwsze blizny, którymi będzie się mógł chwalić. Poza tym czuł się zdecydowanie lepiej, co w dużej mierze zawdzięczał kilku łykom

98

spirytusu rozcieńczonego wodą i wypitego „na odwagę” przed szyciem. Potem dopiero podszedł do dziecka. Dziewczynka leżała w kącie sali na posłaniu pośpiesznie zmajstrowanym z kilku starych koców i wciąż była nieprzytomna. Puls miała słaby (jego ojciec powiedziałby „nitkowaty”), jej skórę pokrywał zimny pot. Ciem odsłonił paskudną, poszarpaną ranę na brzuchu, nad którą unosił się lekki zapach treści żołądkowej.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Oczyścił ranę na tyle, na ile mógł, zdezynfekował i zaszył, a potem podał małej antybiotyk. Jeśli Pani Cienistej Doliny pozwoli, to wystarczy, a jeśli nie, to nie. Nastawił też złamaną kość w przedramieniu, co na szczęście poszło gładko, choć

dziewczynka ocknęła się pod koniec zabiegu, krzyknęła, wykrzywając w męce twarz, po czym znowu zemdląła. Korzystając z faktu, że leżała nieruchomo, Clem usztywnił jej rękę, a na koniec oczyścił drobniejsze otarcia i skaleczenia. Właśnie wtedy po raz pierwszy opadły go wątpliwości. Musiał dziewczynkę rozebrać, a potem umyć i zrobić to, czerwony z zażenowania oraz w pełni świadom, że koledzy patrzą na niego z mieszaniną politowania i rozbawienia. Dotarło do niego wówczas, że opieka nad tą małą nie będzie taka prosta, jak sobie wyobrażał. Cała jego wiedza medyczna sprowadzała się do tego, czego nauczył się, obserwując ojca, a przecież Clem nawet nie słuchał ani nie patrzył uważnie. Owszem, pomagał przy różnych zabiegach, ale bardziej z konieczności niż z zamiłowania, czasem też z nudów albo dlatego, że po śmierci matki chciał jak najwięcej przebywać z ojcem. Leczeniem nigdy tak naprawdę się nie interesował.

Poczuł złość na ludzi, którzy zostawili dziewczynkę na ulicy, a także odrobinę – tylko odrobinę – złości na samą dziewczynkę, która nie potrafiła ani uciec smokowi, ani umrzeć wtedy, gdy było trzeba. Zaraz pośpiesznie zapewnił samego siebie, że przecież wcale tak nie myśli, w żadnym razie, ale i tak jego uszy zrobiły się jeszcze bardziej czerwone.

Pocieszające natomiast było to, co powiedział sierżant Bidou. Jeśli Jee Merino nie wróci w ciągu trzech dni, zostawią go i wyruszą w drogę powrotną przez pustynię. Clem chyba wolałby, żeby nie wrócił. Miał dość tego miasta, no i skracałoby to czas opieki nad dziewczynką. Przez trzy dni mała albo umrze, albo poczuje się na tyle dobrze, że tubylcy uwierzą, iż może odzyskać zdrowie, po czym zabiorą ją do siebie. Istniała także inna możliwość – że stan pacjentki nie polepszy się ani nie pogorszy i wyjeżdżając z Harfy, będą musieli porzucić dziewczynkę dokładnie tak



samo, jak porzucili ją jej krewni, ale o tym Clem nie chciał myśleć.

W trzydniowy termin wierzył jak w Zreformowaną Biblię. Sierżant Bidou był obsesyjnie skrupulatny w takich kwestiach, więc Clem mógł mieć pewność, że nie zostaną tu ani minuty dłużej. Na tej samej zasadzie był też pewien, że dziewczynka nie dostanie ani jednej tabletki ponad jedną piątą zapasów, która jej się należy. Nawet gdyby życie dziecka zależało od tej jednej dodatkowej tabletki. Było to okrutne, może nawet sadystycznie chore, ale na swój sposób również uspokajające. Clem żył w świecie, w którym istniały potwory, a od niedawna także niewidzialne, mordercze smoki, i potrzebował reguł, choćby nawet zwariowanych.

Tej nocy spał niespokojnie, budząc się za każdym razem, gdy dziewczynka poruszyła się na swoim pościeli. Miała gorączkę, majaczyła i czasem Clemowi wydawało się, że dziecko nie dożyje rana, a czasem wręcz przeciwnie – że ta gorączka to przełom i lada moment mała zacznie wracać do zdrowia. Czasem żałował, że nie przyglądał się uważniej ojcu, gdy ten leczył pacjentów, a czasem, że w ogóle przyznał się, iż jest synem lekarza, bo gdyby nie to, nikomu nie przyszłoby do głowy powierzenie mu obowiązków sanitariusza.

W środku nocy znów musiał umyć dziewczynkę, która zrobiła pod siebie.

Miał przy tym wrażenie, że smród obudził jego towarzyszy i że ci przyglądają mu się z gęstej jak smoła ciemności. Siedział przez chwilę bez ruchu, sparaliżowany zażenowaniem i złością, po czym zmusił się, by wstać. Nie chciał zapalać ich jedynej żarówki, a światło latarki było tak blade, że ledwo wystarczyło, by oświetlić drogę,

gdy Clem wyszedł po wodę. W Harfie krany wewnątrz budynków od dawna były nieczynne, lecz niektóre z zewnętrznych, teraz specjalnie oznaczone, wciąż działały. Clem przyniósł pełne wiadro, wziął poplamiony zaschniętą krwią bandaż, który zapomniał wyrzucić, i obmył dziewczynkę, przez cały starając się o niczym nie myśleć. Nie myślał o pełnej szeptów ciemności za plecami ani o połyskujących bielą, wpatrzonych w niego oczach dziecka, które jakimś przewrotnym cudem na tych kilka chwil odzyskało przytomność. Robił to, co musiał zrobić, przy świetle latarki wyglądającym jak smętny krążek widmo, a gdy skończył, zapadł całkowity mrok. Clem wstał i ostrożnie wymacując drogę, wyszedł na zewnątrz, by wylać brudną wodę. Teraz już myślał, i to o wielu rzeczach.

Wyobraził sobie, że dziewczynka w nocy umarła, a on rano powiadamia Bidou o jej śmierci. Sierżant na początku przyjmuje to obojętnie, a może nawet z zadowoleniem („Kłopot z głowy” – ciekawe, czy tak właśnie by powiedział?), ale

100

potem, widząc minę Clema, zdobywa się na kilka ciepłych słów. Na przykład, że chłopak się starał, ale nie wyszło, trudno, tak bywa. Na to Bernie przytaknie i powie, że Clem zrobił, co mógł, a Duży Królik po swojemu nie odezwie się ani słowem, tylko poczęstuje „najlepszym towarem na pograniczu”, który po śmierci Sala odziedziczył pół na pół z Berniem.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że ta wizja miała spore szanse się ziścić.

Clem znał swoich towarzyszy na tyle dobrze, by wiedzieć, jak w konkretnej sytuacji zareagują. Teraz musiał znosić spojrzenia pełne politowania i drwiny, lecz jeśli tylko

dziewczynka umrze, tamci okażą mu powściągliwe współczucie i cała sprawa przejdzie do historii jako kolejny błąd „nowego” – coś, co wkrótce będą wspominać, śmiejąc się z kogoś, kto był na tyle naiwny, by kosztem cennych leków podjąć próbę ratowania dziecka, którego uratować nie można było. A Clem roześmieje się wraz z nimi, bo będzie już innym człowiekiem. Takim, który wie, że pewnych rzeczy po prostu się nie robi, niezależnie od tego, jak bardzo wydają się właściwe.

Jeśli tylko dziewczynka umrze.

Myślał o tym w przenikliwym zimnie i ciemności tak gęstej, jaka bywa tuż przed świtem. Wyobraził sobie tę scenę raz, a potem drugi i trzeci, za każdym razem dodając coraz więcej szczegółów. Wreszcie rozryczał się jak zagubione dziecko i pod koniec, gdy wreszcie zabrakło mu łez i wysmarkał się na ziemię, sam już nie wiedział, czy opłakiwał śmierć dziewczynki, czy może własną podłość.

\*\*\*

Rano wydarzyły się dwie ważne rzeczy – po pierwsze, antybiotyki najwyraźniej zadziałały, dziewczynka przestała gorączkować i wyglądało na to, że jednak będzie żyć. Po drugie, Duży Królik, wiedziony jakimś szóstym indiańskim zmysłem, postanowił zajrzeć w głąb skrzyni z karabinami, które wieźli na sprzedaż. Przy milczącej zgodzie Bidou wyniósł ją na środek sali, zdjął pierwszą warstwę lśniących od smaru sztuk broni, a potem drugą, odsłaniając deskę zamocowaną wysoko ponad miejscem, gdzie powinno znajdować się dno.

Przyglądający się temu Bernie gwizdnął cicho.

– Skrytka – powiedział. – Potrzebujemy dłuta, żeby to podważyć.

Clem przyniósł skrzynkę z narzędziami i kucnął obok, patrząc rozszerzonymi z ciekawości oczami. Po chwili dołączył do nich Bidou, który przez ostatnich kilka

101

minut z coraz mniejszym entuzjazmem udawał brak zainteresowania.

Duży Królik podważył deskę, a Bernie obcęgiem wyciągnął poluzowane gwoździe. Gdy po chwili Indianin wyjął fałszywe dno, wszyscy czterej pochylili się nad skrzynią tak gwałtownie, że niemal zderzyli się głowami.

W środku leżał smukły srebrzysty cylinder, który na pierwszy rzut oka przypominał otoczoną trzema pierścieniami lunetę. Jeden z pierścieni, szerszy, znajdował się tuż przy podstawie, a dwa pozostałe, znacznie węższe, mniej więcej w jednej trzeciej długości urządzenia. Pokrywały je skomplikowane znaki – w części z nich Clem rozpoznał litery greckiego alfabetu, inne były mu zupełnie nieznanne.

Czubek cylindra zwieńczony był czymś na kształt spiczastej czapeczki, dla odmiany koloru złocistego.

– Co to kurwa jest? – wyszeptał bezgranicznie zdumiony Bidou.

– Mnie to wygląda jak wielki czopek na hemoroidy – oznajmił Królik. – Może Merino wiozł to, żeby sobie wetknąć w dupę, jakby co.

Nikt się nie roześmiał.

Bernie wyciągnął rękę i ostrożnie przekręcił jeden z węższych pierścieni. W mechanizmie coś zachrobotło, cyknęło dwa razy i umilkło.

– Nie waż się tego ruszać! – wrzasnął pobladły sierżant, podczas gdy Indianin i Bernie cofnęli się odruchowo, a Clem został na miejscu, jak zahipnotyzowany gapiąc się na cylinder. – Musimy przenieść skrzynię z powrotem pod ścianę, i to bardzo ostrożnie. To może być...

– ...bomba? – dokończył Clem, po czym niespodziewanie nawet dla siebie samego roześmiał się. – Jeśli tak, to ona łatwo nie wybuchnie, wieźliśmy ją przecież tyle dni w trzęsącym jak diabli samochodzie.

Bidou dla odmiany poczerwieniał. Na jego twarz wypełził zdradziecki wyraz zakłopotania, zaraz przesłonięty złością.

– Wydaje ci się, że wszystkie rozumy pozjadałeś, co? No więc nie, dowiedz się, że nie, na takich rzeczach znasz się jak chigalska kurwa na uprawie roli, więc bądź łaskaw zamknąć mordę, kiedy nie masz nic mądrego do powiedzenia!

Clem wytrzymał jego wzrok przez chwilę, a potem z rozmysłem bardzo wolno odwrócił głowę. To drobne zwycięstwo zamiast satysfakcji przyniosło mu gorycz. Od pewnego czasu coraz wyraźniej dostrzegał, że Bidou nie jest człowiekiem, za którego Clem pragnął go uważać, lecz jak dotąd odpychał od siebie tę świadomość. Chciał – więcej, musiał wierzyć, że sierżant mimo wszystkich swoich wad jest człowiekiem

102

godnym zaufania. Kimś, komu powierzyć można życie i kto w razie czego wyciągnie ich wszystkich z tej kabały. A to przekonanie mocno się teraz zachwiało, bo przez chwilę Clem widział w oczach Bidou zagubienie bliskie paniki i zrozumiał, że sytuacja zaczyna sierżanta przerastać.

Clem poczuł, jak obejmuje go chłód. Gdyby w tej chwili Bidou podtrzymał swój rozkaz i polecił im przenieść skrzynię pod ścianę z zastrzeżeniem, że mają to zrobić „bardzo ostrożnie”, pierwszy rzuciłby się do pracy. Uważałby na każdy ruch, aż sam by uwierzył, że ta ostrożność ma sens, a wtedy wszystko znów byłoby dobrze. Chciał, żeby Bidou raz jeszcze powiedział, że Clem na niczym się nie zna, i chciał tym razem przegrać, szybko odwracając wzrok.

Lecz sierżant rozkazał tylko szorstkim głosem „zabrać stąd to cholerstwo” i „nie spuszczać tego z oka, bo Merino ani chybi po to przyjdzie, a wtedy on, Bidou, dobierze mu się do tyłka”.

Przygnieciony ciężarem samotności Clem usiadł obok dziewczynki i spróbował z nią porozmawiać.

\*\*\*

– Jak ci na imię?

Milczenie. Dziewczynka, teraz najzupełniej przytomna, z uporem odwraca głowę w kierunku ściany.

– Jak ci na imię?

Która to była próba? Piętnasta, dwudziesta? Gdzieś przy dziesiątej Clem stracił rachubę, lecz jak dotąd nie udało mu się uzyskać niczego, ani jednego słowa. A przecież był pewien, że zadaje właściwe pytanie. Mógł źle je wymawiać, owszem, ale konstrukcja gramatyczna była w porządku, bo to najczęściej używane pytanie zostało

w słowniku zapisane w całości, tak iż nie musiał go składać mozolnie z kilku słów.

Dziewczynka powinna więc go zrozumieć i po drgnięciu jej twarzy za pierwszym razem poznał, że chyba rzeczywiście rozumie.

Po prostu nie chciała z nim rozmawiać.

– Ja mam na imię Clem, a ty? – spróbował raz jeszcze.

Kierował nim podszyty złością upór, bo przecież, do licha, to było tylko dziecko, w dodatku takie, które powinno mu być wdzięczne za ocalenie życia. Można by się spodziewać, że mała będzie całować go po butach, a tymczasem nie mogła

103

wyduścić z siebie ani jednego słowa.

A więc jeszcze raz.

– Jak ci na imię?

\*\*\*

– Ja nazywam się Clem, a ty? Ja Clem – puknął się z rozmachem w pierś – a ty?

– Ty?

Ręka wyciągnięta w kierunku dziewczynki opadła po chwili w gęstniejącym mroku.

\*\*\*

– Wiesz, mogłabyś się odezwać choć słowem. Przecież wcześniej ze mną rozmawiałaś. To coś w rodzaju zasad, tak? Dzieci z tego miasta nie mogą zdradzać obcym swojego imienia? A może wolno dzieciom rozmawiać z obcymi na ulicy albo w sali pełnej ludzi, ale nie kiedy jesteśmy sam na sam? Albo nie wolno wam przyjmować od obcych pomocy i dlatego teraz nic nie mówisz? O to chodzi? Ale ja chciałem ci pomóc, wiesz? Gdyby nie ja, zdechłabyś tam na ulicy jak porzucone szczenię. I w zamian nie chcę nic, tylko żebyś mi powiedziała, jak masz na imię. To takie trudne? Jak-masz-na-imię?

Zaschło mu w gardle, napił się więc wody. Po chwili wahania podał kubek dziewczynce.

– Masz, ale pamiętaj: jeśli znów się zsikasz, to ja cię nie będę już mył.

\*\*\*

Po dwudziestu czterech godzinach niemal stracił nadzieję. Mówił teraz do dziewczynki chyba wyłącznie po to, żeby zabić coraz dotkliwsze i coraz chłodniejsze uczucie samotności, które powoli przechodziło w paskudny, przejmujący lęk.



Że nikt z nich nie wyjdzie z tego miasta żywy, bo to co, dopadło Sala,

dopadnie także ich, a Bidou nie będzie mógł nic na to poradzić.

– Hej, mała, powiesz mi wreszcie, jak ci na imię? – Zniżył głos do szeptu, tak

104

aby nie usłyszał go Bernie, palący papierosa na skrzyni z fałszywym dnem. Poza nimi dwoma w sali nie było nikogo. – Wiesz, biorąc pod uwagę, że ten wasz smok pewnie zeżre mnie na śniadanie, mogłabyś przed śmiercią wyświadczyć mi tę przysługę.

Ostatnie zdanie zamiast przyływu wisielczego optymizmu wywołało w nim jedynie niesmak. Z trudem przełknął ślinę. Dziewczynka spojrzała na niego spoza splątanych, brudnych włosów. Nie miała już gorączki, ale była wychudzona i wyglądała żałośnie, zupełnie jak suka, którą ojciec kiedyś przyniósł Clemowi, gdy chłopiec marudził, że chce mieć psa.

Masz, to jest twój pies. Opiekuj się nim.

Suka również była ranna, przypominał sobie Clem (a może po prostu chora?

To było tak dawno...), zaś jej sierść sklejało błoto. I wówczas również Clem czuł tę samą mieszankę niechęci, ciekawości, litości i przygnębiającego poczucia winy.

Nazywał ją Psicą – trochę dlatego, że nie miał sensowniejszego pomysłu, a trochę ponieważ (z czego zdał sobie sprawę znacznie później) w głębi duszy sądził, że ten wychudzony strzep nie zasługuje na nic lepszego.

To jest twój pies, opiekuj się nim. To jest twoja dziewczynka, opiekuj się nią.

Inaczej po co miałbyś ratować jej życie?

Pochylił się.

– Skoro nie chcesz powiedzieć, jak masz na imię, to będę nazywał cię Psicą, w porządku?

\*\*\*

Po południu wyszedł na chwilę, a gdy wrócił, zastał Psicę stojącą na swoim posłaniu. Jej twarz była wykrzywiona i zlana potem. Jedną ręką przytrzymywała się ściany, a drugą wspierała na ramieniu dziewczynki, tej małej i nazbyt emocjonalnie reagującej, która przed dwoma dniami krzyknęła na widok zalanego krwią ciała, a potem, odchodząc, odwracała się z oczami pełnymi pytań.

– Co ty wyprawiasz? – wrzasnął Clem.

Duży Królik, siedzący na skrzyni w pozycji niemal identycznej jak wcześniej Bernie, spojrział w ich stronę, po czym uniósł rękę z palącym się papierosem i wypuścił z ust długą, leniwą smugę dymu.

– Nie wolno ci wstawać!

Młodsza dziewczynka rzuciła Clemowi wystraszone spojrzenie i odsunęła się,

105

lecz Psica ani drgnęła. Panowała nad sobą mimo bólu, który zmienił jej twarz w stężałą maskę. Udało jej się zrobić kilka kroków i nawet przy tym nie jęknęła. Puściła ścianę i wyprostowana patrzyła Clemowi prosto w oczy.

– Wracaj na posłanie – powiedział chłopak znacznie łagodniej niż zamierzał. –

Za parę dni może pozwolę ci trochę pochodzić.

Zapomniał, że przecież jutro mają wyjechać z Harfy.

Przegonił małą dziewczynkę, a potem pomógł swojej pacjentce na powrót się położyć. Poczł przy tym ukłucie winy.

– Wiesz, wcale nie chcę nazywać cię Psicą. Mówię tak tylko dlatego, bo jakoś muszę się do ciebie zwracać, a ty nie chcesz mi powiedzieć, jak masz na imię.

Usiadł tak, by zasłonić widok Dużemu Królikowi, i ostrożnie, z wahaniem wziął dziewczynkę za rękę. Jej skóra wydawała się gorąca, lecz Clem po chwili zorientował się, że to on ma lodowate dłonie. Chciał ją pocieszyć, zaopiekować się nią i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale miał tylko wrażenie, że jest kiepskim aktorem w kiepskiej sztuce, a za plecami czeka publiczność, która za chwilę wygwizdże jego grę.

– Jak ci na imię? – spróbował jeszcze raz, mimo wszystko.

– Sable – odpowiedziało dziecko.

\*\*\*

– Musi ci być ciężko, prawda? Życ w takim miejscu, być pozbawionym dzieciństwa... Nie żeby u nas było o wiele lepiej – wiesz, tam gdzie mieszkam, chłopcy też szybko uczą się obchodzić z bronią, a dzieciom zdarzają się różne... rzeczy. Nieprzyjemne rzeczy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Zamilkł i poruszył się niespokojnie. Sable patrzyła na niego poważnymi oczami. Bywały chwile, gdy zdawało mu się, że dziewczynka rozumie każde jego słowo, i czasem go to cieszyło, a czasem budziło w nim niepokój.

Teraz przeważał niepokój.

Nabrał jeszcze jedną łyżkę zupy i tym razem pozwolił, żeby spróbowała jeść sama. Szło jej topornie, połowa płynu wylądowała na kocu, ale Clem uznał, że liczą się chęci. Widać było, że męczy ją bezradność; dziewczynka jak najszybciej chciała wrócić do pełni sił, a Clem, pracując z ojcem, zdążył się nauczyć, że taka postawa to połowa sukcesu.

106

Sable była twarda – musiała taka być, żeby przeżyć w Harfie Pustyni.

Problem polegał na tym, że Clem nie miał pojęcia, jak należy obchodzić się z dziećmi. Jediną dziewczynką, którą do tej pory znał bliżej, była córka jednego z przyjaciół jego ojca. Przychodziła czasem, odświętnie ubrana, ze swoim tatą, a Clem ciągnął ją za długi warkocz, pytał „Hej, mała, co tam u ciebie ciekawego?”, po czym wyłączał się, gdy zaczynała paplać. To było proste i zrozumiałe, ale niestety, w tej chwili nie mogło mu pomóc, bo Sable w niczym nie przypominała tamtej dziewczynki.

Była ulepiona z innej gliny, mówiła odmiennym językiem, a przede wszystkim powoli przestawała być dzieckiem. Co prawda nadal była płaska jak deska – za co Clem zdążył podziękować losowi, gdy ją mył – niemniej coś ledwo uchwytnego w niej świadczyło, iż wkrótce wkroczy w dorosłość.

Z drugiej jednak strony, może to tak naprawdę było ułatwienie, może Clem nie powinien porównywać jej z dziećmi, lecz z dorastającymi panienkami, które znał, gdy sam miał trzynaście lat.

Uśmiechnął się, czując, że wkracza na nieco pewniejszy grunt.

– Gdybyś urodziła się w Lucienne – wiesz, to takie małe miasteczko, w którym mieszkałem – to nie chodziłabyś w brudnych spodniach i w tunice, tylko miałabyś ładną sukienkę, zieloną, błękitną albo różową. Z falbankami. – Pamiętałem, że dziewczyny bardzo lubiły falbanki. – To by ci się podobało, co? No i oczywiście nie biegałabyś po mieście z bronią, tylko chodziłabyś na zabawy albo na spacer z chłopcami. W wigilię świętego Jana zawsze urządzamy wielki piknik na łące za miastem, jest mnóstwo żarcia i morze alkoholu i wszyscy jedzą, piją i tańczą aż do rana. Niektórzy rodzice wyganiają dzieciaki w twoim wieku wieczorem do domu, ale inni pozwalają im zostać albo zwyczajnie o nich zapominają. Mój ojciec pewnego razu przypomniał sobie o mnie dopiero następnego dnia po południu, gdy wyleczył kaca. Założę się, że dobrze by ci u nas było... U nas jest fajnie, znaczy, bywa też paskudnie, ale to zależy od rodziny. Najważniejsze to pilnować własnego nosa i nie wchodzić w drogę silniejszym od siebie. Mój ojciec to umiał, ale potem... zresztą mniejsza z tym. Opowiem ci tylko o wesołych rzeczach, OK? O samych miłych, wesołych rzeczach. Żadnych potworów, żadnej krwi i zabijania. Będiesz mogła zapomnieć o tym chociaż na chwilę.

\*\*\*

Clem zbudził się w nocy, słysząc odgłosy rozmowy. Przez chwilę, wciąż na wpół śpiący, sądził, że to dziewczynka do kogoś mówi – przez ostatnie dwa dni całe jego życie kręciło się wokół tego dziecka – ale nie, to był zdecydowanie męski głos. Męski i zagniewany.

Usiadł na posłaniu, w głowie mu się przejaśniło.

W świetle ich jedynej żarówki dwa długie, czarne cienie poruszały się na tle ściany. Jeden zwinnie, drugi niezgrabnie, jakby... kanciasto. Clem poznał ten ruch bez chwili wahania.

Zwinny cień chwycił swego niezgrabnego towarzysza i potrząsnął nim.

– Co jest, kurwa, w tej skrzyni? – warknął sierżant Bidou. – Mów, pieprzony sukinsynu, albo za chwilę będziesz zbierał zęby z podłogi.

– Broń... Mówiłem, że broń... – Jee Merino z trudem łapał oddech.

Clem wstał i zbliżył się do nich. Dalej w półmroku jaśniały już twarze

Berniego i Dużego Królika.

Bidou wziął zamach i nie śpiesząc się, precyzyjnie uderzył Merino w twarz.

Ten smarknął przez rozbity nos i zaczął osuwać na podłogę, lecz zanim do niej dotarł, sierżant złapał go ponownie, po czym pchnął na skrzynię. Kant musiał trafić na chory staw, bo Merino zawył z bólu.

Bidou sapnął z wyraźną satysfakcją.

– Masz dość? Zaczynasz gadać po ludzku?

– Tak... Dobry Ojczy, człowieku, przestań i posłuchaj mnie choć przez

chwilę...

– Będę słuchał, jeśli będziesz mówił do rzeczy. Dlaczego nie powiedziałeś nam o niewidzialnych smokach? Jeden z nich zabił mojego człowieka, skurwielu!

Merino usiadł na skrzyni wygodnie i rozmasował bolące kolano. Z rozbitego nosa płynęła krew, rozmazana i w świetle lampy niemal czarna. Mężczyzna wyglądał teraz, jakby miał naciągniętą na pół twarzy bandycką maskę.

– A co by to zmieniło, gdybym wam powiedział? – Skrzywił się, spróbował wytrzeć krew, ale osiągnął tyle, że teraz maska sięgała linii oczu. – Dorośli nie mogą walczyć z tymi stworzeniami, niezależnie od tego, jak dobrze są przygotowani i uzbrojeni. Nie mogą, bo zwyczajnie ich nie widzą. Tylko dzieci mogą je zabić.

Gdybym wam powiedział, że w Harfie grasują niewidzialne potwory, tylko niepotrzebnie byście się denerwowali, a i tak nic by to nie zmieniło.

108

A poza tym wtedy trzy razy byśmy się zastanowili nad przyjęciem twojej propozycji, dopowiedział w myślach Clem. Kiedyś zadał sobie pytanie, dlaczego ich pracodawca nie wynajął ludzi w miejscu, skąd zazwyczaj ruszały karawany do Harfy, i teraz znał już odpowiedź. Merino sprytnie udał się na wschód, do Chigali wystarczająco oddalonej od szlaku, aby mała była szansa, że ktoś tam wie o smokach, a jednocześnie wystarczająco bliskiej, by wyprawa do Harfy wydawała się... cóż, owszem, głupotą, ale nie jakoś szczególnie niebezpieczną głupotą. Przy pierwszym spotkaniu Merino sprawił na nich wrażenie naiwniaka, który kompletnie nie zna się na handlu i którego można bez wielkiego ryzyka obedrzeć z nadmiaru gotówki, i

prawdopodobnie dokładnie o taki efekt mu chodziło.

Tymczasem Bidou pochylił się z miną wyrażającą ociekającą fałszem życzliwość.

– Denerwowali się, tak? – mruknął, po czym posłał Merino żartobliwy prztyczek w nos, pod wpływem którego mężczyzna zwinął się z bólu. Gdy wreszcie udało mu się wyprostować, po jego twarzy płynęły łzy, złościąc korytarze w krwawej masce.

– Skoro tak ci zależy, żebym się nie denerwował, to powiedz, co jest w tej skrzyni.

– B... broń...

Bidou pokręcił głową ze smutkiem.

– Naprawdę robię się coraz bardziej zdenerwowany. Nawet nie chcesz wiedzieć, jak bardzo. Spróbujemy jeszcze raz, co? Ostatnia szansa. Co-jest-w-tej-skrzyni?

– To naprawdę jest broń – powtórzył Merino uparcie i niemal spokojnie, choć zdradził go ruch ręki, którą uniósł, by osłonić twarz. – Czekał, moment, daj mi wyjaśnić...

– Masz dwie minuty.

Clemowi przyszło do głowy, że mimo autentycznej wściekłości i żalu po śmierci Sala Bidou świetnie się bawi. Jemu zresztą też widok zakrwawionego, wystraszonego Merino sprawiał nieliczną przyjemność.

– To urządzenie emituje dźwięki, które odstraszały smoki. Jeśli podłączyć je do generatora, będzie trzymało bestie z daleka od miasta. Tak robią ludzie z wybrzeża. Tam też są niewidzialne potwory, trochę inne co prawda, ale mam nadzieję, że jednak



wystarczająco podobne, żeby zadziałało...

109

– Byłeś na wybrzeżu? Pierdolisz, to są tysiące kilometrów, a ty ledwo się ruszasz.

– Przecież nie szedłem pieszo, człowieku. Poza tym wtedy byłem jeszcze zdrowy.

– I wzięłeś od nich takie urządzenie?

– Wziąłem plany i prawie pięć lat mi zajęło, żeby coś podobnego zbudować.

Wtedy właśnie zachorowałem, lekarze mówili, że z przepracowania...

– A teraz zamierzasz to sobie odbić, co? I trochę zarobić?

Jee Merino wzruszył ramionami, potwierdzając to, co oczywiste. Bidou pochylił się na nim, a kiedy się odezwał, jego głos był zimny jak lód.

– To powiedz mi, kurwa, czemu od razu nie przehandlowałeś tym ludziom urządzenia? Włączyliby je i miasto byłoby bezpieczne, a Sal by żył. Nie mogłeś się dogadać? Czekałeś, draniu, aż dadzą wyższą cenę?

– Nie rozumiesz...

– Więc mi wytłumacz.

– Człowiek, z którym się kontaktowałem, prosił mnie o dyskrecję, mówił, że tutaj nie wszyscy chcieliby takiego urządzenia. Że według tamtych potwory są po to, żeby miejscowi się od dzieciństwa hartowali, że tradycja i wola boska... Takie tam bzdury. Ale mój człowiek, on się nazywa Musa, obiecał, że znajdzie grupę ludzi, którzy myślą tak samo jak on, i gdy już włączą urządzenie, to pozostali się z tym

pogodzą. Ja miałem przyjechać tutaj pod pozorem sprzedaży karabinów i trzymać  
gębę na kłódkę, dopóki nie skontaktuję się bezpośrednio z Musą. Problem w tym, że  
nie mogłem go znaleźć – trzy dni kręciłem się po mieście i niby przy okazji o niego  
pytałem, ale dopiero dziś wieczorem ktoś mi powiedział, że facet właśnie się ożenił i  
zamknął się w domu z młodą żoną... Dobry Ojczy, myślałem, że gościa zabiję gołymi  
rękami, ale na szczęście doszliśmy do porozumienia...

– A to porozumienie oznacza konkretnie jaką sumę?

Merino przełknął ślinę. Widać było, że chce skłamać, i widać było, że  
zrezygnował.

– Pięćdziesiąt tysięcy. Jak Musa wreszcie wylazł z ciepłego łóżka, to obiecał,  
że do jutra wieczorem będzie miał pieniądze.

Bernie gwizdnął z podziwu, a Królikowi w ciemności zaświeciły się oczy.

Także sierżant Bidou wyglądał na o wiele bardziej radosnego, gdy poklepał Merino  
po ramieniu.

110

– Gratuluję zmysłu do interesów – wyszczerzył zęby. – W takim razie  
podniesiesz nam stawkę, a my bezpiecznie zabierzemy cię do domu.

\*\*\*

Clem sięgnął po słownik. Zazwyczaj mówił do Sable w swoim własnym języku, od czasu do czasu tylko wtrącając zapamiętane obce słowa, ale tym razem musiał mieć pewność, że ona go zrozumie.

– My mieć coś – oznajmił. W słowniku, niestety, brakowało słowa „urządzenie”. – Straszyc smok i one isc daleko. – Brakowało też słów „odleciec” i „trzymac sie z dala”. – Nie ma smok, rozumiec? My dac wam to. Ty walczyc nie.

Dzieci walczyc nie. Nie trzeba broń juz. Nie ma smoki, nie ma dzieci z broń. Dzieci szczesliwy tak, dzieci z broń nie.

Dziewczynka chyba rozumiała, bo jej oczy zrobiły się wielkie ze zdumienia, a potem przybrały wyraz zamyślenia. Clem był rozczarowany, choć wiedział już, że Sable nie lubi ujawniać uczuć.

Zostawił ją samą w nadziei, że kiedy przetrawi tę nową informację, okaże wreszcie odrobinę wdzięczności.

\*\*\*

Koło południa przyszła mała koleżanka Sable. Tym razem Clem jej nie przegonił, obserwował tylko z daleka, czy jego pacjentka nie próbuje znów wstawać. Nie próbowała. Dziewczynki rozmawiały jedynie przyciszonymi głosami o czymś – sądząc po ich minach – bardzo ważnym.

Clem nie zastanawiał się, w którym momencie popełnił błąd. To akurat było oczywiste. Rozmyślał za to, czy istniała szansa, aby tego błędu uniknąć albo przynajmniej naprawić go, gdy już został popełniony. Dręczony poczuciem winy, analizował tamten dzień godzina po godzinie i minuta po minucie. Gdyby dało się cofnąć czas, Clem miałby mnóstwo pomysłów, jak zmienić rzeczywistość.

To było oczywiście później, gdy po pierwsze, opatrzył rany, a po drugie,

111

przejechał przez pustynię z powrotem do Chigali. Wtedy miał już czas, by rozmyślać w dzień i śnić koszmary nocą. Wcześniej liczyło się tylko przeżycie następnych kilku godzin.

Koszmary zaczynały się zawsze tak samo.

Od wkroczenia do sali sześciorga dzieci.

Tak naprawdę rzecz jasna nic w tym strasznego nie było. Nie wtedy, nie w momencie, gdy nikt z nich nie wiedział, co go czeka. Po prostu do sali weszła szóstka dzieciaków: dwie dziewczynki i czterech chłopców w wieku mniej więcej jedenastu-dwunastu lat. Wszyscy byli uzbrojeni, ale to Clem i jego towarzysze traktowali jak oczywistość.

Clem uznał, że dzieci przyszły odwiedzić chorą koleżankę, co był gotów zaaprobować. Mała potrzebowała rozrywki, a w razie gdyby przyszedł im do głowy

jakiś głupi pomysł, zawsze mógł interweniować.

Bernie i Merino potraktowali dzieci jak powietrze – ten pierwszy zajął się czyszczeniem paznokci, a drugi bazgrał coś na kartce, od czasu do czasu obgryzając zawzięcie resztkę ołówka. Bidou burknął do Clema „Jak coś ukradną, to będzie twoja wina”, lecz nie zrobił nic, żeby małych gości wyrzucić. A Duży Królik w nagłym przypiływie wielkoduszności podarował najmłodszej dziewczynce tabliczkę czekolady, po czym usiadł w kącie i przybrał wyraz twarzy nazywany przez nich „medytującym Indianinem”, który w rzeczywistości świadczył, iż Królik po prostu drzemie.

Wszystko było w porządku do chwili, gdy Clem zaproponował, żeby wypróbować urządzenie odstraszające smoki. Gdyby tego nie zrobił, niczego by to nie zmieniło – podstawowy błąd został popełniony znacznie wcześniej i sprawy toczyły się swoim biegiem do tragicznego finału, lecz Clem najczęściej wracał myślami do tego właśnie momentu, który wydawał mu się przełomowy, być może dlatego, że oddzielał pozorny spokój od początku końca.

Tak więc Clem rzucił propozycję, a pozostali zgodzili się na nią mniej lub bardziej entuzjastycznie. Zrobili to z różnych powodów: Merino, zgodnie z tym, co sam powiedział, po to, by przekonać się, czy urządzenie nie uległo uszkodzeniu w czasie podróży, Clem chciał udowodnić dzieciom, jak bardzo są dla nich dobrzy i hojni, a Bidou uznał, że i tak nie ma niczego lepszego do roboty. Co do Królika, on zawsze szedł tam, gdzie Bernie, a Bernie był ciekaw, czy działające urządzenie w ogóle daje jakikolwiek efekt, bo jak poznać, czy niewidzialny smok został

odstraszony, czy też nie?

To pytanie przyszło do głowy także Clemowi, gdy wspinali się po schodach na dach budynku. Jee Merino i Bidou nieśli skrzynię z odstraszacem, a Królik i Bernie generator – według Merino zbyt mały, by urządzenie działało przez dłuższy czas, ale na krótką próbę wystarczający. Clem miał wolne ręce, wziął więc owiniętą w koc Sable. Za nimi w zwartej grupce postępowała reszta dzieciaków, wszystkie z szeroko otwartymi oczami.

Clem zastanawiał się wówczas, czy odstraszasz nie jest aby jedną wielką hucpą. Tubyłcy nie sprawiali wrażenia jakoś szczególnie naiwnych, z drugiej jednak strony być może byli zdesperowani i dlatego dali się oszukać. Bo co, jeśli Merino włączy urządzenie, powie wszystkim, że działa, i weźmie pieniądze, po czym wyjedzie z miasta, zanim zupełnie nieodstraszone smoki zabiją kolejną ofiarę? Był to scenariusz tak prawdopodobny, że Clemowi na samą myśl zrobiło się gorąco. Spojrzał na Berniego i zorientował się, że tamten myśli o tym samym, tyle że jego taka perspektywa najwyraźniej bawiła, bo zademonstrował zęby w radosnym uśmiechu.

Chłopak nie po raz pierwszy zauważył, że uśmiech Berniego z każdym dniem coraz bardziej przypomina słynny wyszczerz Sala, jakby teraz, gdy Sala zabrakło, Bernie uznał za swój obowiązek przejęcie roli naczelnego wesołka drużyny. Mniej więcej na wysokości dziesiątego piętra spocony jak ruda mysz Clem pocieszył się myślą, że Merino wygląda na bardzo przejętego. Z urządzeniem obchodził się ostrożnie jak z ukochanym dzieckiem i patrzył na nie z ojcowską dumą. Czyli może jednak wszystko jest OK, pomyślał chłopak, lecz gdzieś wewnątrz gniotło

go przekonanie, że nie, nic nie jest w porządku.

Dotarli na ostatnie, piętnaste piętro, a potem po drabince wyszli na dach.

Trupioblady Jee Merino wyglądał, jakby zaraz miał dostać ataku serca. Stał nieco dalej i odwrócił głowę, wystawiając twarz na podmuchy ciepłego wiatru, lecz Clem i tak zdążył zauważyć, że rysy mężczyzny wykrzywia ból, a jego policzki są mokre od łez.

Chyba właśnie w tej chwili chłopak uznał z całą pewnością, że Merino jednak jest uczciwy. Oszust być może zacisnąłby zęby, znosząc cierpienie w imię zdobycia bogactwa, lecz przecież teraz nie chodziło o pieniądze, a jedynie o sprawdzenie, czy urządzenie działa, przy czym wokół nie było nikogo, komu trzeba by cokolwiek udowodniać czy demonstrować.

113

Bidou położył skrzynię, którą wtaszczył na dach niemal samodzielnie, bo Merino bardziej pozorował pomoc niż faktycznie pomagał. Sierżant usiadł na niej, otarł spoconą twarz i odetchnął.

Clem ułożył obok Sable, powiedział do niej kilka uspokajających słów, które może rozumiała, a może nie, po czym odwinął koc. Co prawda zbliżał się już wieczór, ale wciąż jeszcze było ciepło.

Wszystko to obserwowały zbite w ciasną gromadkę, zawsze czujne dzieci.

– W porządku, bierzmy się do roboty. – Gdy Merino się odwrócił, jego rysy były już spokojne, ale twarz wciąż miał bladą.

Wyciągnęli urządzenie ze skrzyni i postawili mniej więcej pośrodku dachu.

Wyglądało teraz jak miniaturowa rakietka wycelowana w niebo i Clem uśmiechnął się na tę myśl – ale tylko przez ułamek sekundy, bo wciąż nie opuszczało go przecucie, że coś tu jest bardzo, bardzo nie tak.

Merino pochylił się i majstrował chwilę przy pierścieniach otaczających srebrny walec. Przesuwał je, podczas gdy z wnętrza mechanizmu dobiegały zgrzytliwe dźwięki kojarzące się do złudzenia z nakręcanym zegarem.

Wreszcie znalazł właściwe ustawienie i w ciszy od urządzenia popłynęła fala uderzeniowa, efekt drgającego powietrza zbyt silny, by złożyć go na karb kończącego się upalnego dnia. Clem z szeroko otwartymi oczami patrzył, jak sylwetka stojącego po drugiej stronie Berniego zniekształca się i wykrzywia, nagle osobliwie pękata pośrodku, a chudziutka w okolicy nóg i szyi.

Dzieci za jego plecami wydały z siebie głośnie „och!”.

Później (gdy opatrzył rany i przejechał przez pustynię) Clem zastanawiał się też, czy to właśnie ten efekt ostatecznie przekonał dzieci, że powinny postąpić tak, jak w końcu postąpiły, i nieodmiennie dochodził do wniosku, że nie, że gdyby nawet żadnego drgającego powietrza nie było, to dzieci i tak zrobiłyby swoje po prostu na wszelki wypadek. Już wcześniej zdecydowały, a zwłoka oznaczała jedynie czekanie na dogodną okazję.

– Działa – oznajmił z satysfakcją Merino, przez kilka sekund jakby mniej blady, a po chwili już zupełnie nieblady, gdy rozległ się strzał i jego twarz zalała czerwień. Upadł na kolana z dziurą pośrodku czoła i wyrazem zdumienia w oczach, po czym ruchem, który w każdych innych okolicznościach Clem uznałby za melodramatycznie sztuczny, osunął się na dach.

Bidou zareagował najszybciej, odwracając się i sięgając po broń. Problem



polegał na tym, że nie był wystarczająco szybki – dzieci miały już wycelowane karabiny w rękach, a po swojej stronie element zaskoczenia. Bidou dostał sześć kul, z czego trzy wryły się w klatkę piersiową, jedna zaś uszkodziła tętnicę szyjną. Tryskające krwią ciało zatoczyło się, po czym z impetem wpadło na najmniejszą i najbliższą stojącą dziewczynkę, przewróciło ją i unieruchomiło, sparaliżowaną w szoku pod drgającą spazmatycznie górą zdychającego mięsa. Być może w ostatnich chwilach życia sierżant czuł jednak odrobinę satysfakcji. Pozostali nie mieli nawet tyle. Duży Królik zdążył wystrzelić raz, ale nie trafił, gdyż ułamek sekundy wcześniej kula rozorała mu nadgarstek, podbijając dłoń. Druga trafiła go w czoło i ostatecznie Indianin zginął tak jak Merino, z ręki tego samego strzelca czy może kogoś równie uzdolnionego. Bernie zachował się najrozsądniej, bo nie próbował walczyć, tylko cofnął się kilka kroków, uniósł ręce i powiedział coś, co w uszach zmartwiałego z przerażenia Clema zabrzmiało jak „smokowie”, a co najprawdopodobniej znaczyło „spokojnie”.

Bernie cofał się dalej, z uniesionymi rękami i wyrazem twarzy zarazem chytrym oraz pełnym nadziei, jakby usiłował przekupić dzieci cukierkami i był pewien, że co jak co, ale na słodycze się skuszą. Nie skusiły się. Bernie dotarł do krawędzi dachu i zatrzymał się z piętami zwisającymi nad pustką i wielkim, czerwonopomarańczowym słońcem za plecami. Czworo dzieci zostało, by go pilnować, a jeden z chłopców pomógł Sable się podnieść, po czym włożył jej do ręki własny karabin. Czwórka dzieci odsunęła się, robiąc jej przejście. I to właśnie Sable

strzeliła Berniemu w pierś, potem zaś, wciąż wsparta na ramieniu kolegi, najdłużej patrzyła, jak ciało spada, koziółkując.

Clem stał wówczas pośrodku dachu w towarzystwie trzech trupów oraz zalanej krwią dziewczynki, która właśnie wygrzebała się spod jednego z nich. Przez cały czas nawet nie drgnął i to także miał później wspominać, tamten paraliżujący bezruch, gdy stał w ciepłe wczesnego wieczoru z absolutną pustką w głowie. Nie żeby miał szansę kogokolwiek ocalić, skoro nie udało się to Bidou ani Królikowi, a Bernie wolał się poddać. Lecz gdyby Clem przynajmniej spróbował coś zrobić, cokolwiek, czułby się później lepiej.

Bo dzieci tak czy inaczej darowałyby mu życie, o tym był przekonany.

Gdy skończyły z Berniem, odwróciły się w kierunku Clema. Pod słońce nie widział ich wyraźnie – tylko kilka czarnych sylwetek o rozmytych krawędziach na tle czerwieni i pomarańcza. Zamrugał, oczy mu łzawiły. Jak ognista dziura w niebie,

115

pomyślał nie wiedzieć czemu, a potem: powinniśmy się domyślić.

Ktoś coś powiedział (Sable?) i rozległ się huk wystrzału. Kula szarpnęła

Clemem i obróciła go o dziewięćdziesiąt stopni, w ramię wgryzł się ból, a zaraz po nim przyszło omdlewające gorąco.

Powinniśmy się domyślić, że ci, którzy nie chcą żadnych zmian i wolą żyć z

potworami, to właśnie oni – Clem dokończył myśl, po czym usiadł, bo jego nogi zrobiły się zdecydowanie zbyt miękkie, żeby utrzymać ciężar ciała.

Oni. Dzieci.

Siedział z zamkniętymi oczami, starając się nie zemdleć, choć miękki, czerwonawy i ciepły mrok kusił, by się w niego osunąć. Ramię bolało, mokry rękaw koszuli lepił się do ciała, ale mógł poruszać palcami dłoni.

Czyli nie było tak źle. Dzieci nie chciały go zabić, tylko dać mu nauczkę albo po prostu wyeliminować na chwilę z akcji.

Gdy otworzył oczy, słońce do połowy zniknęło za krawędzią budynku, a zimny wiatr studził spoconą twarz. Clem spojrział na prawe ramię i skrzywił się, bo rękaw koszuli wyglądał, jakby ktoś zanurzył go w czerwonej farbie. Na szczęście materiał zasechł wokół rany, tamując tym samym upływ krwi, ale chłopak wiedział, że tak czy inaczej powinien teraz zejść na dół, znaleźć apteczkę i założyć porządny opatrunek.

Rozejrzał się i bez zdziwienia stwierdził, że jeśli nie liczyć trzech trupów, jest na dachu sam. Odstraszacza też nigdzie nie widział.

Zaciskając zęby wstał, opanował zawrót głowy i powlókł się w stronę krawędzi dachu. Na dole zobaczył Berniego, który z tej wysokości wyglądał jak porzucona lalka, a obok rozbite w drobny mak urządzenie.

\*\*\*

Koniec końców jednak Sable okazała mi wdzięczność, myślał Clem, pakując do jeepa zapasy, spiwory i broń. Z jedną tylko ręką sprawną – w dodatku lewą – trwało to długo, ale czekające przy wyjściu dzieci sprawiały wrażenie bardzo

cierpliwych.

Wcześniej patrzyły, jak Clem męczy się przy zakładaniu opatrunku, a jeszcze wcześniej, zanim zszedł schodami, rozładowały wszystkie karabiny. Sprytnie, orzekł w myślach chłopak, choć i tak nie miał zamiaru niczego próbować.

116

Gdy skończył, było niemal całkiem ciemno, Clema zaś czekała perspektywa wyprowadzenia samochodu z miasta, wciąż przy użyciu wyłącznie lewej ręki, a potem zimna noc spędzona na pustyni. Ranny, osłabiony i przede wszystkim samotny, jaką miał szansę bezpiecznie dotrzeć do domu? Jak jeden do dziesięciu? Mniej? Mimo to nie zamierzał narzekać. Wściekłość, poczucie winy, a przede wszystkim strach – wszystko to przyszło później.

Milczał, gdy jego mali strażnicy ułożyli Sable z tyłu jeepa, i potem, gdy wymownymi gestami kazali mu ruszać. Jechał bardzo wolno, a dwie dziewczynki i czterech chłopców eskortowało go, wskazując drogę. W ten sposób dotarli do barykady, gdzie dzieci pomogły Sable zsiąść i podniosły szlaban.

Clem wcisnął gaz, zatrzymał się po drugiej stronie i obejrzał się do tyłu.

Tylne światła oświetlały całą siódmkę na tyle dobrze, że mógł dostrzec, iż Sable na chwilę się wyprostowała i stanęła samodzielnie, bez niczyjej pomocy.

Dopiero teraz zauważył, że była najwyższa z całej grupy.

Ile czasu jej zostało, zanim nieuchronnie wkroczy w dorosłość i przestanie widzieć potwory? Pół roku, rok?

Tak czy inaczej, niewiele. I prawdopodobnie zdawała sobie z tego sprawę, ale

to nie miało dla niej znaczenia.

Ruszając, Clem pomyślał z goryczą, że gdy człowiek ma dwanaście lat, sprawną broń, a przy boku wiernych przyjaciół, kilka miesięcy może wydawać się wiecznością.

k o n i e c

117

## **Pająk**

– Jest piękny, prawda? – to nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

Carl skrzywił się i wzruszył ramionami. Tylko Peter uważał, że Pająk jest piękny. Ale Peter van Hise, o czym wszyscy doskonale wiedzieli, był ksenoarcheologiem i wariatem. Najpierw wariatem, potem dopiero ksenoarcheologiem.

Stali pośrodku niemal całkowicie zagrzebanej w ziemi Kopyły. Ponad powierzchnię wystawał tylko czubek, w którym wycięto okrągły otwór o średnicy mniej więcej półtora metra. Przez ten właśnie otwór do środka wpadał snop jaskrawożółtego światła.

Ponieważ temperatura była tu niemal normalna, Carl zdjął hełm i poluzował pasek przy skafandrze chłodzącym. Potem obrócił się wkoło, jakby spodziewał się, że zobaczy coś nowego.

Oczywiście nie zobaczył. Ściany Kopyły, podobnie jak podłoga, były białe i gładkie. Doskonale białe i gładkie, bez żadnych rzeźb, malunków czy nawet uszkodzeń. Jak wewnątrz olbrzymiego niczym katedra igloo.

Nie było tu nic.

Oczywiście nic z wyjątkiem Pajaka.

Stał nie na środku, lecz odrobinę z boku, tak że snop jaskrawego światła muskał dwie z jego czarnych nóg. Pozostałe cztery oraz pękaty tułów o średnicy niecałych trzech metrów też były czarne.

Czerń, kolor Pajaka, i biel, kolor Kopuły. Niebo i Ziemia, Jing i Jang.

Nikt nie wiedział, z jakiego metalu zbudowano Pajaka. Co gorsza, nikt nie wiedział, co to w ogóle jest.

Carl podszedł i spojrzał wprost w czerń kulistego tułowia. Gładka powierzchnia odbiła jego nastoletnią twarz, zniekształcając ją niczym lustro w Gabinecie Śmiechu. Było w tym odbiciu coś jeszcze, coś dziwnego i nietypowego. Carl zauważył to już dawno, ale wciąż nie potrafił znaleźć słów, by opisać niejasne wrażenia.

Najbliższe prawdy byłoby chyba stwierdzenie, że gdy patrzył w metal Pajaka, widział coś jakby... głębiej. Po jednej stronie on, Carl prawdziwy, po drugiej Carl-

118

odbicie, a za nim długi, mroczny korytarz.

Na końcu korytarza coś mignęło, jakiś ruch, jakaś... postać?

Carl wzdrygnął się, odskoczył i w tym samym momencie ciężka ręka opadła mu na ramię.

– Spałeś z moją żoną – powiedział Peter.

– C...co?

Chłopak desperacko próbował przypomnieć sobie, czy rzeczywiście przespał

się z Sofią. Ostatnio nie był zbyt przytomny, ciągle łąził wściekły i naćpany, no i raczej nie miał nastroju do uwodzenia mężatek.

Chyba że sama wlaźła mu do łóżka, ale wtedy to była jej wina i niech Peter ma pretensje do swojej żony kurwy, a nie do niego.

Oblizwał zeschnięte wargi. Skafander chłodzący nie nadążał z przywracaniem równowagi ciała, w którym gwałtownie skoczyło ciśnienie. Carl czuł, że cały spływa potem.

Peter zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu. Broń nie była groźna, służyła do paraliżowania ofiary, a nie do zabijania. Chyba że strzelało się z bliskiej odległości i w jakąś wrażliwą część ciała.

Peter podniósł pistolet i wycelował prosto w oko Carla.

Chłopak wydał z siebie zduszony, dziewczęcy pisk.

– Nie... p...proszę, to p...pomyłka...

Peter pociągnął za spust.

\*\*\*

Carl wrzeszczał.

To było jego pierwsze wspomnienie. Krzyczał i bełkotał, a słowa wylewały się z niego niczym kipiąca zupa z garnka. Dopiero po chwili zaczął je rozróżniać i zorientował się, że wciąż błaga o pomoc. Że leży na podłodze swojej własnej kabiny, mokry od potu, i wciąż błaga o pomoc. Podniósł dłonie do twarzy.

Gałka oczna była nienaruszona.

– Przestań wyc, to tylko senny koszmar.

Uniósł głowę. Mayte Haranda stała sztywno, z rękoma złożonymi na piersi, a na jej drobnej, bladej twarzy malowała się pogarda.

– Ogarnij się.

119

Mamrocząc coś niezrozumiale, podniósł się do pozycji klęczącej. Wciąż nie miał dość sił, by wstać.

Dupa, a nie koszmar senny, pomyślał, pamiętam przecież...

Zaszlochał na wspomnienie własnego przerażenia, a potem krótkiego, ostrego bólu, gdy pocisk paralizujący wdierał się w mózg. To było tak wyraziste, tak prawdziwe.

A przecież nie mogło być prawdziwe. Nawet gdyby przeżył, to z pewnością nie miałby w tej chwili nienaruszonych gałek ocznych.

– Zrób coś ze sobą – dodała Mayte. – Cuchniesz.

Poruszyła perkatym noskiem i skrzywiła cienkie usta. Mayte była specjalistką od kontaktów z Obcymi, co wiązało się ze specjalnie zmodyfikowanymi do tej pracy genami. Miała węch czuły niczym pies policyjny, a jej uszy wychwytywały dźwięki niesłyszalne dla normalnego człowieka. Do tego potrafiła myśleć kilkutorowo, a wszczepiony na jej karku chip nieustannie przetwarzał dane, analizując i znajdując prawidłowości w zachowaniu istot, z którymi Mayte nawiązywała kontakt.

Carl nie miał pojęcia, jak Mayte radzi sobie z Obcymi – jak dotąd żadnego nie



spotkali, choć w tym rejonie podobno czasem ich widywano. Wiedział jedynie, że każdy człowiek najdalej po dziesięciu minutach przebywania w towarzystwie Mayte staje się dla dziewczyny otwartą księgą. Nie sposób było jej oszukać, potrafiła przejrzeć każdego z taką łatwością, jakby ludzie paradowali przed nią emocjonalnie nadszy i bezbronni.

Dlatego właśnie pozostali członkowie załogi jej nie lubili. A dla ścisłości, większość jej nie lubiła. Carl jej nienawidził.

Podniósł się na wciąż drżące, miękkie jak z gumy nogi. Był świadom, że jego woń przerażonego zwierzęcia drażni wrażliwy nos dziewczyny.

Do diabła z tym.

– Peter chciał mnie zabić – powiedział.

Zmarszczyła brwi. Analiza danych musiała jej wskazać, że chłopak mówi prawdę. A przynajmniej że jest przekonany, iż mówi prawdę. To w jednym momencie zepchnęło Carla z pozycji głupiego, popisującego się szczeniaka do pozycji zwykłego świra.

– Chodź na śniadanie – pominęła milczeniem jego słowa. – Może wreszcie ustalimy, co z Pajakiem.

Jak długo tkwili na tej planecie? Carl zatracił rachubę. Ostatnim wyrazistym

wspomnieniem była noc, która zdarzała się tu raz na pięć miesięcy. To było.... zaraz... przed tygodniem? A może dwoma? Chłopak nie pamiętał już, ile razy budził się w białej, czystej i absolutnie pozbawionej jakiegokolwiek indywidualności kabinie, którą

dzielił z Simonem-mechanikiem, ile razy wędrował do mesy, równie białej i nijakiej, na nijakie, pozbawione smaku śniadanie, a potem na obiad, który różnił się od śniadania tym, że jedzenia było odrobinę więcej.

Jak na ironię, planeta zwana Gideonem także była biała. Niemal całą powierzchnię lądu pokrywały ruiny, strzaskane, porozbijane i zmiżdżone pozostałości czegoś, co dawno temu było zapewne białymi pałacami, domami i świątyniami. Z daleka wyglądało to jak olbrzymie wysypisko gigantycznych kości. Z bliska zresztą też.

Ruiny prażyły się w morderczym świetle dwóch słońc. Temperatura na planecie wynosiła przeciętnie jakieś 65-70 stopni. Nikt nie mógł wytrzymać tam bez specjalnego skafandra, a i w nim prace wykopaliskowe były morderczą. Dlatego wielkie kompanie wycofały się z badania planety. Za duże wydatki, za mało efektów. Od tego czasu na Gideona przylatywali tylko i wyłącznie awanturnicy, którzy liczyli na łut szczęścia w postaci choć jednego dobrze zachowanego przedmiotu.

Pozostałości zniszczonej cywilizacji osiągały zawrotne ceny, więc poszukiwaczy nie odstraszał nawet fakt, że zdecydowana większość wracała z pustymi rękami.

Załoga „Argosa” miała szczęście, bo natknęła się na Pajaka.

I jednocześnie miała też pecha. Pajak był duży, znacznie większy niż wszystkie znalezione do tej pory na Gideonie artefakty. Żadną miarą nie dałoby się go wyciągnąć tym wąskim, spadzistym tunelem, który wykopali, by zapewnić sobie wygodne dojście do znaleziska. Jedynym rozwiązaniem było rozbicie podziemnej Kopyły, które pochłonęłoby mnóstwo energii, a to z kolei mogło spowodować, że w drodze powrotnej wysiądzie system podtrzymywania życia. Jak precyzyjnie obliczył pokładowy komputer, możliwość takiej awarii wynosiła 63,5%.

Mieli więc tylko 36,5% szans, że doleczą na Ziemię żywi, będą mogli sprzedać Pająka i cieszyć się bogactwem.

Poproszenie o pomoc załogi innego, większego statku i podzielenie się zyskiem nie wchodziło w grę – na Gideonie byli sami i mogły minąć miesiące, zanim ktoś się tu pojawi.

Peter van Hise chciał zaryzykować, a popierały go jego żona Sofia oraz jej siostra Vonda. Przeciwno byli kapitan, Mayte Haranda oraz mechanik Simon.

121

Carl nie miał zdania. Po prostu chciał się stąd jak najszybciej wynieść, z Pająkiem czy bez.

\*\*\*

Przy śniadaniu atmosfera zrobiła się napięta, a Mayte i Peter znówu skoczyli sobie do oczu. Ona nazwała go wariatem o skłonnościach samobójczych, on wrzeszczał, że jeszcze będzie żałowała zaprzepaszczonej szansy.

– Chodź, zapolujemy na salamandry – zaproponował Simon, podchodząc do Carla. – A oni niech urywają sobie łby bez naszego towarzystwa.

Gdyby Carl był zdolny jeszcze kogokolwiek lubić, to owym kimś byłby niewątpliwie mechanik Simon, łagodny olbrzym, który – sądząc być może, że zobowiązuje go imię – wyhodował sobie imponującą brodę biblijnego patriarchy. Simon był jedynym, który na wybryki Carla patrzył z ojcowską wyrozumiałością, ale chłopak nie potrafił odplacić mu sympatią. Już nie.

Mimo to zgodził się wziąć udział w polowaniu. Lepsze towarzystwo jednego człowieka niż kilku, uznał.

A polowanie na salamandry było niezłą rozrywką.

Z pewnością owe ciepłolubne stworzenia miały jakąś mądrą, naukową nazwę, ale wszyscy, których Carl znał, nazywali je po prostu salamandrami. Mierzyły przeciętnie jakieś pół metra długości i przypominały ni to jaszczurki, ni to ptaki z dziwacznymi błoniastymi skrzydłami, na których szybowały w gorącym powietrzu. Ludzie polowali na nie głównie po to, by zmierzyć się z ich szybkością i zwinnością; żadne inne powody nie wchodziły w grę, gdyż mięso salamander było trujące, a skóry nie miały wielkiej wartości.

Stąpając cicho w lekkim skafandrze, Carl odbezpieczył broń, a Simon po chwili poszedł w jego ślady. Tym razem obaj mieli pistolety załadowane ostrą amunicją. Co prawda strzelanie do salamander prawdziwymi pociskami było cholernym marnotrawstwem, ale kto by się tym przejmował. I tak już niedługo wyniosą się z tej planety.

Jakże Carlowi brakowało porządnych, ziemskich cieni. Tutejsze były tak

blade, że ledwo je zauważał. Tu wszystko było białe i żółte, rozpalone niczym w

122

plomieniu świecy, gorące powietrze drgało, tworząc zwodnicze miraż, wzrok męczył się i bywały chwile, gdy ruiny zlewały się w jedną gigantyczną ścianę jasności, bez żadnych kątów, załamania, czy szczelin. I to właśnie niosło ze sobą niebezpieczeństwo, ponieważ oczywiście wokół istniało mnóstwo kątów, głązy miały ostre krawędzie, a w szczelinach pomiędzy nimi można było skręcić kostkę czy nawet połamać nogi.

Dlatego też teraz, gdy stracił już z oczu punkt orientacyjny w postaci ciemnej sylwetki „Argosa”, Carl poruszał się ostrożnie, bardziej dowierzając zmysłowi dotyku niż wzroku.

Coś mignęło na granicy pola widzenia, coś dużego, znacznie większego niż jakakolwiek salamandra. Człowiek? Obcy?

– Pójdę sprawdzić, tam ktoś jest – powiedział Carl zduszonym przez hełm głosem.

– Nikogo nie widziałem. – Simon z niepokojem rozejrzył się dookoła.

– Zaczekaj.

Idąc w stronę szczątków białego muru, Carl czuł się dobrze. Miał broń, był dorosły i odpowiedzialny. Cokolwiek tam jest, on sobie z tym poradzi, a załoga „Argosa” będzie jeszcze żałować, że go nie doceniła.

Za murem znów coś przemknęło. Człowiek? Wyglądało bardziej na człowieka niż na Obcego, choć było zdumiewająco niskie, nie wyższe niż kilkuletni chłopiec.

Carl poczuł się niepewnie. Obecność dziecka w takim miejscu była niezwykła,

a on nie radził sobie dobrze z niezwykłymi sytuacjami.

– Hej, mały! – krzyknął, zdając sobie sprawę, że brzmi to głupio.

Naprawdę wolałby, aby za murem czaił się Obcy albo przynajmniej dorosły mężczyzna i żeby on, Carl, mógł wreszcie się wykazać i użyć swojej broni na czymś większym niż...

Salamandra. Wyprysnęła spod jego nóg i skoczyła w powietrze. Pełen urazy syk, małe paciorkowate oczka niczym dwie krople zakrzepłej krwi i rozpostarte błoniaste skrzydła. Przez krótką chwilę stworzenie znajdowało się tak blisko twarzy Carla, że mógłby je schwytać gołymi rękami.

Nie zrobił tego. Nie miał szans, bo w tej samej chwili coś pchnęło go w pierś z taką siłą, że poleciał do tyłu, na plecy, na rozpalone kawałki gruzu. Zdumiony chciał unieść dłoń, ale nie zdołał, przekręcił tylko odrobinę głowę i zobaczył, że gruz, na którym leży, już nie jest biały. Był czerwony od krwi.

123

\*\*\*

– Słuchaj, stary, nie masz do mnie urazy, prawda? – Simon siedział przy łóżku Carla, nerwowo wyłamując palce. – To przez to parszywe światło. Nie widziałem cię, naprawdę, słyszałem tylko syk salamandry i odruchowo strzeliłem w tamtym kierunku. Wybacz. Miałaś cholerne szczęście, kula musiała minąć cię o włos.

– Nie minęła mnie.

– Co?

– Nie minęła mnie, tylko przebiła na wylot. Pamiętam, że leżałem w kałuży

krwi.

Simon zrobił nieszczęśliwą minę. Najwyraźniej czuł się w jakiś sposób

odpowiedzialny za to, że Carl wreszcie ze szczętem zwariował.

– To przez to światło – powtórzył po chwili niepewnie. – Na dole człowiek widuje różne dziwaczne rzeczy. Ale nie martw się, wyciągniemy cię z tego...

– Wynoś się... – powiedział Carl słabym głosem.

– He? – Przyjacielsko nastawiony do całego świata Simon w pierwszej nie mógł uwierzyć, że ktoś go skądś wyrzuca.

– Wynoś się. Nie chcę cię widzieć.

– Jasne, jasne. – Potężny mężczyzna wstał gorliwie. – Lepiej, żebyś sobie teraz odpoczął, po takim omdleniu...

Wyszedł, a Carl zacisnął zęby.

Nie zemdlął ze strachu ani z gorąca. Pamiętał krew.

Do kabiny wsunęła się Sofia.

Na początku podróży wszyscy uważali, że z dwóch bliźniaczek to Sofia jest tą bardziej pewną siebie, a Vonda tą słodką i milutką. Teraz Vonda była co najwyżej „w miarę sympatyczna”, a Sofia zmieniła się we wredną, zimną sukę. Zamknięcie w ciasnym wnętrzu statku wszystkim działało na nerwy.

– Przyszłaś się ze mnie nabijać? – wymamrotał Carl. – Czy przekonywać, że mam świra?

– A ty masz zamiar płakać mi w rękaw? – zachichotała Sofia. – Może zajmiemy się czymś przyjemniejszym?

Była dużą, ładną kobietą o czerwonych ustach i włosach ciemnych jak

tropikalna noc. Gdy usiadła na nim, Carl poczuł ciężar słodkich osiemdziesięciu

kilogramów wagi.

124

Silne, opalone dłonie sięgnęły jego twarzy, a potem zsunęły się w dół, na szyję.

– Czy ty też zamierzasz mnie zabić? – Chłopak uśmiechnął się szelmowsko.

– Oczywiście, że tak – odparła, zaciskając palce.

\*\*\*

– On zwariował – oznajmił kapitan Gasset, a pozostali siedzący wokół stołu zgodnie pokiwali głowami. – Od początku wiedziałem, że będą z nim kłopoty – dodał.

Tak naprawdę wcale o tym nie wiedział. Na początku nowy członek ich załogi wydawał się bardzo sympatycznym, chętnym do pomocy i energicznym młodzieńcem. Gasset lubił go, był nawet taki moment, gdy rozkrochmalony odrobiną dżinu kapitan uznał nastolatka niemal za syna i zdradził mu coś, czego zdradzać nie powinien. A potem zapał Carla zaczął słabnąć. Jeszcze później okazało się, że chłopak chciał wziąć udział w wyprawie, bo liczył na jakąś bliżej nieokreśloną „przygodę”, że rozczarował się już po kilku dniach lotu, a przede wszystkim, że na pokład przemycił sporą ilość środków halucynogennych, przy pomocy których zabijał nudę i popadał w



coraz większą paranoję.

Gasset nie znał się na ludziach. Poza tym starzał się, coraz częściej popełniał błędy i coraz mniej chętnie się do nich przyznawał. Pozostała mu jednak odrobina godności, a także wiara w zasady „starej szkoły”, a one mówiły, że nie porzuca się ot tak, po prostu, członków załogi.

– Myślicie, że to syndrom odstawienia? – zapytała Vonda. – Dziwne, że tak późno... Kiedy odebraliśmy mu prochy? Dwa dni temu? Trzy? Tydzień?

Nikt nie pamiętał, od czasu gdy na krótko zapadła ciemność, wszyscy jakoś stracili rachubę czasu.

– Mniejsza z tym – kapitan przerwał jałowe rozmyślenia. – Gówniarz zwiął na powierzchnię i siedzi gdzieś tam, cały rozhisteryzowany. Musimy go znaleźć...

– Twierdzi, że wszyscy chcemy go zabić – wtrąciła Vonda. – A co dziwniejsze, że część z nas już to zrobiła.

– Świr. – Sofia wyduła pogardliwie czerwone usta.

– Idę o zakład – kontynuował Gasset – że Carl siedzi teraz w Kopule, tuż przy Pająku. To jedyne podziemne pomieszczenie, jakie znaleźliśmy. Tylko tam można

125

schronić się przed słońcem.

– No właśnie, co z Pajakiem? – niecierpliwie zagadnął Peter. Los zaginionego Carla najwyraźniej mało go obchodził. – Czy nie powinniśmy wreszcie podjąć...

– Później. – Kapitan wstał energicznie. Do działania pobudzała go nie troska, lecz złość. Na siebie, bo okazał się naiwny, na załogę, bo wcześniej, kiedy jeszcze był

czas, nie potrafili sobie z Carlem poradzić. A przede wszystkim na tego stukniętego gówniarza, od którego wszystkie kłopoty się zaczęły. – Teraz trzeba odnaleźć chłopaka. Sam po niego pójde.

\*\*\*

Schodząc wąskim tunelem, kapitan Gasset potknął się i omal nie upuścił latarki. Zaklął najpierw cicho, a potem, gdy zorientował się, że i tak nikt go nie usłyszy, głośno.

Lubił mówić sam do siebie i trochę się tego wstydził.

– To jego wina – kontynuował, w samotności dając upust swemu upodobaniu.

– Gdybym był ojcem tego smarkacza, już dawno stłukłbym mu tyłek na kwaśne jabłko.

Zamilkł, zdając sobie sprawę, że lanie nie jest adekwatną karą do tego, co zrobił Carl.

A jaka byłaby właściwa? Na przykład biblijna, oko za oko, ząb za ząb. My cierpieliśmy przez niego, więc niech on cierpi przez nas.

Z każdą chwilą ulatniały się resztki sympatii, jaką kiedykolwiek miał do Carla.

Zagłębiając się pod ziemię, Gasset postanowił, że jednak porzuci tu smarkacza. O tak, porzuci go, a teraz schodzi do Kopuły tylko i wyłącznie po to, by oznajmić Carlowi, że za kilka dni zdechnie tu z pragnienia.

Nie miał pojęcia, dlaczego do tej rozmowy potrzebna mu jest dłoń zaciśnięta

na rękojeści pistoletu.

– Carl? Przyszedłem z tobą porozmawiać!

Gasset rozejrzał się. Słup jasnego światła jak zawsze wznosił się pośrodku

Kopuły, lecz dalej panowały półmrok i mrok.

– Carl, gdzie jesteś? Chowasz się przede mną po ciemnych kątach? Wiesz przecież, że i tak cię znajdę.

Mały chłopiec, którego obecność tutaj była tak oczywista i naturalna,

126

przyłożył palec do ust, mrugnął okiem, a potem palcem wskazał w prawo.

Kapitan podziękował skinieniem głowy.

Uznał, że śmierć z pragnienia jednak nie będzie wystarczającą karą.

– Już po ciebie idę – zawołał. – Założysz się, że cię dorwę, zanim doliczę do dziesięciu?

Raz, dwa, trzy... Na osiem strumień światła wyławia z mroku skuloną

sylwetkę, na dziewięć Carl podrywa się do biegu, na dziesięć Gasset strzela mu w tył głowy.

Potem kapitan wraca na statek, całkiem zadowolony z tego, co zrobił.

\*\*\*

Carl wyszedł na zewnątrz, znalazł prostokątną płytę i zaciągnął na dół. Potem, już w Kopule, obrócił ją i oparł się o nią plecami, blokując w ten sposób wejście.

Poczuł się odrobinę bezpieczniejszy. Być może minie chwila, zanim przyjdzie kolejna osoba, by go zabić. Potrzebował tego czasu, aby zebrać myśli.

Objął kolana rękami i kołysząc się lekko, spróbował uporządkować panujący w głowie chaos.

Duch, pomyślał, czując, jak mroczna panika pod pływa mu do gardła.

Odpowiedzią jest duch.

Zaczął kołysać się szybciej, ale to nie pomagało, więc włożył do ust kciuk prawej dłoni i zaczął obgryzać paznokieć. Panika cofnęła się odrobinę, zupełnie jak morze w czasie odpływu.

Widział ducha za każdym razem, gdy ginął. Wtedy, z Peterem w Kopule, podczas polowania z Simonem, i teraz, gdy strzelił do niego kapitan. I wcześniej, gdy dusiła go Sofia... Tak, na pewno tak. Dzieciak stał w kącie i uśmiechał się, zupełnie jakby... jakby chciał dodać Carlowi otuchy?

Paznokieć skończył się i chłopak gryzł teraz ciało, szarpiąc je zębami aż do krwi. Mimo to panika powracała, skradała się podstępnie w stronę jego gardła. Za chwilę Carl zacznie krzyczeć i będzie krzyczał tak i krzyczał, aż znikną wszelkie rozsądne myśli i naprawdę zostanie wariatem.

Duch, potrzebował ducha. Gdyby mógł choć przez chwilę z nim pogadać...

– Carl? – na zewnątrz rozległ się dziewczęcy głos. – To ja, Vonda! Odsuniesz tę przeklętą płytę i pozwolisz mi wejść?

– Wynoś się!

– Nie bądź niegrzeczny. Wysłali mnie tu, żebym ci przemówiła do rozsądku.

Powiedzieli, że ze mną będziesz rozmawiał, bo mnie lubisz. To prawda, co? Lubisz mnie?

– Wynoś się! Myślisz, że nie wiem, po co przyszedłeś?

– Po co?

– Nie udawaj pieprzonej kretynki! Chcesz mnie zabić! Jak wszyscy.

– Carl, nie mam przy sobie broni...

– Twoja siostra udusiła mnie gołymi rękami!

Dziewczyna parsknęła, najwyraźniej odrobinę zniecierpliwiona.

– Słuchaj, Carl. Nie wydaje ci się, że gdyby naprawdę kilka osób cię zabiło, to byłbyś, jak by to powiedzieć, trochę... martwy?

Chłopak milczał. Po twarzy spływały mu łzy, czuł na wargach ich smak zmieszany ze smakiem krwi.

– Nie skrzywdzę cię, Carl, obiecuję.

– Ja cię skrzywdziłem – powiedział cicho. – Pamiętasz? Wtedy, nocą, kiedy przyszedłeś zabrać moje prochy... A potem siedziałem tutaj, patrząc w ciemne niebo, i widziałem czerwoną zorzę...

– Tu nie ma zorzy. Coś ci się pomyliło.

– Masz do mnie żal?

– O tamto? – Vonda zamilkła i Carl z mocno bijącym sercem pomyślał, że chyba odpowie szczerze. – Nie, właściwie to nie mam. Wybaczyłam ci.

– W takim razie możesz wejść.

Odsunął płytę.

– Okropnie wyglądasz – Przyjrzała mu się, mrużąc oczy.

– Zrobisz to tak, żeby nie bolało? – poprosił cicho.

– Co?

– Kiedy będziesz mnie zabijać.

Parsknęła po raz drugi, tym razem głośniej.

– A ty dalej swoje. Posłuchaj...

– To ty posłuchaj – mówił, połykając końcówki, byle szybciej, zanim

zwycięży w nim panika i zanim stchórzy. – Muszę z kimś pogadać, a on przychodzi

tylko wtedy, gdy umieram. Dlatego ja teraz położę się, o tutaj – wyciągnął się

szttywno na podłodze – i zamknę oczy, a ty mnie zabijesz i zrobisz to łagodnie, bo mi

128

wybaczyłaś, a ja cię lubię, w porządku?

– W porządku – zgodziła się Vonda i dotrzymała słowa.

\*\*\*

Carl z powrotem zasunął płytę, a potem usiadł na podłodze po turecku. Przed

nim, również ze skrzyżowanymi nogami, siedział kilkuletni chłopiec.

Vondy nie było i Carl nie zamierzał nawet o nią pytać. Nie liczyła się już.

– Kim jesteś? – zwrócił się do dziecka.

Chłopiec wyglądał na lekko urażonego.

– Tobą z czasów wczesnej młodości? No wiesz, taką niewinną wersją?

Czymś... – z trudem dobierał słowa. – Czymś w rodzaju nauczki moralnej?

– W życiu bym na to nie wpadł.

Mały skrzywił się.

– OK, nie wyszło mi, przyznaję. Zajmijmy się poważniejszymi kwestiami.

Wiesz już, co zrobiłeś? Pamiętasz, co wydarzyło się tamtej nocy?

– Uderzyłem Vondę – zaczął niepewnie. – Upadła na ziemię i... krwawiła, było naprawdę mnóstwo krwi. Bałem się i... i myślałem, że jeśli tamci ją znajdą, to znowu będzie moja wina, nienawidzę ich, zawsze o wszystko mają do mnie pretensje... –

Zmarszczył brwi i wrócił do obgryzania kciuka. – Było ciemno, tak bardzo ciemno, a ja uciekałem, potykając się i przewracając. A jednak trafiłem tutaj, do Pajaka, musiałem trafić, bo pamiętam, że siedziałem tu i obserwowałem piękną, czerwoną zorzę.

Zamilkł. Tak, świetnie pamiętał szkarłatny odblask wpadający przez otwór i odbijający się w czerni Pajaka.

Tu nie ma zorzy, powiedziała Vonda, zanim go zabiła.

Chłopiec patrzył uważnie.

Carl pograżył się w myślach. Krew z obgryzanego kciuka zdążyła zaplamieć mu podbródek, ale nie czuł bólu.

Po chwili uśmiechnął się szeroko.

– To nie była zorza – oznajmił z satysfakcją, bo nareszcie wszystko stało się jasne – tylko ogień z płonącego statku. Wysadziłem statek przy pomocy kodu, który

podał mi kapitan, i zabiłem ich wszystkich. A skoro ich zabiłem, to oni nie żyją, a ja tak... Umarłem już pięć razy, ale wciąż żyję.

129

Mały potrząsnął głową.

– To nie takie proste. – Wskazał Pająka. – Wiesz, co to jest?

– Nie.

– To Sędzia. Popełniłeś zbrodnię, a potem usiadłeś tutaj i w ten sposób poprosiłeś o wyrok.

– O nic takiego nie prosiłem...

– Poprosiłeś przez samą swoją obecność – upierał się chłopiec. – Sędzia uznał cię winnym śmierci sześciorga inteligentnych istot i zdecydował, że sprawiedliwe będzie, jeśli każda z nich za karę zabije ciebie.

– A ty kim jesteś?

– Jestem głosem Sędziego. Długo trwało, zanim rozpracowałem twój umysł na tyle, by się z tobą porozumieć. Dlaczego nie przyjmiesz pokornie kary, którą nałożył na ciebie Sędzia? Dlaczego wciąż się bronisz?

– Nie rozumiem. – Carl wyjął kciuk z ust, z trudem tłumiąc chęć, by znów zacząć się kołysać. – To w końcu jestem martwy czy żywy?

Mały westchnął zniecierpliwiony.

– A jakie to ma znaczenie? Śmierć i życie to kwestie względne. Tak czy inaczej, musisz umrzeć jeszcze raz.

– Nie chcę. – Carl zastanowił się chwilę. Dopiero teraz poczuł pulsujący w



palcu ból i to rozjaśniło mu umysł – A co będzie potem? Kiedy już zginę po raz szósty?

– Nie mam pojęcia – przyznał chłopiec uczciwie. – Ja tylko pilnuję, by kara została wykonana.

– W takim razie ja nie idę na taki układ. Nie ma mowy. Nie dam się znowu zabić. Nic z tego...

Mały westchnął.

– Jak tam sobie chcesz. Ja zrobiłem, co do mnie należało.

Carl wstał i podszedł do zabarykadowanego wyjścia. Miał plan, bardzo chytry plan.

Po drugiej stronie stała Mayte Haranda. Ona również miała plan.